

Paullina Simons

JEDENAŚCIE GODZIN

Dedykuję mojemu trzeciemu dziecku

Podziękowania

Mam dług wdzięczności wobec Mike'a Johnsona z policji w Piano za jego nieocenione rady i ukazanie mi prawdziwego życia; nigdy nie zapomnę, jak zajrzałam do bagażnika Twojego wozu, Mike.

Podziękowania należą się też Bobowi Wyattowi - moje życie swój kształt zawdzięcza Twojej wierze we mnie, gdy pisałam „Tully”, „Red Leaves”, tę książkę i następne. Dziękuję.

Joy Harris - mojej wytrwałej, ciężko pracującej agentce.

I mojemu mężowi - dzięki Twojemu wyborowi stanowiska redaktora naczelnego Wishbone Books nasza rodzina trafiła do Teksasu, a ja mogłam napisać tę książkę.

Wreszcie - moim najdroższym dzieciom; dziękuję, że dawaliście mamie czas i spokój, gdy na małym, rozgrzanym jak piec poddaszu pisała książki.

„Zatem nie wyście mnie tu posłali...”
Józef do braci, Rdz 45,8 Biblia Tysiąclecia, wyd. III,
Pallottinum, Poznań - Warszawa 1982.

11.45

Didi Wood wysiadła z samochodu i właśnie szła do centrum handlowego, gdy jej wielki brzuch napiął się niczym twarda piłka do koszykówki. Dziewiąty miesiąc ciąży dawał się we znaki - Didi skrzywiła się i zwolniła kroku, prawie stając; ten skurcz był wyjątkowo mocny. Oparła się o drzwiczki auta, jedną ręką masując brzuch, drugą otarła pot z czoła. Może jednak nie powinna się wybierać po zakupy, ale parę dni temu obiecała Amandzie klocki z alfabetem, a chciała dotrzymać słowa. Poza tym potrzebowała nowego kremu do twarzy.

Didi pomyślała, że chłodne, klimatyzowane sklepy są dziś dla niej idealnym miejscem. Nad Dallas nadciągnęła fala upałów, nazywana tu latem i kobieta zastanawiała się, czyby nie pojechać jednak do biura Richa, aby czas pozostały do ich wspólnego lunchu spędzić na kanapce w gabinecie męża, ale postanowiła zostać. Nic jej nie będzie, w końcu to tylko godzina.

Nie mogła się doczekać chwili, kiedy się znajdzie w budynku. Już gdy wychodziła z domu na wizytę u lekarza, temperatura przekroczyła trzydzieści stopni. A w radiu ostrzegano przed wychodzeniem na powietrze - zwłaszcza staruszki, dzieci i kobiety w takim stanie jak Didi.

Spocona, poczłapała ociężale do szklanych drzwi centrum handlowego NorthPark.

U Dillarda firma Estee Lauder przygotowała dla niej specjalną ofertę. Didi bynajmniej nie potrzebowała kolejnych kosmetyków, ale czyż można się oprzeć upominkowi z wielkiego sklepu? Zaproponowano jej gęsty, czarny tusz do powiek, dwie szminki, których odcień wcale jej nie zachwycał, próbkę perfum, kieszonkową szczotkę do włosów, jakiś krem do rąk oraz kosmetyczkę. Właśnie kosmetyczki potrzebowała.

Upominek dostawało się za darmo - przy zakupie powyżej 17,50 dolara.

Didi pomyślała, że Estee Lauder nie gra uczciwie. Żaden ich produkt nie kosztował 17,50. Och, było mnóstwo rzeczy po piętnaście dolarów: od szminek - po kredki do oczu i tusze do rzęs. Oczywiście, równie wiele produktów po trzydzieści, pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt dwa dolary. Ale nic za 17,50.

Żeby dostać upominek, Didi wydała sto osiem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów - plus podatek. Kupiła buteleczkę kremu Fruition, różową szminekę na wiosnę, choć był lipiec, i zielonkawoniebieską kredkę do swoich piwnych oczu. Czekaając przy kasie, poczuła, jak brzuch znowu się napina. Przytrzymała się lady.

- Och! - odezwała się ekspedientka. - Już blisko finisz? Didi z trudem skinęła głową.

- Kiedy poród?

Skurcz przeszedł i Didi zerknęła na zegarek.

- Za jakieś dwie godziny - odrzekła lekko. Widząc przerażenie na ładnej buzi dziewczyny, dodała: - Żartowałam. Pewnie nie ma pani dzieci? Za dwa tygodnie.

Tamta odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do klientki.

- Ufff... Zgadła pani, nie mam dzieci. Nie śpieszy mi się do tego. Chyba pani nie rodzi? - upewniła się z nerwowym chichotem.

- Nie, skąd - uspokoiła ją Didi pogodnym tonem, choć wcale nie czuła się tak pewnie i w duchu popędzała dziewczynę, żeby się pośpieszyła przy tej kasie. Wybierała się jeszcze do sklepu FAO Schwarz. - To tylko skurcze przepowiadające. Bolesne, ale gdzie im do prawdziwych. Niech mi pani wierzy, nie umywają się do prawdziwych.

Dziewczyna roześmiała się nerwowo.

- Rany, chyba nigdy nie zdecyduję się na dzieci. To wszystko takie przerażające: poród, sama ciąża. - Podała jej paragon.

- Nie jest tak źle - odparła Didi, podpisując rachunek. - Naprawdę, to wcale nie takie straszne. Błyskawicznie się zapomina.

- Nie wierzę.

- Naprawdę, zapomina się natychmiast. Trzeba. Inaczej żadna z nas nie zdecydowałaby się na kolejne dziecko.

- Coś w tym jest - przyznała ekspedientka, przyglądając się twarzy Didi. - Ma pani śliczną cerę. Używa pani jakiegoś podkładu?

Didi podsunęła jej podpisany rachunek i sięgnęła po kosmetyczkę, której dziewczyna nie podała.

- To chyba już wszystko. Dziękuję. Mogę dostać moje rzeczy?

- Naturalnie. - Ekspedientka podała jej torbę. - Powodzenia.

Didi odpowiedziała uśmiechem.

- Miłego dnia.

*

W sklepie FAO Schwarz sprzedawczyni o wyglądzie matrony komplementowała żółtą sukienkę Didi bez rękawów.

- Kupiłam w Banana Republic.

- Nie wiedziałam, że mają tam ubrania dla ciężarnych - zdziwiła się sprzedawczyni.

- Nie mają. To największy rozmiar.

Nienawidziła określenia „największy rozmiar”, ale nie zamierzała też wstydzić się swych gabarytów. Kobieta podała jej torby.

- Poradzi sobie pani? - zatroszczyła się. - Są dość ciężkie.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła ją Didi. - Mam do przejścia tylko parę kroków.

Cieszyła się, że w NorthPark nie było takiego ruchu jak na przykład w soboty. Nie chciałyby się przedzierać przez tłumy obładowana torbami i do tego z brzuchem.

W sklepie Coach kupiła sobie nową skórzaną torebkę: brązową, średniej wielkości, przecenioną ze stu dwudziestu dolarów na sześćdziesiąt. Zaoszczędziwszy sześćdziesiąt dolarów, poczuła się rozgrzeszona i wzięła do kompletu nowy portfel.

- Na kiedy ma pani termin? - spytała ekspedientka, pomagając jej pozbierać paczki.

- Za dwa tygodnie - odrzekła Didi, kładąc ręce na brzuchu. Musiała usiąść, gdyż dziecko napierało na dół miednicy. Nie ma mowy, on albo ona musi jeszcze tam zostać przynajmniej dwa tygodnie. W następny weekend Didi i Rich wybierali się nad jezioro Texoma w Oklahomie.

- Zna już pani płęć? Pokręciła głową.

- Chcemy mieć niespodziankę.

- Podziwiam - odpowiedziała kobieta. - Ja nie wytrzymałam. Chciałam znać płęć mojej dwójki jeszcze przed ich przyjściem na świat. Mam dwóch chłopców.

Didi uśmiechnęła się, podpisując wydruk z rachunku American Express.

- To miłe. My mamy dwie dziewczynki. Cieszy się pani, że ma synów?

- Bardzo - zapewniła ją ekspedientka. I nim Didi zdążyła coś wtrącić, dodała: - Kochane maluchy, ale marzyła mi się córeczka. Mąż się nie zgodził. A gdybyśmy musieli próbować przez dziesięć lat? Dwóch chłopców to wystarczająca liczba. A ja nie będę się z nim sprzeczać, w końcu to on nas utrzymuje. Pracuję tylko po to, żeby dorobić na wakacje i takie przyjemności, rozumie pani.

Didi uśmiechnęła się i współczująco pokiwała głową.

- Chcielibyśmy, żeby to był chłopiec - przyznała. - Ale to bez znaczenia. Niezależnie od płci maleństwa, na tym koniec.

- I tak trzymać! - poparła ją sprzedawczyni. Didi parsknęła śmiechem.

- Pewnie chłopcy są cudowni.

- Nie, to istne potwory. Pięcio - i siedmiolatek. Diablęta w ludzkiej skórze!

Kiedy Didi wychodziła ze sklepu, poczuła słodką, rozkoszną woń. Spojrzała na zegarek: dwadzieścia po dwunastej. Czterdzieści minut do lunchu z Richem. Przypomniała sobie wczorajszą kłótnię i westchnęła. Nie. Co prawda spotykają się za czterdzieści minut, ale to nie znaczy, że już wtedy coś zje. Zacznie się od kontynuacji sprzeczki, wyrzutów i przeprosin, a dopiero potem zamówią i dostaną jedzenie. Podejrzała, że minie półtorej godziny, nim lunch wjedzie na stół. Tyle nie wytrzyma. Miała ochotę coś zjeść - i to w przyjemnej atmosferze. Słodki precel idealnie spełniał te warunki.

Skierowała się w stronę stoiska Freshens Yogurt, gdzie sprzedawano również precle. Wiedziała, że może się przemieszczać tylko na dwa sposoby: wolno i bardzo wolno. Dźwigając ciężar piętnastokilogramowego brzucha i toreb pełnych zakupów od Dilliarda, FAO Schwarz i Coacha, miała wrażenie, że toczy się wyłącznie siłą rozpędu, dzięki której ciała, raz puszczone w ruch, dalej się poruszają. Żałowała, że nie jest teraz przedmiotem w stanie spoczynku.

- Mogę prosić migdałowy precel? - zwróciła się do nastolatka za kontuarem. Słowa padały cicho, przerywane zadyszka.

- Oczywiście. Czy życzy sobie pani z polewą? - zapytał.

- Nie, sam precel. Albo dwa - dorzuciła po sekundzie. - I wodę.

- Jeden precel dla mamy, drugi dla dziecka - rozległ się obok niej głos.

Obejrzała się w prawo i stanęła twarzą w twarz z młodym mężczyzną, który uśmiechał się szeroko, przyjaźnie. Odpowiedziała tym samym, ale w wyrazie jego twarzy było coś, co sprawiło, że jej uśmiech przygasł. Nieoczekiwanie ścisnęło ją w dołku, zupełnie jak wiele lat temu - kiedy, jako nastolatka, spotykała przystojnego chłopaka i na chwilę przestawało jej bić serce.

Lecz ścisnęło ją w dołku nie dlatego, że ów mężczyzna był przystojny, a serce na moment przestało bić nie dlatego, że zrobił na niej wrażenie. Stało się tak, ponieważ spoglądał na nią z serdecznym uśmiechem starego znajomego, tymczasem Didi z całą pewnością pierwszy raz widziała go na oczy.

I miał w sobie coś dziwnego, choć nie potrafiła określić, na czym to polega.

W końcu jednak skinęła mu głową.

- Nie - odrzekła. - Jeden dla mnie, drugi dla męża. Dziecko i tak nie może narzekać na brak jedzenia.

- Ale takie maluchy mają wilczy apetyt - zauważył nieznajomy. - Żona niedawno urodziła synka.

- Jak miło - ucięła, odwracając się od niego. - Gratuluję.

- Wie już pani czy to chłopiec czy dziewczynka? - spytał chłopak zza lady, podając jej białą papierową torebkę z preclami.

- Nie, to bez znaczenia - Didi uchyliła się od odpowiedzi.

- Tylko tak się mówi - odezwał się ten przyjacielski mężczyzna za jej plecami. - Ale to przecież ma olbrzymie znaczenie. Wszyscy chcemy, by urodziło się dziecko wymarzonej płci.

- Wcale nie - odpowiedziała pragnąc, by przestał ją nagabywać. - Najważniejsze, żeby było zdrowe.

Popatrzyła na niego kątem oka. Zbliżał się do trzydziestki, był starannie ogolony, schludnie ubrany, szczupły, średniego wzrostu. Ciemny blondyn, dobrze ostrzyżone, krótkie włosy. Zielonkawe albo niebieskie oczy - w sztucznym świetle Didi nie miała pewności, a wołała aż tak dokładnie mu się nie przyglądać. Na białą koszulę zarzucił granatową, nylonową lekką kurtkę - wiatrówkę. Całkiem przystojny.

- Ale mąż na pewno marzy o synu - podjął.

Nie wie przecież, że mam męża, pomyślała Didi, lecz zaraz sobie uprzytomniła, jak sama mówiła, iż jeden precel jest dla męża. Zezłościła się na siebie.

Dlaczego tak nieprzyjemnie go traktuję? - skarciła się w duchu. Nie dość, że niegrzecznie, to nie po chrześcijańsku.

- Mąż na pewno marzy o synu - powtórzył tym samym tonem.

- Nawet jeśli, to głośno się nie przyznaje - odparła szybko Didi.

Wyjęła trzy dolary i zapłaciła za ciastka.

Wypiła duży łyk wody i oddała sprzedawcy kubeczek. Nie miała już jak go nieść. Wrzuciwszy resztę do portmonetki, odezwała się przyjaźnie:

- Miłego dnia.

- Nawzajem - odrzekł chłopak za ladą.

Wyszła ze sklepu, a mężczyzna za nią. Didi usiłowała przyspieszyć kroku, lecz nie mogła. Zrównał się z nią i spytał:

- Pomóc pani nieść te torby? Wyglądają na ciężkie.

Ponownie spróbowała iść szybciej. Czyżby wyglądała, jakby się słaniała?

- Nie, wcale nie są takie ciężkie - uspokoiła jego i siebie. - Ale dziękuję. Miłego dnia, do widzenia.

- Na pewno? Chętnie pomogę. I tak nie jestem szczególnie zajęty. Słowo.

Próbowała mu się nie przyglądać; jej serce ścisnęło się niepokój. Nie, skarciła się w duchu, zachowuje się jak histeryczka. Zauważyła sklep Warner Bros.

- Poradzę sobie - zapewniła i odsunęła się od mężczyzny.
- Ale dziękuję za troskę.

Nie oglądając się, ruszyła do sklepu, lecz lęk nie ustępował.

Przeszła do działu dziecięcego. Odstawiła torby, nadgryzła precel i zaczęła się rozglądać.

Nagle straciła ochotę na zakupy i jedzenie. Postanowiła zadzwonić do Richa i wyjęła z torebki telefon komórkowy. Aparat był uszkodzony, brakowało klawisza z siódmką, który wygryzła mała Reenie w czasie jednej z weekendowych podróży nad jezioro Texoma. Czas kupić nowy.

Co takiego - oprócz szerokiego uśmiechu - uderzyło ją u tego mężczyzny? Zachowywał się, jakby doskonale znał Didi, ale nie to wzbudziło jej podejrzliwość. Coś innego. Miała ochotę się przeżegnać.

- Co cię opętało? - szepnęła do siebie, uważnie się przyglądając bluzkom. - Dlaczego jesteś taka podejrzliwa? Przecież on tylko chciał ci pomóc.

Mąż nie odbierał. Jak zwykle. Odezwała się automatyczna sekretarka.

- To ja - powiedziała Didi po sygnale. - Dzwonię z centrum handlowego, liczyłam, że może uda nam się wcześniej spotkać. - Umilkła, walcząc z pokusą, by się nie obejrzeć. - Nieważne. Spotkamy się o pierwszej, tak jak się umawialiśmy. Pa!

Wzięła bluzki dla dziewczynek i skierowała się do kas. Natychmiast go zauważyła. Stał przy zegarkach z Tweetym. Wyglądał, jakby zupełnie o niej zapomniał.

Przy kasie Didi wyjęła gotówkę, żeby szybciej skończyć transakcję.

- Spójrz, Linda! - zawołała kasjerka do koleżanki. - To się nazywa ciąża - zwróciła się do klientki.

- Owszem - odparła Didi, starając się mile uśmiechnąć. - Bardzo się śpieszę, więc...

Położyła na blacie dwie dwudziestki, ale pieniądze nie zrobiły wrażenia na dziewczynie.

- Na kiedy ma pani termin? - spytała Linda, ciepło patrząc na Didi.

- Za parę tygodni.

Przygryzła wargę. Kasjerka chyba z premedytacją tak wolno przesuwiała czytnikiem po koszułkach. Didi najchętniej wyszłaby, nie płacąc, ale nie chciała, żeby mężczyzna sobie pomyślał, że jest zdenerwowana albo że się śpieszy. Niech mu się wydaje, że również o nim zapomniała.

- Wie już pani, czy to chłopiec, czy dziewczynka? - dociekała Linda.

- Nie mam pojęcia.

- I nie chce pani wiedzieć?

- Nie, niezbyt.

Didi zaczęła stukać w blat, ale miała krótkie paznokcie i nie udało jej się osiągnąć zamierzonego efektu.

- Ja chyba nie wytrzymałabym z ciekawości - ciągnęła Linda. Didi tak daleko posunęła banknoty, że sfrunęły na podłogę.

- Pani pieniądze! - zawołała dziewczyna przy kasie i z niewyjaśnionych powodów bardzo ją to rozbawiło. Linda też zaczęła chichotać. Didi próbowała się uśmiechnąć.

Nagle poczuła, że ktoś za nią staje i ogarnął ją strach.

Zmusiła się, by spojrzeć za siebie. Starszy, siwy mężczyzna w garniturze uprzejmie skinął jej głową. Młody człowiek w nylonowej kurtce nadal stał przy Tweetym. Didi od razu ulżyło, skarciła się za swoją głupotę.

Linda podeszła obsłużyć starszego klienta, kasjerka Didi szukała torebki na koszulki.

- Płaci pani dwadzieścia osiem siedemnaście - oznajmiła pogodnie. - Dała mi pani dwudziestkę?

- Przepraszam, ale dwie dwudziestki spadły mi na podłogę, jeśli to nie byłby kłopot...

- Skądże. Dwie dwudziestki.

Dziewczyna schyliła się i podniosła banknoty. Wystukała na kasie czterdzieści.

- Należy się pani jedenaście, osiemdziesiąt trzy - powiedziała, wyjmując pieniądze z szufladki. - Tak jest do dwudziestu dziewięciu - odliczała, podając Didi bilon i banknoty. - Trzydzieści. Dwie piątki to czterdzieści.

Didi nie zapanowała nad sobą i wyrwała jej pieniądze.

- Dziękuję. Miłego dnia!

- Nawzajem. Powodzenia przy porodzie i w ogóle! - krzyknęła jeszcze za nią kasjerka.

Didi tylko się skrzywiła.

Wyszła ze sklepu Warner Bros, sama nie wiedząc, co robić. Rozejrzała się wkoło. Mężczyzny ani widu, ani słyhu.

Może wrócić do samochodu? Tak, to najlepsze rozwiązanie. Nie, chwileczkę. Musi jeszcze wpaść na moment do sklepu z bielizną Victoria's Secret.

Zerknęła przez ramię, upewniając się, czy tamten jej nie śledzi.

Co mnie opętało? - pomyślała. Przecież sprawiał wrażenie zupełnie normalnego, miłego faceta.

Parę dni temu wraz z przyjaciółką robiła zakupy w centrum handlowym Collin Creek i tam bardzo podobny mężczyzna zaproponował jej pomoc w dźwiganiu zakupów. Właściwie nawet nie zaproponował, po prostu wziął torby ze słowami: „Zaniosę je pani”. Didi podziękowała mu, wsiadła

do samochodu i razem z Penny pojechały do kina. Padało i przyjaciółka była pod wrażeniem miłego gestu nieznanego.

To wspomnienie podniosło Didi na duchu. Weszła do sklepu.

- Dzień dobry, czym mogę służyć?

Zbliżyła się do niej ładna, szczupła ekspedientka. W ciąży Didi zawsze dostrzegała szczupłość innych kobiet. Zwłaszcza w sklepie z bielizną. Czuła się niewyraźnie, ilekroć musiała prosić o peniuar czy komplet w największym rozmiarze. Sprzedawczynie zazwyczaj musiały przynosić je z zaplecza. Czasem oddelegowywały do tego koleżanki, prosząc donośnym głosem:

- Janice, mogłabyś sprawdzić, czy mamy jeszcze duże rozmiary tego czerwonego satynowego kompletu?

Zadowolona, że w sklepie nie było innych klientek, Didi poprosiła o coś seksownego z jedwabiu na pobyt w szpitalu.

- Mam coś, co idealnie się dla pani nada - oznajmiła ekspedientka. - Kiedy pani rodzi?

- W poniedziałek - odpowiedziała Didi.

- Czyli dziś? - Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

- Może nie dziś - wyjaśniła beztroskim tonem - ale chciałabym, żeby dziecko przyszło na świat w poniedziałek.

- To pani szczęśliwy dzień? Didi skinęła głową twierdząco.

- Chyba tak. Sama urodziłam się w poniedziałek, drugą córkę wydałam na świat także w poniedziałek, a poród był bardzo lekki. Znacznie lżejszy od pierwszego, który zaczął się w sobotę.

- Może dlatego, że był drugi - zauważyła dziewczyna.

- Najprawdopodobniej tak. Ale poniedziałek to i tak mój szczęśliwy dzień.

- Oby tylko poród nie wypadł dzisiaj. Pokażę pani, co mogłoby się dla pani nadawać.

Dziewczyna miała ładne, rude włosy. Didi zastanawiała się, czy to naturalny kolor. Sama szczyciła się tym, że nigdy nie farbowała swoich ciemnych włosów ani nie robiła pasemek. Nie musiała się też bardzo malować, choć kupowała dużo kosmetyków. Uważała, że dobrze się czuje we własnej skórze. Ekspedientka musiała dostrzec jej spojrzenie, bo z uśmiechem dotknęła fryzury i powiedziała:

- Genialna farba. Podoba się pani?

- Prześliczna. Wyglądają bardzo naturalnie - odparła Didi z uśmiechem, zadowolona.

- Ma pani piękne włosy. Ale czy nie jest trudno sobie radzić z takimi długimi? Zwłaszcza w ten upał i na dodatek w ciąży?

- Nie jest tak źle. - Didi odsunęła za ucho brązowy kosmyk. - Nie kręcą się, więc nie wymagają wielkich zachodów. I za nic nie mogę ich obciąć: mąż uwielbia długie włosy.

Dziewczyna znalazła jedwabny szlafroczek w kolorze burgunda, do tego dobrała haleczkę, majtki i stanik. Didi świetnie wyglądała w tym komplecie, chociaż halka nieco się opinała na brzuchu. Pozostawało żywić nadzieję, że ten kiedyś wreszcie zniknie.

- Wezmę to - oznajmiła, wychodząc z przymierzalni.

Ze środka sklepu zlustrowała wzrokiem otoczenie. Serce zabiło jej szybciej, kiedy przez moment sądziła, że dostrzega plecy mężczyzny.

Duże liście zasłaniały osobę siedzącą na ławce, więc trudno było stwierdzić, czy to na pewno on. Odwróciła się do kasy.

- Coś pani mówiła? - spytała z roztargnieniem.

- Wie już pani, co to będzie? Didi uśmiechnęła się lekko.

- Liczymy na chłopca - zwierzyła się dziewczynie. - Ale nie wiemy.

- Na dwoje babka wróżyła?

- Mój mąż nie ma wątpliwości. Całymi tygodniami nosił swoje „szczęśliwe” czerwone skarpetki. Jego zdaniem prawdopodobieństwo wzrosło do siedemdziesięciu pięciu procent.

- Czerwone skarpetki? - Ekspedientka popatrzyła na nią jak na wariatkę.

- To nie mnie odbiło - tłumaczyła Didi. - Te same skarpetki wkłada, gdy grają Kowboje. Raz, gdy je miał na nogach, zdobyli puchar Super Bowl i od tamtej pory co niedzielę nosi czerwone skarpetki. Zdaje się, że od tamtego zwycięstwa również ani razu ich nie uprał.

- Ojej! - westchnęła sprzedawczyni, podając jej rachunek do podpisania. - Mam nadzieję, że w niedzielę nie siedzi pani przy mężu.

- Jestem futbolową wdową - odparła Didi, choć wcale tak nie było.

Zabrzmiało to po prostu dowcipnie, ale i tak żałowała, że to powiedziała. Przepadała za futbolem i starali się wspólnie oglądać mecze. Za to mówiąc o czerwonych skarpetkach, nie kłamała. Rich wierzył w nie, nawet kiedy Kowboje przegrali.

- Pomyśl, jak by dostali w skórę, gdybym ich nie miał na nogach - argumentował, gdy Didi podawała w wątpliwość czarodziejską moc skarpetkowego talizmanu.

Na to już nie znalazła odpowiedzi.

- Powodzenia. - Dziewczyna potrząsnęła rudą grzywą. - Życzę pani chłopca i lekkiego porodu.

- Dziękuję. - Didi się uśmiechnęła. - Miłego dnia.

- I niech pani siedzi w domu! - zawołała za nią ekspedientka. - Ten upał jest zabójczy!

- Spokojna głowa.

Wyszła ze sklepu i spojrzała na zegarek. Za pięć pierwsza. Czas na spotkanie z Richem. Przy odrobinie szczęścia spóźni

się jedynie dziesięć minut, ale pewnie urośnie to do kwadransa. Wzrokiem przeczesła sklepy. Zaledwie garstka klientów. Wielkie nieba, czy wszystkie kobiety zachowują się tak paranoicznie przed rozwiązaniem? - zastanawiała się Didi. Niech no tylko opowie o tym Richowi!

Obładowana zakupami wróciła do Dillarda, ruszyła w lewo, mijając Freshens, potem skręciła w prawo i wyszła na zewnątrz. Na dworze panował potworny upał, słońce paliło niemiłosiernie. Po kilkunastu krokach Didi zaczęło kręcić się w głowie. Modliła się, by dotrzeć do samochodu i nie zemdleć.

Postawiła zakupy na chodniku i rozejrzała się po parkingu, zastanawiając się, gdzie stoi jej wóz. Wolno wyjęła z dużej torby mniejsze opakowanie z preclem i skubnęła kawałek ciastka. Przeżuwała je wolno. Zerknęła na godzinę: już dziesięć po pierwszej. Postanowiła wziąć się w garść, chwyciła trzy reklamówki w jedną rękę, trzy w drugą i z torbą przewieszoną przez ramię ruszyła chwiejnym krokiem. Czy naprawdę musiała kupować te drewniane klocki? Zmagiła się z pakunkami, co chwilę je odstawiała i ocierała pot z czoła, żałując, że nie spięła włosów.

Przeszła parę kroków, ale nigdzie nie dostrzegła swego minivana. Postawiła reklamówki na ziemi, głośno wciągnęła powietrze, licząc, że dzięki temu lepiej się poczuje, i zaczęła przegrzebywać torbę. Znalazła kluczyki i nacisnęła guzik alarmu, żeby auto „dało głos”. Tymczasem zamiast wycia alarmu usłyszała dźwięk zwalniającej się blokady drzwi. Spojrzała w prawo i zobaczyła swój biały samochód. Nacisnęła nie ten guzik. Dzięki Bogu!

Uszczęśliwiona Didi wrzuciła kluczyki do torebki i schyliła się po rzeczy.

Wtedy za plecami usłyszała głos:

- Nie powinna pani dźwigać tych ciężkich toreb. Może pani zaszkodzić dziecku.

12.58

Richard Wood ustawił swojego pontiaca bonneville na parkingu przy restauracji Laredo Grill i rozejrzył się za minivanem Didi. Nie było go. Zerknął na zegarek: okazało się, że dochodzi pierwsza i przyjechał przed czasem. Został w samochodzie, słuchając płyty Bad Company. Didi powtarzała, że dla Richa czas zatrzymał się w latach siedemdziesiątych, ale jej mąż uważał to za komplement.

Samochodowy zegarek wskazywał siedemnaście po pierwszej, kiedy Rich postanowił rozejrzeć się za żoną w restauracji. Może zaparkowała gdzie indziej. Zaczął się śpieszyć. Dlaczego zapomniał, że Didi czasem zostawia wóz na pobliskim parkingu przy Olive Garden, leżącym bliżej wjazdu na autostradę, którą wracają do domu?

13.20

Didi chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Serce dudniło jej w piersi. Nie musiała się odwracać. Poznała ów głos: to mężczyzna w wiatrówce. Poczowała mdłości.

- Słyszała mnie pani? - odezwał się ponownie. - Nie powinna pani dźwigać takich ciężkich toreb. To może zaszkodzić dziecku.

Didi się odwróciła.

Stała twarzą w twarz z mężczyzną, który teraz trzymał ręce w kieszeni. Temperatura przekraczała czterdzieści stopni, a ten chodził w kurtce. W chłodnym wnętrzu sklepu nie zauważało się, jak bardzo jest ona nie na miejscu, ale na rozpalonym od słońca parkingu - natychmiast.

Patrzyła mu prosto w oczy, nie odwracając wzroku. Zadarty nos sprawiał, że mężczyzna wyglądał na rozdrażnionego, jakby za długo czekał na autobus. Podniesione kąciki ust udawały uśmiech, choć bardziej przypominało to grymas, jak gdyby zmuszał napięte wargi do zbliżenia się ku oczom, których nie ożywiały iskierki rozbawienia. Były niebieskie, bardzo zimne i brakowało w nich czegoś ważnego. Wyraz oczu - podobnie jak wiatrówka zarzucona na białą koszulę - nie pasował do parkingu przed centrum handlowym w upalny letni dzień.

Didi ścisnęła torby, mężczyzna przesunął spojrzenie po każdej z nich. Próbowwała się skupić, ale zamiast jego twarzy widziała jedynie ciemne punkciki.

Czekaj, poczekaj, powtarzała w duchu, zmuszając się do koncentracji. Myśl! Może nie jest tak źle. Może faktycznie chodzi mu tylko o te ciężkie torby. Pamiętasz? To samo powiedział w środku.

Ale teraz w jego głosie pojawiła się sroga nuta, jakby ją osądzał. Didi aż nadto dobrze znała ten potępiający ton. Kiedy

odwiedzała ich teściowa niech Bóg ma ją w swej opiece - spoglądała na synową i mówiła:

- Za mało jesz, Didi.

Identyczny ton - ale Barbara była matką jej męża, podczas gdy tego mężczyzny Didi zupełnie nie знаła i wyszedł za nią ze sklepu.

Momencik. Kto powiedział, że za nią? Może wcale za nią nie szedł. Może po prostu zaparkował w pobliżu samochód i właśnie wracał do domu?

Milczała zbyt długo. Próbowwała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w gardle, a serce jej biło za szybko.

- Nie musi mi pan pomagać. Zaraz wsiądę... - urwała, żałując, że w ogóle zaczęła to mówić.

Ugryź się w język, kretynko! Po co ma wiedzieć, że stoją przy jej wozie?

- Bardzo chętnie pomogę pani wsiąść do mojego samochodu - oświadczył mężczyzna.

Zabrakło jej tchu. Otworzyła usta, by złapać powietrze.

- Ale ja nie chcę - dobyła wreszcie głosu. - Umówiłam się z mężem na lunch.

Kolana się pod nią ugięły; oparła się o samochód. Mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu, odsłaniając zęby.

- Zdaje się, że dziś zje lunch samotnie.

Didi w panice rozglądała się za jakąś matką z dzieckiem czy starszym małżeństwem albo mężczyzną, kupującym prezent dla żony. Dlaczego ilekroć musi poprawić bieliznę albo podrapać się po udzie, po parkingu kręcą się tłumy kupujących, a teraz, gdy rozpaczliwie potrzebuje obecności jakiegoś człowieka, nikogo nie ma? Dlaczego?

Pech.

Nie. To karma, pomyślała, przypominając sobie wczorajszą kłótnię z Richem. Oto wytłumaczenie.

Czy to moja karma? - zastanawiała się gorączkowo. Ten młody facet, który mi grozi i straszy mnie dziwnym zachowaniem i spojrzeniem?

Chciała się odezwać, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Ciii - powiedział. - Niech się pani nie przejmuję. Pojedziemy na małą wycieczkę.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

- Owszem, może pani. Proszę. Muszę nalegać - dodał.

Stał bardzo blisko, między samochodami, naruszając strefę prywatności Didi. Kolana nadal jej się trzęsły. Rozglądała się dokoła.

Błagam, niech ktoś tędy przejdzie, wysiadzie z samochodu, wszystko jedno - byle tylko nas zauważył. Błagam!

13.25

Didi nie było w restauracji. Rich uważał, że nie ma bardziej żalosego widoku nad męża czekającego na spóźniającą się żonę. Zażenowany poprawił krawat i uśmiechnął się przyjaźnie do hostessy.

W końcu zadzwonił do biura, wysłuchał informacji Didi nagranej o wpół do pierwszej - pytała, czy nie mogliby się wcześniej spotkać. Nie podobał mu się jej głos; brzmiało w nim dziwne napięcie, mówiła jakby piskliwie.

Sama prośba też była nietypowa. Rich i Didi znali się od dziesięciu lat i do tej pory ani razu nie zdarzyło się, by żona zatelefonowała ze sklepu, prosząc o przesunięcie spotkania na wcześniejszą porę.

Na później - owszem.

„Kochanie, spóźnię się parę minut”.

„Kochanie, utknęłam w kolejce”.

„Kochanie, muszę jeszcze wpaść w jedno miejsce”.

Tak, tak, tak.

Ale nigdy: „Kochanie, czy możemy się spotkać wcześniej?”.

Gdyby siedziała teraz w Laredo Grill, mógłby sobie z tego po — żartować.

Ale nie siedziała.

Rich wiedział, że między centrum handlowym a restauracją czyhało wiele pokus. Żona mogła wpaść do księgarni albo sklepu z płytami. Albo do magazynu z wyposażeniem domowym.

Odczekał trochę i ponownie zadzwonił do pracy. Nie było żadnej nowej wiadomości od Didi z wyjątkiem telefonu o wpół do pierwszej. Gdyby gdzieś wpadła, odezwałaby się już do niego. Często się spóźniała, ale zawsze uprzedzała o tym Richa.

O wpół do drugiej zerknął na zegarek. Miejsce głodu zajął coraz silniejszy niepokój.

Pół godziny - to zbyt długo, nawet na najdłuższą kolejkę.

Wystukał numer jej telefonu komórkowego. Po siódmym sygnale denerwujący męski głos poinformował go, że abonent jest niedostępny.

Rich zastanawiał się, czy w ramach zemsty za wczorajszą kłótnię Didi nie postanowiła mu udowodnić, że wystarczy niewielkie spóźnienie, by szalał z niepokojem. Może w ten sposób odpłaca mu pięknym za nadobne, pomyślał rozdrażniony, co pół minuty spoglądając na zegarek.

Gardło coraz bardziej mu się ścisnęło. To nie w porządku, że Didi tak się spóźnia. Jest na finiszu ciąży. Na pewno wie, że będzie się denerwował, czy nie zaczęła rodzić albo nie miała wypadku.

Po raz trzeci odsłuchał informacji, nagranej o wpół do pierwszej: „To ja - mówiła Didi. - Dzwonię z centrum handlowego, liczyłam, że może uda nam się wcześniej spotkać. - Pauza. - Nieważne. Spotkamy się o pierwszej, tak jak się umawialiśmy. Pa”.

Wysłuchał jeszcze raz, próbując odczytać znaczenie owej pauzy.

Co takiego brzmiało w głosie żony?

13.30

Po policzkach Didi spływał pot. W każdym razie liczyła, że to pot, a nie łzy. Nie chciała płakać przy tym człowieku. - Niech pan posłucha - szepnęła. - Proszę... Wytrzeł jej twarz. Starł łzy z jej policzków.

- Pojedzie pani ze mną na wycieczkę.

Gdzie są kluczyki? Gdzie się podziały? Gdzie je wrzuciła? Niech to szlag: do torby! I co ma niby zrobić? „Niech pan chwilę poczeka, tylko pogrzebię w torebce. Jeden momencik, tylko wyciągnę kluczyki...”.

I co potem? Włączy alarm? To przekleństwo parkingów, ulic, miejskiego życia? Niczego bardziej nie ignorowano, jak wycia alarmów samochodowych. Co sobie wtedy myślimy? Niech ten bałwan wreszcie znajdzie kluczyki i wyłączy tego wyjca!

A mimo to żałowała, że nie trzyma w ręku kluczyków. Uruchomiłaby alarm, spłoszyła mężczyznę, wskoczyła do środka, zablokowała zamki i odjechała.

Oparła się o samochód i ciężko dysząc, usiłowała zapanować nad drzeniem kolan.

Napastnik przysunął się i lekko naparł na nią ciałem.

- Wszystko będzie dobrze. Mój samochód stoi niedaleko.

Didi wiedziała, że w tym stanie nigdzie nie dojdzie; bez oparcia runęłaby na ziemię.

- Dobrze - odrzekła, pociągając nosem. - Może pan wziąć zakupy? Wpychała mu paczki do rąk, zatrzymując tylko torebkę i spojrzała nad jego głową, rozglądając się za ludźmi. W duchu przeklinała dzień, kiedy zaczęła się moda na minivany. We dwoje stali teraz wciśnięci między jej auto a zaparkowany o metr dalej pikap. Za sobą miała kolejny pojazd tego typu, skutecznie blokujący jej widok. Co gorsza, ten minivan ją także zasłaniał.

- Może pan wziąć moje rzeczy? - powtórzyła, usiłując mówić spokojnie.

Potrzebowała sekundy na sięgnięcie do torby. Parsknął śmiechem.

- To chyba zły pomysł. Ale miło, że pani poprosiła.

Didi odsunęła się od samochodu, próbując stanąć o własnych siłach.

- Sam pan mówił, że nie powinnam dźwigać - podjęła kolejną próbę. - Niech mi pan pomoże. Są naprawdę ciężkie.

Nadal pogodnie się uśmiechał.

- A czyja to wina? Moja? Czy to ja przez pół godziny wybierałem u Dillarda kosmetyki? Czy to ja wstąpiłem do FAO Schwarz i wyszedłem z kolejną torbą? Czy to ja byłem u Coacha? Warner Bros? Victoria's Secret? Nie, nie ja. Niczego nie kupiłem. Mam wolne ręce. Ale pani się nie przejmowała, taszczyła pani te torby, nie myśląc o dziecku. To pani wina, że są ciężkie. Chodźmy. Tracimy tylko czas.

Boże Wszechmogący, pomyślała Didi. Nie ulegało wątpliwości, że nie spuszczał jej z oczu, odkąd weszła do centrum handlowego. Całkiem niewykluczone, że śledził ją już u lekarza.

Dlaczego to robił? Dlaczego właśnie ją sobie upatrzył?

Wolała nie odwracać się do niego plecami.

Didi wyobrażała sobie, że strach to uczucie, które ją ogarniało, gdy oglądała z mężem horror: nastolatki siedzą w pokoju, gdzie w każdej chwili mogą się pojawić wampiry. Żołądek jej się wtedy ścisnął, przytuliła się do Richa i mówiła:

- Nie będę tego oglądała.

I na to miała teraz największą ochotę: żeby odwrócić się i powiedzieć: „nie będę tego oglądała”.

- Co powie pańska żona, gdy się dowie, że zabiera pan obce kobiety na przejażdżki? - spytała.

Natychmiast pożałowała swego pytania. Z twarzy mężczyzny zniknęła uprzejmość. Zaciskał i rozluźniał pięści, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Szybko mu się to udało i wziął Didi pod ramię. Nie ścisnął, by sprawić jej ból, ale też nie wypuszczał. Mimo buńczuczego tonu czuła, że lada chwila wpadnie w histerię.

Chyba czas na ustalenie pierwszej zasady - oznajmił chłodno. - Proszę nie wciągać w to mojej żony.

- Przepraszam - bąkała żałośnie. - Niech pan zrozumie... Spodziewam się dziecka.

Wpuścił jej rękę.

- Niech się pani nie obawia. Zabieram panią na wycieczkę, to wszystko.

Czuła, że osuwa się na ziemię. Kręciła głową i powtarzała:

- Nie będę tego oglądała. Nie będę...

- Co pani wyprawia?

Chwycił ją za ramię. Didi upadła na asfalt między samochodami.

- Co pani wyprawia? - Znowu ją szarpnął, pilnując się, by nie podnosić głosu. Odchrząknął, ale i tak mówił chrapliwie: - Proszę wstać!

- Nie mogę. - Dyszała. - Nie utrzymam się na nogach. Niech mnie pan zostawi! Nikomu nic nie powiem, tylko niech mnie pan zostawi w spokoju. Boli mnie brzuch. Mąż na mnie czeka w restauracji. Proszę mnie zostawić...

- Mówiłem: wstawać!

Podniosłaby się, gdyby mogła, ale nie była w stanie się ruszyć. Nadal ścisnęła zakupy. Wypuściła je i rozpaczliwie próbowała się dostać do wnętrza torby. Kluczyki, kluczyki, kluczyki.

- Powiedziałem: niech pani wstaje! - powtórzył ostro, pochylając się nad nią.

Otworzyła usta do krzyku, lecz zabrakło jej tchu. Czuła się, jakby przebiegła pędem ponad półtora kilometra i z trudem chwytiała powietrze. Przygryzła wargę, usiłując oddychać przez nos.

- Wstawać!

Wolno pokręciła głową.

Nikt ich nie widział. Didi nadal leżała na ziemi. Zbierało jej się na płacz, więc zasłoniła twarz białą torebką z preclem. Nie chciała, żeby ten człowiek zauważył jej słabość. Poczowała w ustach słony smak: krew z przygryzionej wargi.

Mężczyzna odrzucił na bok torebkę z preclem, chwycił Didi pod pachami i podciągnął do pozycji stojącej. To uświadomiło jej jego siłę. U kresu ciąży nawet mąż miał problemy, dźwigając ją z kanapy albo z łóżka. A z podłogi? Wybijcie to sobie z głowy, potrzebowaliby dźwigu.

Didi lała się napastnikowi przez ręce, ale nie ustępował, jakby miał do czynienia z upartym chwastem. Ledwo stanęła na nogi, znowu zaczęła się osuwać na ziemię.

- Idziemy! - warknął, lekko popychając ją przed sobą. - Idziemy! Może pani być w zaawansowanej ciąży, ale na pewno nie jest to kalectwo. Jeszcze parę minut temu śmigała pani przez sklepy, nie przejmując się torbami, a teraz nie może pani przejść paru głupich metrów? Co pani sobie zrobiła? - spytał, przyjrzawszy się twarzy Didi. Wytarł jej usta i pokazał ślady krwi. - Widzi pani? Niechże pani coś powie.

Próbowała, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło. Lęk o własne życie, o dziecko, rodzinę - cały strach świata zgromadził się teraz w jej ustach; a te były zakrwawione i milczały. Didi miała wrażenie, że ktoś nalał jej do gardła cementu. Nic się nie poruszało, z wyjątkiem języka, który usiłował jej pomóc w oddychaniu. Czuła, jak cała sztywnieje na samą myśl o oddaleniu się od jedyne go, bezpiecznego miejsca - własnego samochodu. Stała przy odblokowanych

drzwiach. Dlaczego nie nacisnęła guzika alarmu zamiast elektrycznego zamka? Może to by go spłoszyło. Może... Czy do tego wszystko miało się sprowadzić? Do naciśnięcia niewłaściwego guzika?

Mężczyzna znowu ją pchnął - Didi ruszyła przed siebie. Zrobiła parę niepewnych kroków i wyszła do głównej alejki. Obok przejechał jakiś wóz.

Nagle obudziła się w niej nadzieja. Wśród samochodów nie miała żadnych szans, ale tutaj, na otwartej przestrzeni, może ktoś ją zauważy. Ktoś zwróci uwagę na biegnącą...

Biec? Oszalała? Przed chwilą bezsilnie osunęła się na ziemię. Nie może biec, nie robiła tego od miesiący. Napór dziecka na miednicę sprawiał, że pokonywała schody po jednym stopniu. Nawet nie mogła udawać, że ściga się z dziewczynkami.

Dziewczynki. Głośno wciągnęła powietrze i wypuściła torby.

- Może je pani podnieść? - spytał.

- Nie mogę - wydyszała. - Są dla mnie za ciężkie. Chciała zostawić ślad.

- Niech je pani podniesie - powtórzył.

- Nie mogę. - Pokręciła głową. - Zostawmy je. Mężczyzna przechylił głowę i spojrzał na Didi z ukosa.

- Doskonale pani wie, że nie możemy zostawić tych rzeczy na środku parkingu.

- Darujmy sobie - odparła, udając, że go nie rozumie. Próbowwała zdławić strach, który wgniatał ją w ziemię. Przecież ten facet nie robi jej nic złego w biały dzień, na środku parkingu, trzydzieści metrów od drogi.

Ta myśl odrobinę podniosła ją na duchu.

Wygląda na dość opanowanego, uznała. Zachowuje się całkiem rozsądnie, z tego wniosek, że nie jest czubkiem.

- Darujmy sobie - powtórzyła odważnie. - Nie potrzebuję ich. Naprawdę. Jeśli nie chce ich pan nieść, niech tu zostaną.

- Cholera! - warknął pod nosem.

Lewą ręką zgarnął wszystkie torby, prawą nadal trzymał Didi.

- Zabiorę pani bambetle. Zadowolona? Proszę się pośpieszyć. Mężczyzna poganiał ją, lecz nadal szła powolutku.

- Jeszcze troszeczkę, potem pani usiądzie - perswadował łagodnie.

Ale ona się nie śpieszyła. Chciała się wlec, człapać noga za nogą, coraz wolniej, a wreszcie się zatrzymać, usiąść, napić się, może coś przegryźć, przestać się wreszcie pocić, urodzić dziecko i obudzić się z koszmaru.

Przysięgała sobie, że nigdy więcej nie wybierze się po zakupy do NorthPark. Ani nie pójdzie do żadnego centrum handlowego bez męża, przyjaciółki i broni. Zwłaszcza że z tej ostatniej miałyby teraz niezwykły pożytek: „Niech pan zaczeka, muszę poszukać w torbie spluwy, żeby pana zastrzelić”.

Ile czasu upłynęło? Jak to możliwe, że w ciągu kilku minut, od kiedy ten człowiek się do niej zbliżył, nie widziała na parkingu żywej duszy? Gdzie się wszyscy podziali?

Didi omal nie krzyknęła z radości, gdy zobaczyła, jak w bocznej alejce wysiadają z samochodu dwie kobiety.

Nie była pewna, czy z otwartych ust wydostaną się jakieś słowa, ale przerażenie, które przed chwilą - kiedy nie widziała dla siebie żadnej szansy - odebrało jej siły, teraz - gdy dostrzegła nadzieję ratunku - pobudziło w niej energię do działania.

- Ratunku! Pomocy! - zawołała, odsuwając się od mężczyzny. Był szybki: wbił jej w ramię paznokcie, ale wyszarpnęła się i uderzyła go w twarz.

- Pomocy! - wrzeszczała. - To...! Kobiety spojrzały w ich stronę.

Wtedy mężczyzna na ułamek sekundy wypuścił jej ramię, chwycił ją za szyję, przyciągnął do siebie i mocno pocałował.

Przycisnął usta do jej warg, tchnął w jej usta powietrze i wepchnął do środka język. A przy tym nawet na chwilę nie przystanął. Didi próbowała się wyrwać, okazał się jednak zbyt silny. Miażdżył jej kark. Gdyby był kochankiem, mogłaby powiedzieć: „przestań, to boli”.

Ale on nie był jej kochankiem.

Zobaczyła, jak kobiety wymieniają uśmiechy, kiwają głowami i idą dalej.

Gdy napastnik odsunął się od niej, natychmiast ponownie spróbowała wrzasnąć. Znowu przyciągnął Didi do siebie, zdławił pocałunkiem krzyki, lecz tym razem ugryzł ją w wargę i przytrzymał zębami.

- Dość tego! - warknął przez zaciśnięte usta. - Idziemy. Didi pojękując, musiała dreptać przy nim.

Kiedy ją wypuścił, błyskawicznie obejrzała się za kobietami. Na próżno, zniknęły już w środku. Mężczyzna zatrzymał się przy zniszczonym beżowym samochodzie kombi, prawą ręką zasłonił jej usta, rzucił torby na ziemię i zaczął szukać w kieszeni kluczyków. Otworzył drzwi od strony pasażera i pchnął Didi na fotel.

Zaczęła krzyczeć - nie zostało jej nic do stracenia. Nie wiedziała, co zamierza porywacz, ale na pewno nie podrzuci jej do Laredo Grill. Miała mgłę przed oczami. Nie przestawała krzyczeć, lecz nikt jej nie słyszał.

Mężczyzna wsiadł i uruchomił silnik.

- Naprawdę, daruj sobie.

*

Jechali przez parking przed centrum handlowym NorthPark. Wnętrze starego samochodu śmierdziało i Didi

przez moment zastanawiała się, czy to nie ona tak cuchnie. Może straciła panowanie nad pęcherzem?

Ale nie, ten odór wydawał się zastarzały. Tak śmierdzi zepsute jedzenie. Zerknęła na porywacza.

Obie dłonie zaciskał na kierownicy.

Chciała do niego zagadać. Ale jak? Jak? Powiedziałaaby wszystko, byle się uratować.

- Jak się nazywasz? - odezwała się przyjaźnie.

Nie stać mnie na nic lepszego? „Jak się nazywasz?”. Co ja jestem, nastolatka w szkolnej szatni?

Nie odpowiedział.

Drogi Boże, wskaż mi drogę, ukaż wyjście. Ze względu na moje dzieci. Proszę, wysłuchaj mojej modlitwy.

To jednak nie jest zły sen, pomyślała, kołysząc się do przodu i do tyłu. To się dzieje naprawdę. Ten mężczyzna... naprawdę mnie porwał. Zostałam uprowadzona, zabrana. Zachowuje się uprzejmie, uśmiecha się, ale mnie porwał. Jak Rich mnie odnajdzie? I czego ten człowiek chce? Pieniądzy. Oczywiście, na pewno zażąda pieniędzy. Tak robią porywacze. Nie chodzi mu o mnie. Zobaczył, jak robię zakupy i uznał, że jestem nadziana.

Jak by zareagował, gdyby poznał prawdę? - zastanawiała się gorączkowo. I co by się wtedy ze mną stało?

Zaciskając razem dłonie, Didi próbowała przywołać jakieś przyjemne myśli, tymczasem przez głowę przemykały jej tylko pytania: Czy umrę? Tutaj. W tym obcym, cuchnącym samochodzie? W obecności tego nieznanego? Czy właśnie tak dokonam życia...?

Dziecko.

Dlaczego myśli o śmierci, o cuchnącym wozie? Nie może umrzeć, bo wtedy zginęłoby także jej dziecko, a ono musi żyć.

Nie może do tego dopuścić.

Ono na mnie liczy, wierzy, że nie pozwolę mu umrzeć. To mój matczyzny obowiązek - strzec go i chronić przez złem. Jaka byłaby ze mnie matka, gdybym teraz umarła? Zła. Wyrodna. Didi delikatnie pogładziła się po brzuchu.

Przeszył ją dreszcz, gdy przypomniała sobie wczorajszą kłótnię z mężem. Ten biedak z pewnością uzna, że nie przyszła na lunch, bo nadal jest na niego wściekła. Idiotyczna awantura. Właśnie o to - że coś się stanie jej i dziecku. Rich tak się wściekł, że zaczął się drzeć: „Nic się nie stanie ani tobie, ani dziecku!”. Gniewał się, że sprowadzam pod nasz dach złe myśli.

Sama Didi czuła się jak idiotka, że lęka się najgorszego.

Wczoraj „to najgorsze” uosabiał bliżej nieokreślony lęk. Bała się, że dziecko urodzi się z dwoma sercami, mózgami albo niewykształconym sercem bądź mózgiem.

Dziś.... Wolą nie myśleć.

Ręce jej drżały. Delikatnie gładząc brzuch, wyglądała przez okno.

Czy to kara boska? - myślała. Nie byłam pobożna. Zaniedbywałam modlitwę; zdarza się, że nie chodzę w niedzielę do kościoła albo chodzę, chociaż mi się nie chce. Kto twierdził, że wyznawanie religii chrześcijańskiej jest łatwe? Wcale nie przypomina picia wody, zachłyśnięcia się Bogiem. Opuściłam się, tak samo zresztą moje dzieci i mąż. Oglądamy telewizję, kochamy się, a nie modlimy. Kłócimy się i klniemy. Zadzieralam nosa, a teraz Bóg mi pokazuje, kto tu rządzi.

Porywacz nie zahamował, mimo znaku stopu. Oby tak dalej, myślała Didi, a zatrzyma cię jakiś miły policjant. Przed następnym znakiem przyhamował jednak i udawał, że staje. Zerknęła na kłamkę. Samochód zwolnił do jakichś trzydziestu, piętnastu kilometrów na godzinę. Wystarczy otworzyć drzwi i

wyskoczyć. Podniosła z kolana drżącą rękę i sięgnęła do klamki.

Zatrzymała się jednak.

Dziecko! Wyskoczywszy z samochodu, może upaść na brzuch. Czy siła upadku nie sprawi, że pękną błony albo przerwie się pępowina? Czy w ten sposób może skrzywdzić dziecku kark albo zmiażdżyć miękką główkę?

Kątem oka spojrzała na mężczyznę. Wyglądał na spokojnego. Czy potrafiłaby wystarczająco szybko odczołgać się i uciec? A jeśli on się zatrzyma, wrzuci wsteczny bieg i przejedzie Didi, zabijając ją i dziecko? Potem zaś spokojnie ruszy w swoją stronę i ślad po nim zaginie?

Jedno nie ulegało wątpliwości: jeśli ona umrze, dziecko nie będzie miało najmniejszych szans. Przymknęła oczy.

Najdroższa Evelyn albo Adamie, mamusia zrobi, co w ludzkiej mocy, Bóg jej świadkiem.

13.45

Rich zadzwonił na porodówkę do szpitala, by się dowiedzieć, czy nie przyjechała do nich Didi. Nie było jej tam. Wreszcie wyszedł z restauracji. W którym centrum handlowym miała być? W Collin Creek po drugiej stronie ulicy czy też w Galleria, a może w Valley View? W NorthPark? Mogła dzwonić z każdego z tych miejsc, O jedenastej umówiła się na wizytę u położnika, więc mogła się wybrać do Collin Creek, które leżało najbliżej gabinetu i Laredo Grill. Rich pluł sobie w brodę, że nie towarzyszył żonie do lekarza - jak to czynił do tej pory.

Zatelefonował do ginekologa. Recepcjonistka powiadomiła go, że Didi stawiała się na rutynową, cotygodniową kontrolę i wyszła o wpół do dwunastej. Potem słuchawkę wziął lekarz, który powiadomił Richa, że u Didi pojawiło się centymetrowe rozwarście - naturalne na tym etapie ciąży. Wood spytał, czy nie wspominała, dokąd się wybiera. Lekarz odrzekł, że mówiła tylko o drobnych zakupach, ale nic konkretnego. Rich zakończył rozmowę.

Zamiast wrócić do pracy, pojechał do centrum handlowego Collin Creek. Didi miała swoje nawyki. Ilekroć wybierała się po zakupy - niezależnie gdzie - zawsze parkowała w pobliżu sklepu Dillarda. Rich krążył wśród rzędów samochodów, rozglądając się za nowym, białym chryslerem town & country - cadillakiem wśród minivanów, jak pisano o nim w broszurce reklamowej.

Kilka razy wydawało mu się, że dostrzega wóz żony, ale był to fałszywy alarm.

Przypomniawszy sobie, że na trzecią umówił się z działem marketingu, zadzwonił do kierowniczkę biura, oświadczył, że jest zajęty i nie przyjdzie.

- Ale, Rich, spotkanie - powiedziała z naciskiem.

- Ale, Donno, moja żona - odparł i rozłączył się bez dalszych tłumaczeń.

Potem zatelefonował do domu. Może Didi źle się poczuła i wróciła odpocząć. Zupełnie nie w jej stylu, jednak kto wie?

Nikt nie podniósł słuchawki. Opiekunka pewnie odbiera Amandę ze szkoły. Rich nagrał prośbę do żony o jak najszybszy kontakt. Co robić? Musi wierzyć, że Didi nadal się gniewa po wczorajszej sprzeczce. To jedyne wytłumaczenie.

Tylko że sam w to nie wierzył. Nie była zawzięta. Nawet jeśli się ścięli, robiła mu kolację, spała z nim i nigdy go nie wystawiła rufą do wiatru, gdy się umówili. Nigdy.

Nieoczekiwane zdarzenia niepokoiły Richa. Przypominały mu o ojcu, który zawsze wracał z pracy w Chicago pociągiem o piątej pięćdziesiąt cztery. Czasem pociąg się spóźniał, ale nigdy się nie zdarzyło, by Richard Wood senior na niego nie zdążył. Prawie nigdy. Tylko raz nie jechał kolejką o piątej pięćdziesiąt cztery, a było to w dniu jego śmierci.

13.45

Didi szukała w myślach sposobu zatrzymania mężczyzny, zanim wyjedzie z parkingu. Nadzieja była niczym uwięziony ptak, a klatka zamykała centrum handlowe NorthPark. Kiedy opuścą jego teren i wyruszą na ulice Dallas, ptaszek, zwany nadzieją, wyfrunie z beżowego samochodu. Didi musi spróbować ucieczki teraz, póki jeszcze ma szansę. W ustach jej zaschło, serce waliło jak młotem. Głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Posłuchaj - zaczęła. - Nie jesteśmy bogaci, ale... - Zbierało jej się na płacz, lecz nie pozwoliła sobie na łzy. - Zadzwoń do męża. Na pewno ci zapłaci... - Przerwał jej cichy śmiech. Więc jednak słuchał, jej słowa do niego docierały. Podniesiona na duchu Didi ciągnęła: - Chcę tylko powiedzieć... jeśli teraz... - zakrztusiła się - jeśli teraz mnie wypuścisz, wrócę do samochodu i nikomu o tym nie wspomnę, więcej się nie zobaczymy, tylko błagam... Czy nie mógłbyś... mnie wypuścić. - Nogi przeszył jej kurcz. Pomasaowała brzuch, by rozluźnić napięcie.

- Powiedz, nie będzie ci przykro, że się rozstaniemy i więcej nie zobaczymy? - spytał.

O czym on gada? To się nie trzyma kupy. Może się pomylił i wziął mnie za kogoś innego? Zachowuje się, jakby mnie znał. Głupia pomyłka, ale dopuszczalna. Widocznie uważa mnie za kogoś ze Starwood albo Highland Park. Nie mieszkam tam. Nie mieszkam - chciała zapewnić.

- Przepraszam, ale czy wiesz, kim jestem?

- Tak - odrzekł. - Los cię do mnie przyprowadził. Didi zrobiło się niedobrze.

- Co los ma z tym wspólnego? - spytała ze łzami, kręcąc głową.

- Jak to, co? Wszystko.

- Czekaj na mnie mąż. Jeśli wkrótce się nie zjawię, będzie się martwił. Na pewno wezwie policję.

- Wtedy będziemy już daleko.

Didi miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce, rozrywając klatkę piersiową. Zasłoniła ręką usta, żeby stłumić jęk.

Czyli ten mężczyzna ma jakieś plany. Prowadził samochód, dokądś zmierzał, a ona jechała razem z nim. Zanim Rich się zorientuje, że zginęła, „będą już daleko”. Słodki Jezu, co to znaczy?

- Zaniepokoi się, bo nigdy się nie spóźnię - podjęła Didi. - A jeśli tak, to dzwonię.

- Ale tu nie ma telefonu - zauważył porywacz.

Omów nie powiedziała mu o swoim telefonie komórkowym, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Czyli nie widział, jak dzwoniła do Richa ze sklepu Warner Bros. Nie będzie budzić jego czujności. Na pewno Rich do niej zadzwoni. Może w jakiś sposób po sygnale telefonu uda mu się sprawdzić, gdzie jest Didi. Może aparat ma jakieś urządzenie, określające, gdzie znajduje się jego użytkownik. Policja zadzwoni pod ten numer i ją zlokalizuje. Przez chwilę milczała, gdyż ogarniał ją coraz większy smutek.

- Chcę tylko zapewnić - spróbowała ponownie - że jeśli chodzi ci o pieniądze, na pewno coś wyskrobiemy...

Porywacz znowu cicho się roześmiał.

- Albo - nie ustawała Didi, zachęcona jego śmiechem - możesz mnie wypuścić. - Spojrzała na niego z nadzieją. - Nic złego się nie stało.

- Właśnie że tak.

- Nie, naprawdę - zapewniła pośpiesznie, marząc o wytarciu ust. - Chyba się pomyliłeś. Wydaje ci się, że jestem bogata, ale ja wcale...

- Nie uważam, że jesteś bogata.

- Ale jeśli mnie nie wypuścisz, wtedy to stanie się... - Nie przechodziło jej przez gardło owo straszne słowo.

- Porwaniem?

- Właśnie. Wystarczy jednak, że mnie teraz zostawisz. Proszę. Zastanów się. Wiesz, że za porwanie grozi ci kara śmierci? Prawo w Teksasie chyba dopuszcza taką możliwość.

- Najpierw musieliby mnie złapać.

- Ale zawsze łapią...

Cisnęło jej się na usta: „łajdaków”.

- Nie zawsze - odrzekł pewnym głosem. - Najpierw niech nas znajdą!

Didi wpatrywała się w niego. Chciała zaprotestować. Jak to: nie złapią łajdaków? To niemożliwe, czarne charaktery zawsze trafiają za kratki.

Prawda?

- Dopuszczasz się... - zaczęła.

- Tak, wiem - przerwał z zimnym uśmiechem. - I w takim razie powinienem dopilnować, żeby nie wpaść.

Odwróciła wzrok od jego zadartego nosa i skupiła się na drodze. W głowie miała sieczkę. Próbowwała udawać spokój, ale jej nogi od kolan w dół trzęsły się jak szalone.

Mężczyzna skreślił na drogę US 75.

- Trzymaj się, dziecino - odezwał się, jakby czytał w jej myślach. - Teraz już nie ma odwrotu. Choć trzeba przyznać, że próbowałaś. Ale przed nami jeszcze długa droga. Szybko się nie rozstaniemy. W ogóle nie - dodał nosowym głosem.

Didi zaplotła ramiona i wpatrywała się w przestrzeń przed sobą. Wraz z każdym haustem śmierdzącego powietrza do jej płuc wdzierał się strach. Skreślił na wjazd na autostradę i po chwili z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę mknęli w kierunku przedmieść Dallas.

- Błagam - szepnęła.

- Nie będę pędził - powiedział mężczyzna. - Pojedziemy sobie powolutku i spokojnie.

*

Dotrzymał słowa, choć chyba nie zamierzał jechać aż tak wolno. Utknęli w korku. Ruch na trzypasmowej trasie odbywał się tylko jednym pasem. Pomarańczowe znaki rozwiewały wszelkie złudzenia:

ROBOTY DROGOWE ZWOLNIJ!

Opanowany do tej pory kierowca poczerwieniał, ręce zaczęły mu się trząść. Minęli jeden zjazd i trudno przewidzieć, ile dzieliło ich od następnego. Utknęli wśród innych samochodów. Z lewego pasa trzeba było się wcisnąć na prawy. Przed nimi uparcie migiała żółta strzałka. „Przesuń się”, zdawała się mówić, „szybciej”.

Mężczyzna włączył radio i zaczął nucić do wtóru muzyki country. Didi już miała rozpocząć jakąś nieznaczącą pogawędkę, kiedy nagle odzyskała energię.

Może jednak uda jej się stąd wydostać.

Znajdowali się na prawym pasie. Od jej strony, jak okiem sięgnąć, ciągnął się niski betonowy płotek, oddzielający strefę robót drogowych. Samochód stał. Zero kilometrów na godzinę. Mężczyzna bębnił palcami w kierownicę i nucił melodię nadawaną w radiu.

Przy prędkości zero kilometrów na godzinę Didi spokojnie mogłaby otworzyć drzwi i wysiąść. Obawiała się jednak, że wóz stoi za blisko barierki i drzwi się nie otworzą. Teraz jeszcze żyła. A jeśli wykręci ten numer i porywacz ją zabije?

Dotknęła brzucha, potem zaś serca. Za szybko biło. Nie zamorduje mnie, pomyślała twardo. Muszę w to wierzyć. Sprawia wrażenie... niemal przyzwoitego faceta.

14.20

Rich ponownie zadzwonił do pracy i powiedział Donnie, że spodziewa się pilnego telefonu od żony. - Dzwoniła? - dopytywał się gorączkowo. Donna odparła, że nie i spytała, czy wszystko w porządku. Rich nie potrafił odpowiedzieć, więc zmilczał.

Potem wykręcił numer domu. Ingrid już wróciła z Amandą. Nie, Didi się nie odezwała. Tak, dziewczynki są w domu i wszystko gra.

- Tatusiu! - Do słuchawki dorwała się jego pięcioletnia córeczka. - Czy wrócisz dziś wcześniej?

- Jeszcze nie wiem, cukiereczku. Może.

- Gdzie jest mama? - spytała Amanda.

- Umówiłem się z nią na lunch. Niedługo wróci. Jak było w szkole?

- Dobrze. Mama musi zobaczyć, ile nam zadali. Muszę wyciąć i skleić dinozaura.

- Mama niedługo wróci, zgoda?

- Zgoda. Kocham cię.

Uznawszy rozmowę za zakończoną, Amanda odwiesiła słuchawkę.

Rich uśmiechnął się i również odłożył słuchawkę.

A mimo to bolesny niepokój nie ustępował. Gdzie jest Didi? Gdzie jest jego ciężarna małżonka, która lada dzień miała urodzić dziecko? Czuł się jak bałwan, stojąc na rozpalonej od słońca stacji Mobil przy Piętnastej Ulicy. Odgrywał swą rolę w sztuce zwanej „normalnym dniem”, tyle że brakowało jego partnerki - żony.

Konał z pragnienia, wszedł więc do sklepiku przy stacji benzynowej i kupił opakowanie sześciu puszek coli i wodę mineralną. Picie na moment poprawiło mu nastrój.

Potem ruszył w stronę centrum handlowego Valley View.

Jedna alejka za drugą, patrolował kolejne rzędy samochodów. Jeśli tu była, znajdzie ją. A jeśli ją znajdzie u fryzjerki, gdzie siedzi zadowolona, zapomniawszy o czasie, urządzi jej taką awanturę, że posiwieje, co do włoska.

14.30

Didi i mężczyzna od dziesięciu minut siedzieli w samochodzie, poruszając się z prędkością paru kroków na minutę. Kierowcę ogarniało coraz większe rozdrażnienie. Co chwila włączał i wyłączał prawy kierunkowskaz. Przypuszczała, że będzie się starał jak najszybciej zjechać z autostrady. Wydawało jej się, że słyszy sygnał telefonu, ale radio grało za głośno. Telefon spoczywał na dnie torby. Nastawiła uszu, lecz słyszała tylko muzykę. Widocznie wyobraźnia płata mi figle, pomyślała. Samochód stanął. Teraz!

Schwyciła klamkę i otworzyła drzwiczki.

Miała rację, byli za blisko barierki, drzwiczki uchylły się tylko na jakieś trzydzieści centymetrów. Mężczyzna natychmiast szarpnął kierownicą w prawo, wóz otarł o barierkę, ale drzwi się zatrzasnęły.

- Co ty wyprawiasz! - ryknął, chwytając ją za kark i odciągając od klamki.

Didi krzyknęła, gdy przygniótł ją do fotela, ręką zmuszając do ułożenia głowy na kanapie przedniego siedzenia. Usiłowała się podnieść i ugryźć go w rękę, lecz mężczyzna mruknął coś tylko i brutalnie przytrzymał jej głowę.

Wkrótce samochód ruszył, ale jechał zakosami. Didi usiłowała zapamiętać kierunek. Na próżno. Kilkanaście razy próbowała się wyprostować, wreszcie napastnik kazał jej się poddać.

- Nie podnoś się! - warknął. - Dość już narobiłaś kłopotów. Siedź, jak ci każę.

Narobiłam kłopotów? - pomyślała Didi, skulona poniżej okna na przednim siedzeniu. Czy zjawiała się policja? Zatrzymano nas? Wróciłam do męża? Nie, chyba jednak nie przysporzyłam mu żadnych problemów.

Głowę miała na wysokości kontrolek, rozglądała się po tablicy rozdzielczej i podłodze. Wydawało jej się, że znowu słyszy cichy sygnał telefonu, ale zagłuszyła go muzyka country.

Czy wydostali się z autostrady? Tak przypuszczała. Kątem oka widziała czubki drzew i dachy domostw z boku. Widocznie zjechał i poruszał się bocznymi uliczkami. Dokąd ją wiezie?

- Mogę usiąść? - spytała.

Mężczyzna nie odpowiedział, cofnął jednak rękę z głowy Didi, co uznała za przyzwolenie. Usiadła prosto.

- Co ci strzeliło do głowy? - zwrócił się do niej porywacz.
- Co sobie wyobrażałaś?

Didi milczała.

- Nie winię cię i nawet nie jestem zły. - Na potwierdzenie tego porywacz się uśmiechnął. - Widzisz? Ale musisz zrozumieć, że to nic nie da.

Rozmasowała głowę w miejscu, gdzie przyciskał ją ręką do fotela.

- Może nie wyraziłem się wystarczająco jasno: masz się mnie słuchać. Pojedziemy na krótką wycieczkę, to wszystko, lecz spodziewasz się dziecka i musisz na siebie uważać. Rozumiesz?

Proszę, wypuść mnie - odezwała się głucho Didi. - Mam męża... dzieci.

Kątem oka dostrzegła lekki uśmiech. Nie wzruszył się, jej prośba jedynie go rozbawiła.

- Wolałbym więcej się z tobą nie kłócić - oznajmił, ścisząc muzykę. - Nie próbuj więcej wysiadać z samochodu. Chcę, żebyśmy się zaprzyjaźnili, musisz jednak mnie przekonać, że mogę ci zaufać.

- Zaprzyjaźnili? - powtórzyła, nie wierząc własnym uszom. - Jasne, zaprzyjaźnili. Oczywiście.

- Nie pomyślałaś, że wypadając z samochodu, mogłabyś zaszkodzić dziecku?

- Nie zamierzałam z niego wypaść. To się więcej nie powtórzy. Obiecuję.

- Świetnie. Czyli wszystko będzie dobrze. A teraz zachowuj się, jak na grzeczną dziewczynkę przystało i pozwól mi spokojnie prowadzić. Przez roboty na Siedemdziesiątej Piątej straciliśmy ponad godzinę.

- Dokąd jedziemy? - spytała ostrożnie.

- Do Mazatlan - odparł. Milczała. Nie chciała wiedzieć.

- W Meksyku - wyjaśnił.

I tak mi powiedział, pomyślała, wzruszając ramionami.

Znowu wydawało jej się, że słyszy telefon.

Wkrótce rozpoznała niewykończone magazyny, przerobione na kluby i przybytki tatuażu, charakterystyczne dla Deep Ellum - hałaśliwej, trochę niebezpiecznej, pełnej trunków dzielnicy Dallas, w której królował styl funky. Przecinało ją kilka dużych tras międzystanowych. Droga numer 30 do Houston, 20 do Shreveport albo 35 prowadząca do Waco, Austin, San Antonio, a dalej do Meksyku.

W Meksyku nikt ich - jej - nie znajdzie; ani Rich, ani policja, nikt. W Meksyku ludzie po prostu się rozplęwali.

Perspektywa zniknięcia - w dodatku z nim - sprawiła, że Didi zaschło w gardle. Oblizła wargi i uświadomiła sobie, że nie ma ani odrobiny śliny. Po raz pierwszy w czasie tej podróży przyznała przed sobą, że chce jej się pić.

Zamierzała spytać, czy działa klimatyzacja, ale jedno spojrzenie na deskę rozdzielczą rozwiało jej wątpliwości - samochód po prostu nie był w nią wyposażony.

Cudownie, pomyślała i przez następny kwadrans wściekała się w duchu, że wóz porywacza nie ma klimatyzacji.

W tej chwili właśnie tego najbardziej jej brakowało, gdyż gotowała się wprost z gorąca. We własnym samochodzie miała komputer, który między innymi informował ją, jaka temperatura panuje na zewnątrz, a w tym starym gracie nie było żadnych udogodnień. Zegar na desce rozdzielczej nie działał, wentylatorki wdmuchiwały gorące powietrze, szyby zaś zostały pozamykane.

Didi patrzyła, jak mężczyzna skręca na trasę 35E i kieruje się na południe, do Waco.

- Jedziemy do Waco? - zwróciła się do niego.

- Nie - odparł bez wcześniejszej uprzejmości. - Mówiłem ci, dokąd jedziemy. Nie pytaj więcej.

Didi ciężko westchnęła i odwróciła się od niego, obserwując drogę. Kiedy to Rich prowadził, tak łatwo było nie myśleć o niczym i oglądać okolicę. Ale nie dziś. Dziś gotowała się z gorąca, brakowało jej tchu i śmiertelnie się bała.

Spróbowała otworzyć okno, lecz porywacz natychmiast wybuchnął gniewem.

- Co ty wyprawiasz? - ryknął. Zdumiona tym atakiem, aż się zachłysnęła.

- Jest mi gorąco, chciałam tylko otworzyć okno.

- Nie - uciął. - Nie wolno ci otwierać okien. Nie będziesz mi się znowu wydzierała!

- A kto by mnie tu usłyszał?

- Powiedziałem: nie!

- Nie będę krzyczeć - zapewniała go. - Jest mi bardzo gorąco, potrzebuję świeżego powietrza.

- Trzeba było o tym pomyśleć w sklepie. Wtedy nie potrzebowałaś powietrza, co? - odparował zimno.

O czym on wygaduje? Co się z nim dzieje? Dlaczego tak się rozgniewał?

- Jest mi bardzo gorąco - powtórzyła Didi. Ustawił nawiew prosto na nią.

- Proszę - oświadczył - masz świeże powietrze.

Odchyliła głowę, opierając ją na brązowym siedzeniu ze skaju i przymknęła oczy. Przeciągnęła ręką po spoconych włosach i otworzyła powieki.

- Możemy się zatrzymać i kupić jakiś napój? Chce mi się pić. Liczyła, że mężczyzna przypomni sobie o wcześniejszej uprzejmości.

- Nie, nie możemy - warknął. - Co ty sobie wyobrażasz? Że to wycieczka do Disneylandu? Siedź cicho i nie przeszkadzaj. Proszę - dodał po chwili, zapanowawszy nad sobą.

Jeśli chodzi o siedzenie, to i tak nie miała wyjścia, ale sama podjęła decyzję, że umilknie. Jest humorzasty, myślała. A może wcześniejsza uprzejmość i grzeczne „proszę” były tylko grą. Jeśli tak, to niech Bóg ma mnie w swojej opiece!

- Przepraszam - odezwał się po dłuższej chwili - ale muszę się skupić na prowadzeniu. Nie chcę jechać ani za szybko, ani za wolno. Niedługo się zatrzymamy.

Podniesiona na duchu tym powrotem uprzejmości, Didi skinęła głową.

- Nie zamierzasz dzwonić do mojego męża? - zapytała.

- Nie! - wykrzyknął piskliwie. - Po co mam to robić? Po policzkach spływały jej strużki potu.

- Z żądaniem okupu.

Kręcąc głową, pochylił się w jej stronę i delikatnie musnął jej ramię.

- Jesteś taka naiwna. I to u ciebie lubię. Zszokowana otarła twarz i oblizwała palce.

Po dziesięciu minutach sól z potu sprawiła, że Didi rozpaczliwie chciała się czegoś napić, ale się nie odzywała.

Co teraz robi Rich? Pewnie już się domyślił, że ona się nie pojawi w Laredo Grill. Gdzie jest? Co robi? I wtedy przypomniała sobie o telefonie komórkowym. Po rozmowie w sklepie pozostawiła aparat włączony. Czy mąż dzwonił, a ona nie słyszała? Czy to był sygnał telefonu?

15.25

Rich Wood nie znalazł żony w centrum handlowym Valley View. Ani w centrum Galleria, choć tam parkowanie wyglądało nieco inaczej.

Żona najczęściej prosiła portiera z hotelu Westin, znajdującego się tuż przy Gallerii, żeby ustawił gdzieś jej wóz: wolała zapłacić cztery dolce i nie musieć już o tym myśleć. Dlatego Rich podjechał do Westin i spytał portiera o auto Didi. Chłopak - na identyfikatorze miał napisane Jose - poprosił, by mężczyzna opisał mu samochód i żonę. Wysłuchawszy opisu Richa, odpowiedział niezbyt poprawną angielszczyzną:

- A... Didi, ona tu dziś nie zaparkowywała. Kiedy spodziewa się urodzić dziecka?

Jose wyjaśnił, że ostatni raz Didi była u nich cztery dni temu i zawsze starał się blisko stawiać jej samochód, bo kiedy wracała z zakupów, obciążona torbami „nie lubiała długo czekać”.

Fakt, że portier znał imię Didi, bo tak często odwiedzała centrum handlowe, rozbawił Richa.

Oj, Didi, Didi... Prowadzisz podwójne życie. Ja siedzę w pracy, a ty sobie przygadałaś niejakiego Jose. Nigdy nie wspominałaś, że jesteś na ty z portierem w hotelu Westin.

Ale teraz nie było przy nim żony, do której mógłby się zwrócić z tym wyrzutem. Nie było nawet jej samochodu.

Zanim wyruszył w dalsze poszukiwania, z budki w hotelu ponownie zatelefonował pod jej numer.

15.30

Tym razem nie ulegało wątpliwości: ów przytłumiony świergot to sygnał jej telefonu komórkowego. Didi się nie poruszyła. Kątem oka zerknęła na kierowcę. Porywacz jak zahipnotyzowany wpatrywał się w drogę, zasłuchany w głośną muzykę. Nie dotarło do niego dzwonienie telefonu. Najpierw ogarnęła ją panika, a potem euforia.

Aparat spoczywał na dnie dużej, czarnej torby leżącej na podłodze między Didi a drzwiczkami. Wolno, bardzo powoli zanurzyła rękę w przegródce, nie poruszając przy tym tułowia. Słyszała już cztery sygnały. Nie odrywając wzroku od drogi, Didi szukała w torbie. Oby znalazła to diabelstwo! Poprzednia torebka była mała i aparat zawsze leżał na wierzchu, na portfelu albo kosmetyczce lub też listach. Duża, przepastna torba okazała się strasznie niewygodna - stąd zakup nowej - ale teraz jej właścicielka oddałaby wszystko, byle tylko dosięgnąć telefonu. Szósty sygnał. Może facet ma problemy ze słuchem, bo Didi wydawało się, że telefon dzwoni głośniejsz niż dzwon na wieży kościelnej. Wreszcie namacała gładki skórzany pokrowiec, ale nie wyjęła aparatu, tylko nacisnęła przycisk odbioru. Telefon przestał dzwonić. Czekwała. Mężczyzna dalej prowadził samochód, nic nie mówiąc. Przez chwilę Didi milczała, potem odezwała się głośno:

- Rich?

Wyrwany z transu porywacz obejrzał się w jej stronę.

- Rich? - powtórzyła.

- Z kim rozmawiasz? Ja nie mam na imię Rich - odezwał się czujnie, podejrzliwym tonem.

- A jak się nazywasz? Nie powiedziałeś mi. - Liczyła, że mąż usłyszy, mimo torby.

- Dlaczego tak głośno mówisz? Nie jestem głuchy. - Pauza. - I co tak dzwoniło?

Wyłączył radio. Didi zamarła. Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Co to było? Co tak dzwoniło?

Przyjrzał się Didi i dostrzegł, że rękę trzymała w torbie.

- Czy to telefon? - wrzasnął.

Rzucił się przez nią po aparat, a samochód zjechał na prawo. Didi usłyszała trąbienie innego wozu. Próbowwała wyrwać mężczyźnie torbę.

- Nie, nie! - szlochała cicho. A potem głośniejszym głosem: - Rich! Pomóż mi! Ratuj mnie!

Porywacz uderzył ją torbą. Walił raz za razem, bełkocząc coś i z trudem utrzymując auto na drodze. Mijające ich pojazdy trąbiły.

Oslaniając się przed ciosami, Didi odwróciła się od napastnika w stronę drzwi i zauważyła na prawym pasie samochód. Za kierownicą siedziała starsza kobieta, z troską przyglądając się całej scenie. Didi złożyła ręce jak do modlitwy, bezgłośnie wołając: „Pomocy! Ratunku!”.

Mężczyzna cisnął torbę na podłogę, brutalnie oderwał Didi od okna i szarpnięciem zmusił do położenia głowy na jego kolanach. Uderzyła nosem o kierownicę. Widziała, jak porywacz przyciska gaz do dechy. Może zatrzyma go policja, myślała z nadzieją. Może Rich jeszcze się nie rozłączył. Nadzieja, jaką wzbudził w niej telefon męża, sprawiła, że Didi zapomniała o ostrożności. Krzyczała teraz na cały głos:

- Rich, pomóż mi! Ratunku!

Wtedy mężczyzna uderzył ją pięścią w ucho.

15.31

Telefon zadzwonił sześć razy, potem ucichł. Rich nastawiał uszu, ale niczego nie usłyszał. Dopiero gdy odkładał słuchawkę, dotarło do niego ciche: „Rich?”.

Zanim sobie uświadomił, że to głos Didi, było już za późno. Słuchawka nacisnęła klawisz, rozłączając ich.

- Cholera - zaklął.

Czy naprawdę słyszał jej wołanie? Ponownie wziął do ręki słuchawkę. Kiedy pierwszy raz wystukiwał numer, tak się śpieszył, że nacisnął tylko sześć klawiszy. Za drugim razem linia była zajęta.

To samo minutę później.

I po kolejnej minucie.

Po następnej też.

Odczekał pięć minut i zatelefonował do biura, licząc, że próbowała tam do niego oddzwonić. Nienawidził takich sytuacji, gdy obie strony usiłowały się połączyć, skutecznie blokując linię.

Didi jednak nie odezwała się do biura.

Ponownie spróbował dodzwonić się pod jej numer, ale usłyszał tylko obojętny komunikat: „Abonent AT&T albo wyłączył telefon, albo znalazł się poza zasięgiem. Prosimy spróbować ponownie za jakiś czas”.

Usiłował sobie przypomnieć, jak brzmiało owo „Rich”, które - jak mu się wydawało - słyszał. Nie potrafił. Było odległe, przytłumione. Może się pomylił. Może tylko dzwoniło mu w uszach, a żona wcale go nie wzywała, szepcząc cicho: „Rich. Rich”.

Najwyraźniej ma omamy.

*

Udał się do centrum handlowego NorthPark. Jeśli tam nie ma Didi, to już nie wiedział, gdzie jej szukać.

Sklep Dillarda w NorthPark znajdował się tuż przy zjeździe z głównej trasy. W pobliżu wypatrzył dwa białe minivany town & country LXI, ale nie należały do żony.

Jaki numer rejestracyjny miał ich wóz? TRX i coś. A może THX? Nie, THX to nazwa zestawu głośników, na które usiłował namówić Didi. Czyli numer rejestracyjny to TRX 6 i coś dalej... Może 7?

Zauważył trzeci van town & country i przyhamował. TJX 672. To ich wóz. Nie wierzył własnym oczom. Żona nadal robi zakupy. Nie, nadal krąży po sklepach i zapomniała o nim.

Rich najpierw poczuł wściekłość, później ulgę i znowu wściekłość. Ustawił samochód parę stanowisk dalej i podszedł do jej wozu. Otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Od wczorajszej rodzinnej wyprawy do Applebee na kolację nic się nie zmieniło: na podłodze wały się zabawki, prasa, reklamówki. Nic nowego. Reklamówki to pozostałość po sobotniej wyprawie po sklepach - Rich towarzyszył Didi, gdy kupowała córkom ubrania w Gap.

Zatrzasnął drzwiczki i zablokował je. Automat pisnął raz, potwierdzając, że wóz jest zamknięty.

Dopiero wtedy Rich zauważył na ziemi białą papierową torebkę i schylił się po nią. Sądził, że wypadła z auta, gdy otwierał drzwi, ale zobaczył w środku jeden cały, a drugi nadgryziony precel. Nacisnął je - okazały się miękkie i to go zaskoczyło. Spodziewał się, że będą twarde. Te precle nie leżały w samochodzie od dwóch tygodni. Sama torebka była naderwana. Rich wyjął paragon opiewający na dwa precle po dolar dziewiętnaście za sztukę, kupione dziś, dwadzieścia pięć po dwunastej; kwota otrzymana: trzy dolary.

Kilkakrotnie obrócił w rękach torebkę i zauważył brązowe ślady - możliwe, że po czekoladzie. Powąchał je, ale nie pachniały jak czekolada. Zabrudziły mu dłoń. Zaraz,

chwileczkę? Czyżby powoli tracił rozum? Jeszcze raz przyłożył twarz do torebki i powąchał.

Zgiął się wpół, jakby ktoś go uderzył w brzuch.

Torebka pachniała mleczkiem kosmetycznym żony, Rich doskonale znał ten zapach. Didi zawsze używała tego samego specyfiku, jego woń unosiła się w pokoju jeszcze długo po jej wyjściu. To było mleczko firmy Bath and Body Works, nazywało się: „Sun - Ripened Raspberry”. I rzeczywiście, pachniało niczym dojrzałe na słońcu maliny - tak smakowicie, że aż chciałoby się je zjeść. Dziś rano patrzył, gdy Didi smarowała się nim po wyjściu spod prysznic, zanim jeszcze umówili się na lunch: rozprawiała płyn po ramionach, nogach, szyi i Rich pamiętał, że zachwycił się, jak cudownie żona wygląda w ciąży. Niechętnie stwierdził w duchu, że już wcale się nie gniewa, i zaprosił ją na lunch po wizycie u lekarza. Zwykle towarzyszył jej, gdy szła do ginekologa, ale dziś przez cały ranek miał rozmawiać z kandydatem na kierownika działu sprzedaży regionu południowy zachód i wiedział, że nie zdąży. Czemu z nią nie poszedł?

To jej posmarowane kremem dłonie trzymały tę torebkę. Oczywiście, zupełnie inna kobieta używająca malinowego mleczka kosmetycznego mogła kupić nie jeden, ale dwa precle, za którymi przepadała jego żona, zaledwie pięć minut przed tym, jak Didi zadzwoniła i dziwnie napiętym głosem prosiła, by zjawił się wcześniej w restauracji. A potem owa tajemnicza kobieta mogła je upuścić akurat obok ich samochodu.

Rich nie wierzył jednak w zbiegi okoliczności. Torebka z preclami należała do Didi.

Teraz już nie miał wątpliwości, że to ją niedawno słyszał, gdy nie wiadomo skąd próbowała się z nim połączyć - tymczasem odłożył słuchawkę i potem już nie mogli się skontaktować.

Trzymając torebkę czuł, jak znikają wszystkie inne emocje, a na ich miejscu pozostaje gniew. Była przy samochodzie i zostawiła tu tę torebkę. Wybierała się na spotkanie z nim, gdy ją upuściła i zniknęła.

Zacisnął rękę na piersi, czując jak koszmary sen nagle zamienia się w rzeczywistość.

- Boże, Didi... Didi... - szeptał.

Brakowało mu tchu, świat przesłoniła mgła.

Co mogło się stać?

15.40

Kiedy Didi odzyskała przytomność, nie leżała już na kolanach mężczyzny z twarzą wciśniętą między jego brzuch a kierownicę, lecz siedziała skulona na fotelu, głowa jej zaś opadała na ramię porywacza. Didi domyśliła się, że musiał ją posadzić. W czasie czuła pulsujący ból; miała wrażenie, że lada chwila straci wszystkie włosy, Spod przymkniętych oczu rozglądała się za torbą. Napastnik rzucił ją na podłogę obok siedzenia pasażera.

Didi wyprostowała się i popatrzyła wkoło, masując brzuch. Jechali teraz prawym pasem z prędkością stu kilometrów na godzinę. Nie było obok żadnych zaniepokojonych kierowców, którzy by spoglądali z samochodów, tylko połacie teksaskich pól, od czasu do czasu jakieś krzaki, w oddali pojedyncze domy, a nad tym wszystkim jasnoniebieskie popołudniowe niebo.

Starła się jak najdalej odsunąć od porywacza, wtulając się w drzwiczki od strony pasażera. Żałowała, że nie może zamienić się w ciecz, rozpląnąć na podłodze i zniknąć. W lewym uchu, w które ją przedtem uderzył, uporczywie dzwoniło. Radio nadawało muzykę country, a mężczyzna - spokojny i pogodny - nucił do wtóru.

Musi skorzystać z toalety - dziecko napierało główką na obolały pęcherz. Didi liczyła, że zdoła wypocić całą wodę.

- Mam wrażenie, że nasza znajomość źle się zaczęła - usłyszała głos swego dręczyciela.

Nie wierzyła własnym uszom! Narzucała jej się kaśliwa riposta, ale nagle okazało się, że całe usta wypełniają jej zęby i opuchnięty język. Dlatego też w milczeniu czekała na jego dalsze słowa. Czemu jednak, tak jej spuchł język? Próbowwała nim poruszyć. Bolało. Może przygryzłam go zębami w chwili uderzenia? Rozchyliła wargi i zaczerpnęła trochę powietrza. A może po prostu chce mi się pić?

- Zgodzisz się ze mną? - zwrócił się do niej mężczyzna.

Zadał jej pytanie. Jak powinna odpowiedzieć? Brzuch znowu jej się ścisnął w kolejnym ataku skurczy przepowiadających. Przez chwilę skupiła na nich całą uwagę, a potem, wciśnięta w drzwi, wzruszyła lekko ramionami i wykrztusiła:

- Na to wygląda.

- Nie, nie, naprawdę wszystko źle się zaczęło. I to z mojej winy. Przepraszam. Nie zdążyliśmy się sobie przedstawić, później skupiłem się na wyjeździe z Dallas, sprawy tak szybko się potoczyły... Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

Otworzyła usta. Mężczyzna mówił spokojnie, łagodnym tonem, jakby muzyka country go wyciszyła i zrelaksowała. Czy na tyle, by zatrzymał się na środku autostrady i ją wypuścił?

- Kiedy byliśmy w centrum handlowym, próbowałem zgadnąć, jak się nazywasz - ciągnął. - Czy ty próbowałaś odgadnąć moje imię?

Co on wygaduje? Musiała się czegoś napić. Choćby dwa łyki wody! Didi już miała polizać wilgotne od potu dłonie, ale przypomniała sobie, jak to się wcześniej skończyło.

Mhm - odezwała się cicho, z trudem poruszając ustami. - Masz na imię John?

- Nie, nie. - Mężczyzna się roześmiał. - Siedząc i czekając, aż skończysz zakupy w Dillardzie... Tak długo ci to zajęło, że omal nie zrezygnowałem. W każdym razie siedziałem i patrzyłem na twoje plecy, nogi i włosy, próbując odgadnąć, jak możesz mieć na imię. Spróbujmy... Ellen? Sonia? Może Jackie? - Czekał na jej odpowiedź.

- Nie - odpowiedziała Didi albo jej się wydawało, że to zrobiła. Kiwnął głową.

- Uznałem, że nie wyglądasz na Melanie. Moja żona nosiła to imię, a ty w niczym jej nie przypominasz.

Didi wpatrywała się w swą złotą sukienkę. Kiedy rano ją wkładała, czuła się taka szczęśliwa.

- Monika? - ciągnął. - Nie, to imię dla wysokiej kobiety, a ty nie jesteś wysoka. Anette? Nie, to imię dla niskiej, a niska też nie jesteś. - Zerknął na nią, na jego ustach pojawił się uśmiech. - Jesteś w sam raz.

Odwróciła wzrok.

- Nie jesteś blondynką, jak Jennifer, ani nie malujesz się ostro jak Jessica. Nie zadzierasz nosa jak Melissa, ani nie wyglądasz na leniwą jak Megan. Czy dobrze zgaduję?

- Dobrze zgadujesz - potwierdziła słabym głosem Didi.

Bębnił palcami po kierownicy.

- Świetnie się bawię. To o niebo lepsze od harówki za parę dolców. Wiedziałam! Chodzi mu jednak o forszę, pomyślała. Wyglądało na to, że doskonale się bawił. Uśmiechał się, jakby nie

miał żadnych trosk. Napięcie zniknęło, chociaż mężczyzna nadal obiema rękami ścisnął kierownicę.

- A może urządzimy sobie mały konkurs? Odgadnij moje imię, a ja twoje. - Był bardzo zadowolony, omal się głośno nie roześmiał.

- Chętnie spróbuję - odrzekła Didi - ale może najpierw byśmy się zatrzymali i czegoś napili?

Pomyślała, że przystanek będzie o niebo lepszy niż wspólna jazda w zamkniętym samochodzie. Znajdą się jacyś ludzie, może uda jej się uciec, wezwać pomoc... Wszystko, byle nie siedzieć w wozie, pocąc się jak mysz.

Przestał się uśmiechać.

- Co? Żebyś znowu wykręcała swoje stale numery? Nawet w jadącym samochodzie nie mogę ci ufać. Nie. Zawiozę cię w bezpieczne miejsce. A teraz zgadnij, jak mam na imię. - Zawiesił głos. - Mam pomysł. - Na jego twarzy ponownie zagościł uśmiech. - Masz trzy szanse. Jeśli

odgadniesz moje imię, zatrzymam się i kupię ci coś do picia. W końcu nie mogę pozwolić, żeby ciężarna mi się odwodniła.

Wyciągnął rękę i... Boże, co on robi? Czyżby zamierzał dotknąć jej brzucha?

Albo Didi siedziała za daleko, albo się rozmyślił, w każdym razie z powrotem położył rękę na kierownicy.

- Nie, nie możemy na to pozwolić. Ale musisz sobie zasłużyć na ugaszenie pragnienia. Prawda, że to sprawiedliwe?

Sprawiedliwe? pomyślała Didi. Jeszcze o pierwszej po południu za największą niesprawiedliwość losu uważała informację lekarza, że dziecko jest trochę za duże i prawdopodobnie trzeba będzie wcześniej wywołać poród, aby uniknąć komplikacji. Pamiętała, że wtedy przemknęło jej przez głowę: Boże, to niesprawiedliwe, muszę ponieść karę za to, że spodziewam się dużego dziecka.

- Zagrajmy - powiedziała zgodnym tonem.

15.45

Rich miał ochotę walić głową o najbliższy samochód. Co się stało z moją żoną? - pomyślał, a potem z jego ust wyrwał się krzyk. Wrzeszczał na środku parkingu przed Dillardem.

- Didi! - wołał.

Jej imię odbijało się echem o toyoty, hondy i fordys.

DIDI! Przechodząca para obejrzała się za nim, a potem oboje odwrócili głowy i przyspieszyli kroku. Rich pobiegł za nimi.

- Nie widzieli państwo mojej żony? - pytał gorączkowo. - Moja żona, metr siedemdziesiąt, ciemne włosy, brązowe oczy, w zaawansowanej ciąży.

Patrzyli dziwnie, jakby coś było z nim nie w porządku.

- Proszę! - zaklinał. - Moja żona. Kobieta w zaawansowanej ciąży. Widzieli ją państwo?

Kobieta wzięła męża pod rękę.

- Niestety nie - odparła i próbowała przepchnąć się obok intruza.

Mężczyzna dał się pociągnąć, posłał mu tylko współczujące spojrzenie. Rozumiał. Ale jego partnerka prychnęła wystraszona. Widocznie uznała Richa za wariata.

Ściskając w ręku torebkę z preclami, Rich pobiegł do centrum, kierując się prosto do stoiska Freshens Yogurt. Myślał przy tym, że może Didi wracała do samochodu, niechcący upuściła torebkę, a potem przypomniała sobie, że miała jeszcze coś kupić, więc cofnęła się do sklepu. Ale wiedział, że to się nie trzyma kupy. Dalej robiła zakupy i go nie uprzedziła? Komórkę miała włączoną, a kiedy zatelefonował, usłyszał szept Didi: „Rich”. Mogła do niego zadzwonić, jednak tego nie zrobiła. Nie miała wypadku, samochód stał na parkingu. Didi nie zatelefonowała dlatego, że nie mogła - a dowód trzymał w ręku.

Za kontuarem we Freshens Yogurt stała dziewczyna. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- Czym mogę służyć?

- Potrzebuję pomocy - odezwał się Rich z napięciem. - Może pani... Moja żona... - Głos uwiązł mu w gardle. - Moja żona robiła tu dziś zakupy.

Rzucił na ladę torbę. Ekspedientka się cofnęła.

- Moja żona była tu dziś i kupiła te dwa precle.

- Momencik, proszę pana - odpowiedziała dziewczyna. - Dopiero co zaczęłam zmianę i o niczym nie wiem.

- Kto pracował przed panią?

- Alex. Właśnie wyszedł. - Widocznie z miny dziwnego klienta domyśliła się, że chodzi o coś ważnego, bo dodała: - Niech pan zaczeka, może jeszcze się przebiera. Proszę zaczekać.

Po kilku minutach wróciła z chłopakiem.

- Ma pan dziś szczęście - oświadczył młody człowiek.

- Szczerze powiedziawszy, wątpię - odparł Rich. - Chyba że zechce pan uściślić, na czym owo szczęście polega.

Pchnął w stronę chłopaka torebkę z preclami i paragonem.

- Moja żona była tu dzisiaj i kupiła te ciastka. Alex zerknął na paragon i spytał obronnym tonem:

- Czy coś nie tak z tymi preclami?

- Z nimi nie, ale z moją żoną tak - odrzekł Rich. - Zniknęła. Tamten pozwolił sobie na prychnięcie.

- I to ma niby związek z preclami? Rich rąbnął pięścią w blat, aż zadudniło.

- Uważa pan to za śmieszne? To może dokładniej wyjaśnię. Moja żona - kobieta w dziewiątym miesiącu ciąży - kupowała dziś u was ciastka, sprzedał je pan o dwunastej dwadzieścia pięć. O wpół do pierwszej zadzwoniła do mnie, pytając, czy nie moglibyśmy się spotkać na lunchu wcześniej, niż się umawialiśmy. O pierwszej nie zjawiła się w restauracji

i zaginał po niej wszelki ślad. Teraz może mi pan powie, która część tej historii pana ubawiła, to razem się pośmiejemy.

- Bardzo przepraszam. - Sprzedawca pobladł. - Naprawdę niczego nie zrobiłem. Jak wygląda pańska żona?

- Jest w ciąży. Bardzo zaawansowanej ciąży. Niesamowicie zaawansowanej. Ile ciężarnych dziś pan obsłużył?

- Cóż... zapamiętałem tylko jedną - odburknął Alex. - Ale, sam pan widzi... lada jest wysoka, a ja nie wychyłam się i nie oglądam brzuchów klientek.

Rich chwycił chłopaka za ramiona i potrząsnął nim.

- Jak Boga kocham. Proszę... - szepnął. - Moja żona zniknęła. Natychmiast go wypuścił, oprzytomniawszy. Alex wyglądał na poruszonego. Masował sobie ramiona.

- Naprawdę o niczym nie wiem. Zauważyłem tylko jedną ciężarną: miała długie, ciemne włosy, niosła mnóstwo paczek.

Twarz Richa się rozjaśniła.

- Tak? - zachęcał. - To mogła być ona. W co była ubrana?

- Nie pamiętam... Zaraz... Tak, w żółtą sukienkę. Wood skinął głową.

- To moja żona.

Czy to mu poprawiło nastrój? Nawet jeśli, to nie na długo.

- Tak? - upewnił się nastolatek. - Ale niczego więcej nie pamiętam. Chyba kupiła parę precli. Zapłaciła. Odeszła z zakupami. Facet, który stał za nią i kupował ciastko, dogonił ją i zaproponował, że pomoże jej dźwigać torby.

- Jaki facet? - spytał ściśniętym z przerażenia głosem.

- Nie mam pojęcia. Po prostu facet, pierwszy raz go widziałem na oczy.

- Oczywiście. Czy moja żona go знаła?

- Raczej nie. Ale miło się zachowywał. Wypytywał o ciążę, termin porodu, takie rzeczy.

Rich odsunął się od kontuaru.

- A jak wyglądał?
 - Nie pamiętam. Nie zwróciłem uwagi.
 - Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.
 - Naprawdę nie zapamiętałam. Może w pana wieku. - Alex zmierzył mężczyznę wzrokiem. - Ile pan ma lat?
 - Trzydzieści cztery.
 - Nie. Nie wiem. Na pewno był starszy ode mnie.
 - Wąsy? Broda?
 - Nie. Gładko wygolony. Krótkie włosy. Wyższy ode mnie.
 - A ode mnie? - spytał Rich.
 - Ile pan ma wzrostu?
 - Metr osiemdziesiąt.
 - Nie, raczej nie był od pana wyższy. Ale od pańskiej żony tak.
 - Pamięta pan, w co był ubrany?
 - To był zwyczajny klient. Nie rzucał się w oczy. Klient, jak każdy.
 - Nie zapamiętał pan, co na sobie miał?
 - Nie, nie zwróciłem uwagi.
- Alex wzruszył ramionami i zerknął na koleżankę, która przysłuchiwała się rozmowie. Ona też wzruszyła ramionami, jakby udzielając mu moralnego wsparcia. Chłopak ponownie zwrócił się do Wooda.
- Chyba dzinsy i jakąś kurtkę. Ale nie jestem pewien.
- Rich przez moment milczał.
- Wspomniał pan, że zaczepił moją żonę, pytając, czy nie potrzebuje pomocy w niesieniu toreb?
 - Takie odniosłem wrażenie.
 - Co ona na to?
 - Nie wiem. Stali za daleko. Nie słyszałem jej odpowiedzi. Przypuszczam, że mu podziękowała, bo wyszła sama, a on snuł się za nią.

- Mówi pan o „snuciu się”...

- Co znowu?

Powiedział pan: „Snuł się za nią”. To sugeruje, jak gdyby ją śledził. A może odwrócił się i ruszył w swoją stronę?

- Nie - odparł Alex, drapiąc się w głowę. - Wydaje mi się, że poszedł w tę samą stronę, co ona. Nie jestem pewien. Podszedł kolejny klient i przestałem ich obserwować.

Rich bębnił palcami.

- Czy wydał się panu podejrzany?

- Nie, nie wydał mi się podejrzany.

Z niewyjaśnionych przyczyn w głosie chłopaka zabrzmiała uraza.

- Czy widział go pan ponownie?

- Nie. Byłem zajęty, bo to pora lunchu. Nikogo nie zauważyłem.

- Mojej żony także pan już nie widział?

- Właściwie... Teraz sobie przypominam, że jednak go widziałem. Ją też. Wracała stamtąd. - Alex wskazał kierunek. - Miała jeszcze więcej toreb i wyglądała na zmęczoną, ale szła szybciej niż poprzednio. Jakby się śpieszyła.

- A jego kiedy pan dostrzegł? Chłopak myślał przez chwilę.

- Nie wiem. Chyba po niej. Tak jakby szedł jej śladem.

- Podążał w tym samym kierunku, co ona?

- Tego nie wiem. - Alex wyciągnął rękę, by pokazać. - Stąd można pójść w prawo albo w lewo. Klienci albo znikają za ścianą po prawej stronie, albo tam, z lewej. Czasem zaglądają do Dillarda lub też siadają przy fontannie. Ale to wszystko. Widziałem, że ta kobieta skierowała się na lewo, a on też poszedł w lewo.

- Rozumiem - przytaknął chrapliwym głosem Rich. - Która była wtedy godzina?

- Nie wiem. Może trochę po pierwszej. O wpół do drugiej mam przerwę.

- Aleksie, pojechałbyś ze mną na posterunek?

- Nigdzie się nie ruszę - odparł spłoszony nastolatek. - Nie wsiądę z panem do samochodu. Nie znam pana.

- W porządku. W takim razie, czy mogę skorzystać z telefonu? Muszę zawiadomić policję.

Pozwolili mu na to, a potem czekali. Rich najpierw zadzwonił do domu i dowiedział się, że Didi nie wróciła ani nie dała znaku życia. Poprosił Ingrid, żeby zatelefonowała do jego matki z prośbą, by ta przyjechała i zajęła się dziećmi.

- Nic się nie stało?

- Nie, skąd - odrzekł, zamykając oczy i opierając się o ladę, żeby nie upaść. - Tylko że... spóźnię się trochę. Naprawdę, nie ma się czym przejmować. Jak się czują dziewczynki?

- Niech pan zaczeka - powiedziała Ingrid. - Irene chce z panem zamienić dwa słowa.

Rich usiłował nadać głosowi pogodne brzmienie.

- Cześć, słonko. Jak było w przedszkolu?

Trzyletnia Irene nie zamierzała jednak rozmawiać o przedszkolu.

- Tatusiu - lamentowała - Manda nie chce mi pożyczyć Singa i tańczącej Barbie!

- Spokojnie, kochanie - mitygował ją Rich. - A gdzie masz własne lalki?

- Popsuły się, a ona nie chce mi dać swoich! W tle Rich usłyszał głos Amandy.

- Popsuła swoje, a teraz chce zniszczyć moje! - Po chwili starsza córeczka zawołała: - Dawaj słuchawkę, ja też chcę porozmawiać z tatą.

Rich głęboko zaczerpnął powietrza. Słyszał, jak słuchawka upadła na podłogę, potem zaś rozległy się przenikliwe piski. Ingrid podniosła ją i powiedziała:

- Wszystko w porządku.
- To dobrze. Pamiętaj, żeby zadzwonić do mojej matki.
- Mogę zostać trochę dłużej - uspokoiła go dziewczyna.
- Jeszcze nie wiem, ile mi zejdzie.
- Czy Didi zaczęła już rodzić? W tle zabrzmiało wołanie

Irene:

- Mamusia rodzi dzidziusia! Mama rodzi dzidziusia! Rich masował nasadę nosa. Marzył, by odłożyć słuchawkę.

- Nie, jeszcze nie. Zadzwoń do mamy, Ingrid, to wszystko. Proszę. Nie miał odwagi sam rozmawiać z matką. Zresztą nie miał jej nic

do powiedzenia, po prostu potrzebował pomocy. Matka i tak będzie histeryzować. Nigdy jeszcze Ingrid nie dzwoniła z prośbą, by Barbara Wood zjawiała się u syna i zajęła się dziećmi. Rich zdawał sobie sprawę, że rozmowa z matką wymagałaby odeń zbyt wielkiego wysiłku, a nie miał do tego cierpliwości. Ingrid ponownie spytała, czy wszystko w porządku, a Rich zapewnił, że oczywiście, dodając, że niestety musi już kończyć. Z trudem nad sobą panował.

Po pięciu minutach zjawiała się policja. Było ich dwoje: niejaki Charles - mężczyzna, oraz Patterson - kobieta. Patterson nie wyglądała na szczególnie poruszoną i Rich od pierwszego spojrzenia stracił do niej sympatię. Przywodziła mu na myśl tę starszą, podejrzliwą kobietę z parkingu. Odbiło mu? Żona zniknęła na parę godzin, a ten panikuje? A co z sytuacjami, gdy mąż zostawia żonę, wyjeżdżając w podróż służbową i nie sposób się z nim skontaktować? Albo gdy wybiera się gdzieś z kumplami, obiecując że wróci o północy, tymczasem zaś zjawia się grubo po trzeciej? „Spokojna głowa,

mówiła obojętna mina policjantki. Żona pewnie skoczyła do kina".

Policjant coś mówił, ale przez wate, jaką miał w mózgu Rich, nic doń nie docierało. Potem uświadomił sobie, że owa wata pojawiła się, ponieważ nie chciał słyszeć, co tamten mu mówi. Coś o pochopnym wyciąganiu wniosków.

Rich nie wiedział, czy odpowiadać na to, czy po prostu wsiąść do samochodu i wrócić do domu.

- Sądziłem, że zamierzają mi państwo pomóc. Ale skoro państwo tego nie potrafią, proszę mnie skontaktować z kimś, kto to zrobi.

Policjanci bez większego przekonania usiłowali wykrzesać z siebie większą inicjatywę.

- Może żona zaczęła rodzić? - podsunęła mu policjantka. - Może właśnie jest w szpitalu?

- Zapisaliśmy się do Columbia Medical - wyjaśnił Rich, kręcąc głową. - Gdyby rodziła, zgłosiłaby się tam, szpital zaś ma mój numer telefonu. Ona zresztą też. Nie ma jej w Columbia. Dzwoniłem do nich. Nikt się ze mną nie kontaktował.

- Może przytrafił jej się wypadek? - spytał Charles.

- Tak, jasne, mógł - odparł zniecierpliwiony Rich, mimo szczerych chęci nie potrafiąc się zmusić do odpowiadania powoli, spokojnie i rozsądnie. - Nie, oczywiście macie rację. Mogła mieć wypadek. - Zawiesił głos. - Ale nie swoim samochodem. Ponieważ nasz wóz stoi... tam.

I dla podkreślenia machnął ręką w kierunku parkingu. Policjant nie spuszczał z niego wzroku.

- A może przytrafił jej się wypadek w cudzym samochodzie?

- Może spotkała znajomego i postanowiła spędzić z nim albo z nią popołudnie? - zasugerowała Patterson.

Rich potarł oczy. Trząsł się cały z bezradności i emocji.

- Chryste Panie! Umówiliśmy się na lunch o pierwszej!
Nie zjawiała się. Miała przy sobie telefon komórkowy...

- Może się rozładował? - podsunęła Patterson.

- Więc pani zdaniem żona postanowiła mnie wystawić rufą do wiatru, po tym jak zatelefonowała z prośbą, byśmy spotkali się wcześniej? - zapytał dobitnie.

Możliwe, że nawet podniósł głos. Policjanci zaproponowali, by udać się na górę i porozmawiać w biurze ochrony. Rich odmówił.

- Może nadal chodzi po sklepach? - znalazł kolejne wytłumaczenie Charles. Jego koleżanka patrzyła na Richa z dezaprobatą.

- Jasne. Dwadzieścia pięć po dwunastej kupiła precla od Alexa. Zaczepia ją nieznajomy, proponując pomoc w niesieniu toreb. Didi odmawia. Mężczyzna rusza za nią...

- Udaje się w tym samym kierunku, co ona - poprawiła go policjantka.

- Oczywiście, przepraszam. O wpół do pierwszej dzwoni do mnie do pracy, pytając, czy nie moglibyśmy się wcześniej spotkać. To się zdarzyło po raz pierwszy za czasów naszego małżeństwa.

- Może nie docenia pan żony - oświadczyła Patterson. - Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Rich zwrócił się do policjanta.

- Robi kolejne zakupy, a potem Alex widzi ją, jak idzie w tę stronę. Właśnie tam stoi jej wóz. Wiem na pewno, bo nadal tam jest. Mężczyzna podąża w tym samym kierunku, co ona. Oczywiście, państwo to nazwą zbiegiem okoliczności, ale ile ich może się człowiekowi przytrafić jednego dnia? - Nie mógł już się opanować. - Gdyby moja żona zjawiała się w restauracji, powiedziałbym, że wszystko gra i nie ma żadnych zbiegów okoliczności. Ale ona nie przyszła, nie dała znaku życia, a jej samochód nadal stoi na parkingu. Co oznaczałoby,

że moja ciężarna żona wraz ze wszystkimi zakupami nadal przebywa na terenie centrum handlowego - gdyby nie ta torba z preclami. Leżała obok naszego minivana. Proszę spojrzeć: oto paragon, dwa ciastka, torba pachnie moją żoną, to zaś wygląda mi na krew. Patrzcie! - Gwałtownie podsunął kobiecie, a potem mężczyźnie, torebkę pod nos. - Co to, waszym zdaniem, jest?

- Może zaczęła jej lecieć krew z nosa i postanowiła wrócić do środka? - podsunęła Patterson z nieco większym współczuciem. - A potem spotkała znajomych i postanowiła spędzić z nimi resztę popołudnia. To przecież możliwe, prawda?

- W takim razie dlaczego nie zadzwoniła? - wydarł się Rich. Popatrzyli na niego przestraszeni. Przestraszeni i zaniepokojeni, jakby nie rozumieli, o co chodzi, dlaczego robi tyle szumu.

Czy jestem stuknięty? A może oszalałem? Postradałem rozum? Rich rozejrzał się wokół siebie. Tam jest sklep Disneya, tam Dillard, a tam z kolei FAO Schwarz. Widział, potrafił logicznie myśleć, więc jeszcze nie zwariował. Uznał, że policjantów nauczono, jak sobie radzić z napadami, morderstwami i gwałtami, ale nie ze strachem.

- Wie pan co? - zaproponowała Patterson. - Jeśli nadal jest w centrum handlowym, poinformujmy ochronę. Wezwą przez głośniki pańską żonę.

Rich bezradnie wznosił ręce do góry. W czasie gdy policjanci udali się do pomieszczeń ochrony na piętrze, krążył jak lew po klatce wokół fontanny na środku kompleksu handlowego, zaglądając w twarze obcym ludziom. Liczył, że jakimś cudem pojawi się przed nim Didi w nowym uczesaniu. Nie minęło pięć minut, a przez głośniki popłynęła informacja: „Pani Didi Wood proszona jest o jak najszybsze

skontaktowanie się z biurem ochrony na drugim piętrze". Powtórzono ją dwukrotnie.

Rich usiadł, oparł łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach. Po kilku sekundach poderwał się jednak i znowu zaczął chodzić. Po pięciu minutach - które wydawały się wiekiem - rozległ się inny komunikat: „Osoby posiadające jakiegokolwiek informacje na temat kobiety w dziewiątym miesiącu ciąży, z długimi włosami, ubranej w żółtą sukienkę, proszone są o kontakt z kierownictwem bądź z ochroną". To również powtórzono dwukrotnie.

Policjanci wrócili i stanęli po obu stronach krążącego Richa.

- Poczekajmy na rezultaty, dobrze? Zaczekajmy, co z tego wyniknie - zaproponował Charles.

Nie musieli długo czekać.

Rich zobaczył dwie kobiety w towarzystwie ochroniarza i natychmiast ruszył w ich stronę. Za nim podążyli Charles i Patterson.

- Te panie twierdzą, że widziały dziś na parkingu kobietę w ciąży - oświadczył młody ochroniarz.

- O której? - warknął Wood.

Charles wyciągnął rękę, jakby chciał powstrzymać Richa.

- Momencik - zwrócił się do niego łagodnie, a potem spytał kobiety: - Która była wtedy godzina?

Obie wzruszyły ramionami. Były niskie i krepę. Wyższa - masywna, tleniona blondynka w średnim wieku - powiedziała:

- Nie wiem. Pewnie koło pierwszej. Właśnie przyjechałyśmy.

- I co się wydarzyło?

- Zaparkowałyśmy i udałyśmy się do wejścia. Wtedy nagle usłyszałyśmy krzyk kobiety.

Richowi wyrwał się z gardła jęk. Przez chwilę wszyscy milczeli. Richard nie był w stanie oderwać wzroku od podłogi i z trudem trzymał się na nogach.

- A potem? - łagodnie zapytał Charles. W oczach kobiety błyszczały łzy.

- Mam takie wyrzuty sumienia... Bo kiedy spojrzaliśmy na kobietę, mężczyzna, który z nią był, uśmiechnął się, objął ją i zaczął całować...

- Co takiego? - zawołał przerażony Rich. - Zaczął ją całować.

Przez moment odczuł ulgę.

- W takim radzie to nie była moja żona.

- Niewykluczone - zgodziła się blondynka. - Ale była w zaawansowanej ciąży i miała długie, ciemne włosy. Krzyczała: „Pomocy! Ratunku!”, a wtedy ten facet ją pocałował i uznaliśmy, że to taka zabawa kochanków. Prawda, Debbie?

Drżąc na całym ciele, Rich zaciskał i rozluźniał pięści.

- A jak wyglądał jej towarzysz? Policjant znowu wyciągnął rękę.

- Momencik, panie Wood. Jak wyglądał jej towarzysz? - zwrócił się łagodnie do kobiet.

- Nie widziałyśmy go zbyt dobrze, bo byli do nas odwrócenii bokiem. Kobieta miała na sobie białą sukienkę...

- Białą? - zawołał Rich. Serce mu waliło.

- Nie białą, Nancy - poprawiła przyjaciółkę Debbie. - Żółtą. Pamiętasz, że zwróciłam uwagę na ten wesoły odcień.

- Faktycznie - przyznała Nancy. - Żółtą. A mężczyzna był... Bo ja wiem? Chyba nieco wyższy od niej. I dość szczupły. Zgadza się, Deb?

- Tak, wyższy. Zapamiętałam tylko, że miał na sobie dżinsy i kurtkę - wiatrówkę. Taki nierzucający się w oczy gość. Zresztą, nie widziałyśmy ich dokładnie.

Rich kiwał głową.

- Nierzucający się w oczy... Tak samo Alex opisał mężczyznę, który kręcił się przy Didi, gdy kupowała precle.

Policjantka popatrzyła na Richa. Nie potrafił odczytać jej wyrazu twarzy. Może ogarnęły ją wyrzuty sumienia, bo wcześniej nie uwierzyła, że Didi ma kłopoty? Ale wtedy Patterson spytała:

- Czy to odpowiada rysopisowi jakiegoś pańskiego znajomego? Rich żałował, że Patterson jest policjantką, a nie mężczyzną, bo najchętniej by jej przyłożył.

- Co to, do diabła, ma znaczyć? - Nie obchodziło go, co sobie pomyśla. - Do czego to, cholera, zmierza? Jak to: czy odpowiada rysopisowi jakiegoś mojego znajomego? Czy znam faceta, który całuje moją żonę, gdy ta wzywa pomocy? Państwo darują, ale nie przychodzi mi na myśl nikt konkretny.

- Wood zmierzył ją wzrokiem. - Insynuuje pani, że moja ciężarna żona mnie zdradzała?

Oboje policjanci zmieszali się, a kobiety były wyraźnie zażenowane.

- To silniejsze od pani, tak? - zwrócił się Rich do policjantki. - Nie potrafi pani się powstrzymać od najgorszych domysłów?

- Bardzo przepraszam.... - zaczęła, ale nie dał jej skończyć.

- Najwyraźniej ma pani trudności w kontaktach z ludźmi, a to poważny mankament, jeśli wziąć pod uwagę, że w tym zawodzie nieustannie ma się do czynienia z podenerwowanymi ludźmi. - Zniechęcony i oburzony na policjantkę, zwrócił się do Charlesa. - Dlaczego szukacie każdego innego wytłumaczenia z wyjątkiem najbardziej oczywistego? Krwawienie z nosa, spotkanie z przyjaciółką, wyczerpana bateria telefonu, roztargnienie itepe, itede. Wszystko. Na Boga, czy nie widzicie, co naprawdę się stało? -

Dławił się własnymi słowami. - Moja żona zniknęła. Moja ciężarna żona... Zapewne uprowadzono ją siłą... - Słowa nie przechodziły mu przez gardło. - Co możemy teraz zrobić? - Rozejrzał się, podszedł do ławki i opadł na nią. - Co możemy teraz zrobić? - powtórzył i ukrył twarz w dłoniach.

16.00

Mężczyzna jechał równym tempem. Właśnie minęli miejscowość Midlothian, położoną ponad trzydzieści kilometrów od Dallas.

- Jakie są reguły tej gry? - spytała Didi.

- Reguły? - Na jego twarzy zagościło zadowolenie. - Już ci mówię. Każdy ma trzy szanse i dostaje trzy podpowiedzi.

- Dobrze.

Didi oblizwała wargi. Wołała go, gdy się nie dąsał.

- Noszę imię - zaczął mężczyzna - wielkiego piosenkarza country.

- Kenny? - strzeliła.

- Kenny? - zawołał. - Skąd! Przecież powiedziałem, że wielkiego piosenkarza, a nie szmaciarza. Wielkiego, niepowtarzalnego piosenkarza country. Zostały ci dwa podejścia.

- Cóż, w takim razie musisz mi dać jeszcze dwie wskazówki.

Myślał nad nimi. Przez dłuższą chwilę milczał, prowadząc samochód. Słońce rozgrzewało maskę do białości i Didi z trudem chwytła powietrze. Potrzebowała chłodnego powiewu.

- Co powiesz na to? Jest wysoki.

- Wszyscy piosenkarze country są wysocy - odparła, kręcąc głową. - To zła podpowiedź. Mniej więcej taka sama jak to, że jest mężczyzną.

Przestraszyła się, że za daleko się posunęła. A nuż porywacz uzna, iż ona lekceważy jego wskazówki.

Widocznie przemknęła mu ta sama myśl, bo powiedział:

- Próbujesz się mądrzyć?

- Nie, skąd - zapewniła go pośpiesznie. - Ale przydałaby mi się bardziej konkretna podpowiedź.

- Niedawno się ożeniłem - oznajmił, lecz Didi nie była pewna, czy wcielił się w bohatera zagadki, czy mówi o własnym życiu. - Ale teraz znowu jestem wolny.

- Dlaczego?

- Bo żona okazała się straszną fleją i nie chce siedzieć w domu - dokończył chrapliwie.

Domyśliła się, że mowa o bohaterze zagadki.

- Lyle Lovett - powiedziała. - Lyle.

Spojrzał na nią z ukosa, w jego wzroku malowało się zdumienie, a może wręcz podziw?

- Niesamowite. Za drugim razem. Faktycznie, nazywam się Lyle. Niewiarygodne. Jak szybko. Ale na nazwisko nie mam Lovett.

- Oczywiście, że nie - odrzekła Didi. - Lyle to ładne imię. Wazelina, pomyślała. Powiesz wszystko, byle uratować życie. Musiała mieć dziwny wyraz twarzy, bo położył jej rękę na kolanie i spytał z troską w głosie:

- Co ci się stało?

Olbrzymim wysiłkiem woli nie skrzywiła się ani nie cofnęła.

- Mogę dostać coś do picia? Jestem bardzo spragniona - odezwała się, ocierając twarz.

- Nie tak szybko - ostudził ją człowiek o imieniu Lyle. - Teraz ja muszę odgadnąć twoje imię, prawda?

- Powiem ci je - zaproponowała.

- Nie! - Wyciągnął rękę. - Chcę sam odgadnąć. Tak świetnie się bawiłem, robiąc to u Dillarda. A więc... co dostanę, jeśli zgadnę za trzecim razem?

Patrzył na nią obłeśnie, uśmiechając się znacząco i rozchylając usta. Najchętniej otworzyłaby drzwiczki i rzuciła się z samochodu na pobocze. I zrobiłaby to, gdyby nie dziecko.

- Nie wiem - odrzekła bezradnie. Nie dodała: „A czego chcesz?”.

- Co powiesz na małego buziaka? - spytał, kładąc rękę na jej nodze tuż pod miejscem, w którym kończyła się sukienka.

Dotyk jego ręki na gołym udzie sprawił, że Didi głośno się zakrztusiła, jakby za chwilę miała zwymiotować. Lyle cofnął dłoń.

- Tak... - ciągnął bez uśmiechu. - Może zaczniemy od buziaka. A teraz poproszę o pierwszą wskazówkę.

Próbowała przełknąć ślinę, lecz gardło miała suche. Musiała ją przełknąć, by uciszyć niepokój, ale nie mogła. Dręczyło ją koszmarnie pragnienie. Przeciągnęła dłonią po spoconym czole i dysząc wsunęła palce do ust. Niezadowolające, ale lepsze od tej paraliżującej suchości.

- Dobra, pierwsza wskazówka - wychrypiała. - Byłam główną bohaterką starej, słynnej sztuki.

Lyle ściągnął brwi. Nagle gra przestała go bawić. Najwyraźniej uświadomił sobie, że będzie trudniejsza, niż przypuszczał.

- Sztuka? - burknął. - Nie znam żadnej sztuki. Jak to: sztuka?

- To była pierwsza wskazówka. Jeśli zażadasz następnej, dam ci ją, ale wtedy zużyjesz już dwie szanse.

- Nie, czekaj. Niech zgadnę. - Zamyślił się. - Stara sztuka? Siedziała w milczeniu, masując bolące prawe ucho.

- Tak, stara sztuka.

W uchu dźwięczało jej echo; odbijało się od błony bębenkowej i wracało, tym razem już do obojga uszu. To oznaczało potężną migrenę. Dotykając brzucha, Didi poczuła, jak dziecko kopie. W pierwszej chwili przyniosło jej to ulgę, potem obudziło niepokój. Dziecko.

- W życiu nie oglądałem żadnej sztuki - narzekał Lyle.

- A w ogólniaku?

- Tak! - olśniło go. - Może w ogólniaku? „Chłopcy i dziewczęta”? Albo „Dźwięki muzyki”. Tak! Nazywasz się Maria.

- Nie - odrzekła, a w duchu dodała: Durniu, czy ci nie powiedziałam, że to stara sztuka?

- Nie?

Wyglądał na rozczarowanego. Był z siebie taki dumny, kiedy zawołał: „Maria!”. Dziecko znowu kopnęło. Didi przymknęła oczy.

- Kolejna wskazówka - zażądał porywacz.

- Kochał mnie jeden mężczyzna - powiedziała. - Ale drugi go nienawidził i pragnął skrzywdzić jego i mnie.

- Kochana przez jednego - mruknął Lyle. - Drugi jej nienawidził i chciał ją skrzywdzić... Te wskazówki są do niczego - oświadczył głośno. - Za bardzo tajemnicze.

Didi patrzyła na wskazówkę szybkościomierza, zbliżającą się do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Strzelaj, a dam ci kolejną podpowiedź.

Liczyła, że nadal będzie jechał tak wolno i policja zatrzyma go za utrudnianie ruchu na autostradzie. Czyż to nie byłoby cudowne?

- Niech się skupię.

Jego oczy pojaśniały. Didi bacznie go obserwowała.

- Może coś z Dickensa? Kochał mnie jeden mężczyzna, a drugi... Tak, oczywiście, „Opowieść o dwóch miastach"! Tak, ale jak nazywała się bohaterka? Jak nazywała się dziewczyna, która wyszła za jednego z bliźniaków?

Didi chciała wtrącić, że „Opowieść o dwóch miastach” to nie sztuka, ale ponownie ugryzła się w opuchnięty język.

- Lucie! - radośnie wykrzyknął Lyle. - Nazywasz się Lucie! Didi pokręciła głową.

- Ale nieźle ci szło.

Pstryknął palcami i cmoknął językiem. Wyglądał na bardzo rozczarowanego.

- Przecież zgadza się z twoją podpowiedzią. Bohaterkę kocha jeden mężczyzna, a drugi pragnie zaszkodzić jej i jej wybrańcowi.

- Nie - odparła. - Sydney Carton wcale nie chciał skrzywdzić Lucię. Kochał ją. Zamienił się miejscami z jej mężem, żeby zginąć zamiast niego. Umarł dla niej.

Lyle ściągnął brwi. Obecnie pędził dobrze ponad sto czterdzieści na godzinę.

Gdyby tak otworzyć teraz okno, marzyła Didi. Gdyby tak zatrzymała nas policja.

- Tego nie zapamiętałem. Wiem tylko, że bohaterkę „Opowieści o dwóch miastach” głęboko kochał jeden mężczyzna, mądrało - powiedział z goryczą porywacz.

Oboje na dłuższą chwilę zapadli w milczenie. Didi rozważała swoje szanse.

Mężczyzna nadal nie schodził poniżej stu czterdziestu.

Didi zaczęła się modlić: Panie Boże, wybac mi wszystkie grzechy i w swoim nieskończonym miłosierdziu ześlij tu patrol policji. A w ostateczności przynajmniej wodę.

- Podaj mi trzecią wskazówkę - odezwał się porywacz.

Boże, wyprowadź swojego sługę z mroków, które go spowijają, kieruj nim, pomóż odnaleźć drogę. Panie, spraw, by odszukał wrota, które prowadzą do życia.

- No już! - nalegał.

- Zgoda, trzecia podpowiedź. - Didi grała na zwłokę. - Może podam ci pierwszą literę. Czy to dobra wskazówka?

- Jeśli zgadnę, tak - odparł bez uśmiechu. - Jeśli spudłuję, nie.

Słowa przeszyły ją jak mieczem.

- Dobrze, w takim razie słuchaj. I pamiętaj o wcześniejszych podpowiedziach. Moje imię zaczyna się na literę D.

- D - powtórzył. - D. Bohaterka słynnej, starej sztuki, którą kochał jeden mężczyzna, a drugi skrzywdził. Skrzywdził ją?

- Tak - potaknęła. - Stała się jej wielka krzywda.

Lyle podrapał się po głowie. Nadal nie zdejmował nogi z gazu. Didi męczyło dojmujące pragnienie. Błagam, Boże, modliła się, policja albo woda.

Nie była pewna, czy wybrałaby patrol.

- Nie mam pojęcia! - wybuchnął nagle porywacz, waląc pięścią w kierownicę.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie wiem, o czym wygadujesz! Ja ci dałem współczesnego piosenkarza country, a ty mnie raczysz dyrdymałami o facecie, który robi jej coś złego, a drugi z kolei ją kocha; jakieś gadanie o starej sztuce. Do jasnej cholery! - Przystopował; nie tylko ze słownictwem, ale i z tempem jazdy, po czym zmierzył Didi wzrokiem. - Nie dajesz mi dobrych wskazówek, twoje podpowiedzi są do niczego. I podejrzewam - cedził - że specjalnie tak robisz, żebym przegrał, bo chcesz wyjść na mądrzejszą ode mnie.

Gwałtownie kręciła głową, wtulając się w drzwi.

- Nie, nieprawda. Czekał, już ci mówię, jak się nazywam. Rąbnął pięścią w kierownicę. Didi aż się zachłysnęła, co - z niewyjaśnionych przyczyn - go rozweseliło.

- Cieszę się, że to cię bawi.

- Bawi mnie to, że masz się za sprytniejszą. Teraz jego śmiech brzmiał głucho i złowróźnie.

- Ha! Skoro jesteś taka mądra - ciągnął, mocno pocierając kciukiem o jej udo - to dlaczego wylądowałaś w moim samochodzie? Niby dlaczego uważasz się za mądrą? Bo znasz

sztuki, o których ja nie mam pojęcia? Wielka mi mądrała! - Oderwał ją od drzwi i szarpnął w swoją stronę. - Siedź tu ze mną. Nie odsuwaj się tak. Przecież nie chcielibyśmy, żebyś wypadła, zgadza się?

- Tak - jęknęła Didi. Pot zalewał jej twarz.

- Widzisz? A teraz usiądziesz tutaj i tak długo będziesz mi podawać wskazówki, aż zgadnę, jak się nazywasz. Jasne?

Usiadła prosto, lecz nie mogła się powstrzymać i minimalnie się odsunęła.

- Zgoda - szepnęła. - Ale nie znam nikogo, żyjącego współcześnie, kto by nosił moje imię. Często chodzisz do kina?

- Niezbyt. Dlaczego?

- Bo niedawno nakręcono ekranizację tej sztuki. Jakiś rok, dwa lata temu. Z Laurence'em Fishburne'em. Znasz go?

- Co to za Laurence Fishburne? W życiu o nim nie słyszałem. Jaki był tytuł filmu?

- Jeśli powiem, od razu odgadniesz. To jakbym cię spytała o nazwisko męża Julii Roberts. Natychmiast byś wiedział.

- Niech będzie. Powiedz.

- Jak chcesz. Otóż film nosił tytuł... - odparła Didi, zadowolona, że wreszcie kończy tę szaradę - ...,„Otello”.

Zapadło milczenie. Silnik rzeził przy prędkości prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Obok nich śmignęła niebieska ciężarówka. Didi zauważyła stodołę, a na niej duży, niebieski napis, głoszący: „Stacja benzynowa, bar, noclegi. 8 kilometrów”.

Lyle przez dłuższą chwilę milczał.

- „Otello”? - odezwał się wreszcie. - Co to za wskazówka? W życiu nie słyszałem o żadnym „Otellu”.

- W takim razie nigdy nie odgadniesz mojego imienia. Nigdy. To jedyna podpowiedź, jakiej mogę ci udzielić. Po prostu powiem ci, jak się nazywam...

- Nie! - krzyknął. - Odgadnę je i to zaraz!

- Lyle - tłumaczyła Didi, bezskutecznie usiłując zachować spokój. Mężczyzna odlatywał i to budziło w niej przerażenie. - Uwierz mi, jeśli nigdy nie słyszałeś o „Otellu”, nie słyszałeś również mojego imienia.

- To się okaże - nie ustępował. - Daj mi wskazówkę. Powiedz, z czym się rymuje.

Nie ukrywała już płaczu, łzy mieszały się z potem i płynęły po policzkach do ust.

- Proszę... - szepnęła. - Błagam... Czego ode mnie chcesz? Zadzwoń do mojego męża, powiedz mu czego żądasz, tylko skończmy z tym. Dlaczego musisz to robić?

Spojrzał na nią dotknięty.

- Niby co? O czym ty wygadujesz? Sądziłem, że po prostu rozmawiamy.

Skinęła głową, zaczerpnęła powietrza i wzięła się w garść.

- Tak, oczywiście, rozmawiamy. Czy bawisz się w takie zgadywanki z żoną?

- Mówiłem, żebyś nie wciągała w to mojej żony! - warknął. A potem dodał: - Owszem, gramy.

- Lyle - zaklinała Didi - uwolnij mnie. Błagam. Zatrzymaj samochód i wypuść mnie. Nikomu o tobie nie powiem.

- Obiecujesz? - spytał drwiąco. - Dajesz słowo?

- Przysięgam.

- Na swoje nienarodzone dziecko?

- Przysięgam na moje nienarodzone dziecko - powtórzyła.

- Gówna prawda! - wydarł się nagle. - Ledwo cię wypuszczę, a zaczniesz gadać jak najęta każdemu, kto się nawinie pod rękę. Nie, nie mogę cię wypuścić - dodał

spokojniej. - Zresztą jeszcze nie skończyliśmy ze sobą, a ty doskonale o tym wiesz. Wróćmy do rzeczy. Wskazówka.

- Zadzwoń do mojego męża i powiedz mu, czego chcesz. Jedziemy już od ponad dwóch godzin, dlaczego dotąd z nikim się nie skontaktowałaś?

- Daj mi podpowiedź, jasne?

Wytarła twarz i polizała rękę. Owszem, słona, ale słona woda.

- Moje imię rymuje się - zaczęła wolno, próbując się uspokoić - z „Arizona”.

- Arizona... Arizona... Nic nie przychodzi mi do głowy. Pustka. Podaj inny wyraz.

- Rymuje się z „rozmodlona”.

- Hmm... Arizona... Rozmodlona... Nie, nic. Jeszcze jeden.

- Rymuje się z „Barcelona”.

- Barcelona? A co to? Boże!

- Posłuchaj - odezwał się groźnie. - Jeśli nie uda ci się sprawić, żebym zgadł, gorzko tego pożałujesz. Przysięgam na moje dziecko, że tak się stanie. Mów dalej. Arizona, rozmodlona, Barcelona... To się nazywają wskazówki? To idiotyzmy, nie podpowiedzi. Z takimi wskazówkami nikt by nie odgadł twojego imienia.

- Masz rację. Moje imię bardzo trudno odgadnąć - przyznała Didi. - Może w takim razie chcesz zgadnąć zdrobnienie, jakim wszyscy mnie nazywają?

- A ktoś cię nazywa zdrobniale?

- Oczywiście, mnóstwo osób.

- Twój mąż?

- Jasne.

- Dobra, wal.

- Zaczyna się na D i składa tylko z dwóch sylab dwuliterowych, a obie są zakończone na tę samą samogłoskę.

- Dada, dudu, dede... - mrucał pod nosem. - Dodo, didi... Didi? - spytał niepewnie z nadzieją.

- Tak! - zawołała. - Tak, zgadza się. Widzisz? Zgadłeś, Didi! - Odetchnęła, na chwilę opuściło ją napięcie.

Lyle szybko przestał się uśmiechać.

- To dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Bo to zdrobnienie, a nie imię wpisane do metryki czy prawa jazdy. Ty nie masz zdrobnienia?

Skrzywiła usta, licząc, że uzna to za uśmiech. Na twarzy mężczyzny pojawiła się zaduma. Zapatrzył się przed siebie.

- Żona nazywała mnie Lovey, bo przepadałem za Lyle'em Lovettem, a ona mnie kochała. Lovey.

Nazywała? Czemu w czasie przeszłym? Gdzieś na parkingu w trakcie upalnego, zupełnie normalnego teksaskiego popołudnia a może to było gdzieś w środku idealnego, wymuskanego, snobistycznego centrum handlowego? - w którymś punkcie życia Didi ten człowiek wspomniał coś o żonie i dziecku.

- Jak brzmi twoje pełne imię? - usłyszała jego pytanie.

- Desdemona.

- Desde.... Jak?

- Desdemona - powtórzyła wolniej. - Żona Otella.

- A ty znowu swoje z tym cholernym Otellem! - zawołał.

- Jesteś żoną Otella?

- Nie.

- To dlaczego ciągle o nim gadasz? I jakim cudem zdrobnienie od Desdemony brzmi Didi, a nie Mona, Desde albo Demona?

- W dzieciństwie wymawiałam swoje imię Didimona, miałam trudności z artykułowaniem głoski s, dlatego rodzice nazywali mnie Didimona, a kiedy poszłam do podstawówki, nauczycielka przerobiła to na Didi.

- Głupie imię - burknął i ku jej rozczarowaniu zwolnił do stu kilometrów na godzinę.

- Koszmarne - przytaknęła i odwróciwszy się w prawo, patrzyła na wypaloną trawę na łąkach.

- Zgadza się - przyznał Lyle. - Barcelona, Arizona, rozmodlona, dada Didi. Masz prawdziwego pecha.

16.15

Rich pojechał za radiowozem na komisariat w centrum Dallas. Ta piętnastominutowa podróż należała do najgorszych w jego życiu. Wytrzymał, zmuszając się, by o niczym nie myśleć. Jego serce ogarnął tępy, wszechogarniający ból. Tymczasem z lipcowego nieba lał się żar i na zewnątrz nie było ucieczki przed przygniatającą kołdrą upału. Rich ustawił samochód na parkingu dla radiowozów.

I nagłych wypadków.

Charles i Patterson wprowadzili go bocznym wejściem. Pierwszy raz tędy wchodził. Co prawda w ogóle nie należał do stałych gości w tym budynku. Zjawili się tu raz z Didi, by zgłosić próbę włamania oraz podpisać dokument odbioru skradzionego im wozu, który został odzyskany w całości - z wyjątkiem radia.

W środku czekał na Richa niski, poważny młody mężczyzna o lekko hiszpańskiej wymowie.

- Detektyw Juan Lopez. Proszę mi mówić po imieniu - przedstawił się, podając mu rękę. - Zapoznałem się już ze sprawą, zrobimy, co w naszej mocy, by panu pomóc.

Wood zamierzał złożyć skargę na policjantkę Patterson, ale darował sobie. To nieważne.

- Proszę za mną - ciągnął Juan - przedstawię panu mojego zwierzchnika.

- Wszystko pięknie - odparł Rich. - Chętnie dalej bym sobie mile z wami pogawędził, ale czy możemy...? Moja żona...

- Oczywiście, rozumiem. - W ciemnych oczach Juana pojawiło się współczucie. - Ja też mam żonę.

- Nie wątpię. Wszyscy mamy żony. A do tego moja jest w ciąży i zaginęła. Więc czy moglibyśmy...

Z gabinetu wyszedł mężczyzna.

- Jestem komendantem, nazywam się John Murphy. Wyciągnął rękę, a Rich ujął ją, licząc, że to go podniesie na duchu.

- Zrobimy, co w naszej mocy - zapewnił go Murphy. - Niech pan postara się nie martwić.

Wood zbył to wzruszeniem ramion.

- Niby jak zamierzacie ich odnaleźć? Jak?

Murphy przyglądał mu się przez chwilę, a potem zwrócił się do Lopeza:

- Juan, weź tego chłopaka z Freshens Yogurt do pokoju zdjęciowego. Pokaż mu fotografie. Zawiadomiłeś już wszystkie posterunki?

- Nie - odparł Juan. - Czekałem na wiadomość z Biura. Tłoczyli się w wąskim korytarzu. Richard najchętniej by usiadł albo osunął się na podłogę. Murphy upewnił się, czy ich powiadomiono.

- Biuro? - spytał Wood. - Chodzi o FBI?

Szef policji potaknął, choć na jego twarzy i w głosie pojawiła się lekka niechęć.

- Tak, coś w tym stylu. Musimy sięgać po wszelkie dostępne środki. Porywacz może być kimś stąd, zwłaszcza jeśli chodzi mu o forszę. Zasadniczo sprawa nie podpada jeszcze pod jurysdykcję Biura Federalnego, bo pańska żona najprawdopodobniej nadal znajduje się w Teksasie. Ale porywacz może pochodzić też z Oklahomy albo Luizjany. Jeśli wyjechał z miasta, nie poradziłibyśmy sobie z operacją na taką skalę, wiąże się z tym zbyt dużo utrudnień, FBI zaś ma znacznie większe możliwości działania - prychnął. - Tyle że trzeba pamiętać o jednym: zajmują się naprawdę poważnymi sprawami.

- A co, pańskim zdaniem, uznają za poważną sprawę? - spytał Rich.

Murphy wzruszył ramionami.

- Któż to odgadnie? Ja nie. W ubiegłym miesiącu wprowadzono dziewczynkę. Wszędzie o tym mówiono. Na pewno słyszał pan o naszym najnowszym systemie poszukiwania uprowadzonych dzieci?

Wood gwałtownie zaprzeczył.

- Współpracujemy z kilkoma stacjami radiowymi i zawiadamiamy je natychmiast po otrzymaniu informacji o zaginięciu dziecka. Wtedy co pięć minut nadają o tym wiadomość. W sprawie, o której panu wspominałem, FBI nawet nie kiwnęło palcem. W końcu okazało się, że rodzice dziewczynki byli rozwiedzeni i małą zabrał ojciec, tylko nikt tego nie wiedział. Ale to wszystko gdybania. Moim zdaniem ma pan duże szanse, że zajmą się pańską sprawą. Dobrze?

- Dobrze - powtórzył Rich słabo. Jeszcze tego mu brakowało: znaleźć się w środku sporu kompetencyjnego między lokalną policją a FBI. - Kontaktował się pan z nimi?

- Z radiostacjami? - spytał komendant.

- Nie, z FBI.

- Tak - powiedział Juan. - Zadzwońłem natychmiast po otrzymaniu od Charlesa wiadomości. Lada chwila powinien się tu zjawić jeden z ich agentów.

Detektyw nie tracił czasu i Richa to ucieszyło - o ile w ogóle coś mogło go w tej chwili radować.

- Nie będziemy czekać z założonymi rękami - oświadczył Murphy. - Wyślij do posterunków informację o ciężarnej kobiecie i młodym mężczyźnie. Niech Alex go opíše. I ściągnij tutaj Dona. Don to nasz rysownik - wyjaśnił Richowi. - Jest świetny.

- Czy rozesłanie informacji coś da? - spytał Wood, czując się jak idiota.

- Czy da? Na pewno nie zaszkodzi.

- Dochodzi wpół do piątej. Żona... - Umilkł. - Żona zniknęła koło pierwszej. Czy trzy godziny nie wystarczą, by

dotrzeć do granicy meksykańskiej lub na teren Ohio czy Luizjany?

Komendant pokręcił głową.

- Do granicy nie, ale na teren sąsiednich stanów owszem. Na pewno będzie jechał ostrożnie. Założę się, że nie chciałby zostać zatrzymany za przekroczenie szybkości. A jeśli zabrał ją poza granice stanu, wpadł w poważne kłopoty. W świetle prawa za wywiezienie osoby porwanej poza granice Teksasu grozi mu kara śmierci.

- Panie komendancie - odparował Rich, usiłując zachować panowanie nad sobą - żeby go skazać, trzeba go najpierw złapać.

- Owszem. To prawda. - Komendant skinął głową i Juan błyskawicznie się usunął. - Słuchaj, Rich, nie będę ci robił wody z mózgu - zaczął Murphy, odwracając spojrzenie.

Wood wolałby, żeby szef policji w Dallas patrzył mu prosto w oczy. W końcu jest mężczyzną i musi znieść prawdę - potrafiłby ją przyjąć - ale od policjanta oczekuje szczerości. Nie załamie się w obecności obcego człowieka, który ani nie zna jego żony, ani jej nie kocha.

- Panie komendancie, proszę na mnie spojrzeć.

- Sytuacja nie wygląda dobrze - powiedział tamten współczująco, niemal przepraszająco, gdy już popatrzył mu w oczy.

Przez chwilę Murphy nie odrywał od niego wzroku. Trwało to może parę minut, ale spojrzenie zupełnie nie pasowało do łagodnego tonu. Rich zastanawiał się, czy aby w oczach tego mężczyzny nie maluje się podejrzliwość. Czyżby próbował wzbudzić w nim jakieś uczucia? A może chodzi o coś innego.

- Jasne, że nie wygląda dobrze - przerwał milczenie Rich.

- Jak by pan ją oceniał, gdyby to pańską żonę porwano?

- Moja żona nie żyje. - Machnięciem ręki uciszył przeprosiny. - Nic nie mów. Już powiedziałem, że zrobimy, co w ludzkiej mocy. - Zawiesił głos. - Czy jesteś bogaty? Dlatego została uprowadzona?

Richard zmrużył oczy.

- Mam dobrą pracę, ale Didi wychowuje dzieci. Dopiero co postawiliśmy dom, co prawda nic szczególnie wielkiego, lecz w tym momencie nie śmierdzimy groszem.

- Zapewne wydarzy się parę rzeczy. Najprawdopodobniej porywacz zadzwoni i przedstawi swoje żądania. Może każe twojej żonie mówić przez telefon. A może ktoś ich zauważy i nas powiadomi.

Rich się zamyślił.

- Skąd będziemy wiedzieć, jeśli zatelefonuje do mnie do domu? Przecież jestem tutaj.

- Kto teraz tam jest?

- Moje dwie córki oraz ich opiekunka. Wkrótce też powinna się tam zjawić moja matka. To byłby dla niej szok. Nie ma pojęcia, co się stało.

- Może to odpowiedni moment, by ją zawiadomić.

- Nie jestem w stanie. - Rich pokręcił głową. - Szalałaby z niepokoju. Nie mogłaby się zająć małymi. Zresztą, co miałbym jej powiedzieć, przecież sami nie znamy sytuacji.

- Rozumiem. Posłać tam kogoś?

- Gdzie? Do domu? Jasne, świetny pomysł. - Potrząsnął głową.

- Najprawdopodobniej FBI i tak kogoś tam wyśle. Na wszelki wypadek. A gdyby porywacz zadzwonił, na pewno chciałbyś, żeby ktoś odebrał telefon.

- Wszystko to brzmi bardzo logicznie, ale niech mnie pan zrozumie. Telefon odebrałaby moja pięcioletnia córka. Moja matka nie poradzi sobie z tą sytuacją. Jest bardzo... uczuciowa.

- W takim razie może któryś z naszych chłopców? - podsunął Murphy.

- Może - odparł niezobowiązująco Rich. Jeszcze nie dojrzał do rozmowy z matką.

- Niewykluczone, że facet zaszył się gdzieś w Dallas. Na wszelki wypadek podamy jego rysopis w wiadomościach.

- Czy mógł wyjechać do Meksyku? Komendant pokręcił głową.

- Zrobiliby to tylko wtedy, gdyby... - Urwał w pół słowa i wpatrywał się w niego poważnym wzrokiem.

- Do czego pan zmierza? - Rich pobladł, ugięły się pod nim kolana. - Gdyby co? Zabił ją? - Przeszył go dreszcz, zaplótł na piersi ramiona. - Ale ona jest w ciąży. Spodziewa się dziecka. Kto mógłby...

Mężczyzna bez słowa położył mu rękę na ramieniu. Rich przypomniał sobie, że godzinę temu zadzwonił pod numer komórkowy Didi i odebrała. Godzinę temu jeszcze żyła.

- Niech pan zawiadomi straż graniczną, dobrze? Czy można to zrobić?

Odwrócił wzrok od komendanta, nie chcąc dostrzec w jego oczach odbicia własnego bólu. Przez chwilę nie mógł wydobyć słowa. Próbował odczuć obecność żony. Gdzie jest teraz Didi? Czując, że się dławi, szybkim ruchem rozluźnił krawat, a kiedy to nie wystarczyło, zdarł go z szyi.

- Chciałbym tylko wiedzieć - zapytał w końcu - dlaczego uprowadził moją żonę, skoro zostawił nasz nowiutki samochód?

16.30

Didi miała wrażenie, że jest wysuszona na wiór - tak na zewnątrz, jak i od środka. Dręczyło ją takie pragnienie, że piłaby nawet krew. Dziecko dostało czkawki. Mały szczęściarz, pomyślała, może pić płyn owodniowy. Biedny maluch, jemu też dokuczają pragnienie. Wytrzymamy, próbowała dodać sobie ducha.

- Lyle - zaczęła ostrożnie. - Możemy się zatrzymać i czegoś napić? Obiecałeś.

- Owszem, Didi, nie musisz mi przypominać. Obiecałem, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

Milczenie.

Och, więc porywacz dotrzymuje słowa! Jak to miło z jego strony.

- Ale Didi, Arizono - ciągnął. - Czyż ty nie obiecałaś mi całusa? Mimo ogarniającego ją strachu chciała powiedzieć: bałwanie, coś ci się pokręciło.

- Lyle, nie mogę - odparta w końcu. - Jestem szczęśliwą mężatką. Ty sam przecież wspominałeś, że masz żonę.

- Didi, liczę. Po raz trzeci wspomniałaś o mojej żonie. - Położył jej rękę na kolanie i dodał znacząco: - Nie miałaś nic przeciw temu, że cię całowałem na parkingu, w obecności tamtych kobiet.

- Miałam wiele przeciw temu i doskonale o tym wiesz. - Odsunęła nogę. - Jestem mężatką.

- Twój mąż na pewno by się nie obraził.

- Nie znasz go. Jest bardzo zazdrosny - powiedziała, tęsknie spoglądając na kolejny znak zapowiadający bliskość parkingu. - Proszę, zatrzymajmy się. Muszę skorzystać z łazienki i bardzo chce mi się pić.

- Nie odsuwaj się ode mnie. - Jego przyjacielski ton nagle gdzieś zniknął. - Lubie, kiedy siedzisz blisko i mogę z tobą rozmawiać. Przed nami długa podróż, a nie chcę sięgać w

drugi koniec samochodu, żeby cię dotknąć. Przysuń się do mnie.

Didi się nie ruszyła.

Wyciągnął rękę i poklepał ją po brzuchu. Odsunęła się i odwróciła w stronę drzwi. Nie wyobrażała sobie niczego gorszego niż dotyk jego dłoni na brzuchu, w którym znajdowało się dziecko.

Nagle Lyle zachrypiał i z całej siły ścisnął Didi za pierś, a potem brutalnie ją uderzył. Krzyknęła głośno.

Odepchnął ją i wybuchnął śmiechem.

- Kto by pomyślał - stwierdził, nie odrywając wzroku od drogi i próbując utrzymać samochód na właściwym pasie - mamy już za sobą pierwszą bójkę!

A potem zupełnie przestał zwracać na nią uwagę. Didi siedziała z rękami zaplecionymi na piersi, z niepokojem czekając, aż dziecko kopnie i da w ten sposób znak, że wszystko z nim albo z nią w porządku. Wyglądała przez okno, licząc na kolejny przydrożny bar.

Usiłowała promieniować dobrymi, chrześcijańskimi myślami, ale nie wyczuwała obok siebie duszy tego mężczyzny. Modląc się w kościele, była szczęśliwa i spokojna, ponieważ czuła wokół siebie inne dusze. W samochodzie Lyle'a jednak otaczała ją pustka.

Dlaczego się nie zatrzymuje i nie dzwoni? - zastanawiała się w duchu. Dlaczego nie każe mi zatelefonować i powiedzieć, że chce milion dolarów okupu? Z drugiej strony jednak, co jej biedny mąż by począł z takim żądaniem? Skąd by wytrzasnął tyle pieniędzy?

Wolała o tym nie myśleć.

Lyle włączył radio i nucił melodię country, bębniąc do wtóru w kierownicę. Wyglądał tak samo swobodnie i przyjaźnie jak wcześniej, w sklepie.

Kiedy zbliżali się do Waco, pola za szymbami zaczęły się zlewać w niewyraźną plamę. Od upału panującego w samochodzie Didi robiło się niedobrze. Mrugała powiekami, by pot nie zalewał jej oczu, a gdy ponownie wyjrzała przez okno, wydawało jej się, że widzi Amandę i Irene, bawiące się na trawie na poboczu. Wyszepiała ich imiona: Manda i Reenie... Mrugnęła i zniknęły, została tylko wysuszona trawa.

- Dlaczego rodzice nazwali cię Desdemoną, Arizono? - przerwał milczenie Lyle.

Przywodził jej na myśl wrednego dzieciaka ze szkoły. Dzieciaka, którego do tej pory prześladowali wszyscy koledzy, aż wreszcie zjawił się nowy mazgaj, na którym mógł się odegrać. Przezywać, wytykać palcem, wyśmiewać.

- Dlaczego? - powtórzył.

- Bo tak nazywała się moja matka i babcia - odparta, zadowolona, że humor mu się poprawił. - To imię przechodziło z pokolenia na pokolenie. Zdaje się, że moja prababcia była dziekanem literatury i fascynował ją Szekspir, jej ulubioną sztuką zaś był „Otello”.

Bez słowa jechał dalej.

- Jak ma na imię twoja żona? - zapytała pogodnie Didi, apelując w ten sposób do jego lepszej strony. Tej żonatej.

Milczał tak długo, że przypuszczała, iż nie doczeka się już odpowiedzi.

- Już ci mówiłem - odrzekł w końcu. - Melanie.

- Melanie. Ładne imię.

- Ona też jest ładna.

- Nie wątpię.

- Aż za ładna. I wie o tym.

Didi zamruła, zaskoczona tym nieoczekiwanym kierunkiem rozmowy, ale wtedy Lyle się uśmiechnął i dodał:

- Ty nie jesteś zbyt ładna, Didi. Milczała.

- Czy twój mąż cieszy się, że nie jesteś zbyt ładna?

- Mój mąż? - powtórzyła z namysłem. - Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. A ty się nie cieszysz, że twoja żona jest ładna?

- Niezbyt - przyznał. - Wolałbym, żeby była mniej... Rozumiesz. Za ładnie się ubiera, kiedy wychodzimy - dorzucił po chwili.

- Naprawdę? A dokąd chodzicie?

- To nic szczególnego - odrzekł wymijająco. - Wyskakujemy gdzieś na drinka lub idziemy potańczyć czy coś w tym rodzaju. Albo przekąsić skrzydełka z grilla.

- To mi wygląda na niezłą zabawę. Ale chyba wspominałeś, że niedawno urodziło się wam dziecko.

- Niby kiedy? - spytał ostro.

Didi zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Zdaje się, że w barku, gdy pierwszy raz cię zobaczyłam.

- Nie przypominam sobie - odrzekł, marszcząc brwi. Otchłań w jej brzuchu jeszcze bardziej się powiększyła.

- Nieważne. Pewnie pomyliłam cię z kimś innym. Spiker podał skrót wiadomości i zakończył:

- Pełny serwis informacyjny za piętnaście minut.

16.45

Rich siedział skulony na drewnianej ławce przed gabinetem komendanta, kiedy szybkim krokiem podeszli do niego Lopez i Murphy w towarzystwie ciemnoskórego mężczyzny w nieskazitelnie białej koszuli, spodniach khaki i szerokim krawacie w duże fioletowo - pomarańczowe wzory. Typowy przedstawiciel stylu funky - natychmiast pomyślał Rich. Czy taki facet może być poważny?

- Rich, poznaj Scotta Somerville'a z FBI - oznajmił Murphy, zerkając koso na agenta. - Zajmie się tą sprawą.

Mąż Didi bezsilnie ujął dłoń mężczyzny. Agent miał wyjątkowo mocny uścisk i kiedy wreszcie puścił rękę Richa, ten poczuł w niej mrowienie.

Wood zauważył, że Scott jest znacznie niższy i szerszy w barach od niego, ale przede wszystkim uwagę przykuwały jego brązowe oczy, tryskające zapalem.

- Zgadza się - potwierdził nowo przybyły, przeszywając Richa elektryzującym wzrokiem. - Przejmuję dowodzenie. - Klepnął Wooda w ramię. - Wiem, że cierpisz, stary. Ale jestem tu, by odzyskać twoją żonę, kapujesz?

Rich poczuł się odrobinę lepiej.

- Przyjechał tu pan aż z Waszyngtonu?

- Nie - odparł Scott, zawzięcie żując gumę. - Biuro ma agencje w całym kraju. Jestem z filii z Dallas.

- Naprawdę? - spytał słabo Rich. - Ma pan doświadczenie w tego typu sprawach?

Agent położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- W końcu to mój zawód. Zaufaj mi.

Wood milczał i Scott przez chwilę bacznie go obserwował.

Rich czuł na sobie spojrzenia trójki mężczyzn. Scott wpatrywał się w niego przenikliwie, pytająco, jakby odrobinę podejrzliwie - takim samym wzrokiem mierzył go wcześniej

komendant. Jedynie w oczach Juana malowało się współczucie. Co tu jest grane?

- Co jest? - odezwał się. - Dlaczego tak na mnie patrzycie, jakbym był ostatnim z podejrzanych, którego nie rozpoznał świadek, a wy nadal nie macie sprawcy?

Scott przez chwilę milczał.

- Powiedz nam, skąd wiedziałeś, że ten facet uprowadził twoją żonę? - spytał wreszcie.

- Co wy wygadujecie? Do czego pan zmierza? - Rich był tak zrozpaczony i tak ogłuszony ciosem, który na niego spadł, że dobrą chwilę potrwało, nim dotarł do niego sens pytania. - Zaraz... - wydukał wstrząśnięty, nerwowo szarpiąc włosy. - Chwileczkę. Momencik. O co właściwie panu chodzi?

- To zwykłe pytanie - odrzekł uprzejmie Scott. - Nie za bardzo rozumiem całą sytuację. Wspominał pan coś o torebce z preclami?

- Chryste Panie! - Rich był bliski wyrwania sobie włosów. - Czy naprawdę... nie macie lepszych zajęć niż przesłuchiwanie mnie? Co się stało? Tak szybko skończyły się wam ślady? Nie zachowuję się jak na pogrążonego w żałobie męża przystało?

Komendant i Scott nie odrywali od niego wzroku. Tylko Lopez spuścił oczy.

- Juan? Wy tłumacz mi, co tu jest grane?

- To standardowa procedura - bąknął detektyw.

- Jasne, mamy tu do czynienia wyłącznie ze standardowymi procedurami - zawołał z goryczą Rich. - Powiedzcie, czy to zupełnie normalne i powszednie, że z centrum handlowego zostaje uprowadzona ciężarna kobieta? He?

Nikt nie odpowiedział.

- Znalazłem torebkę z preclami, należąca do mojej żony - podjął w końcu Richard wolno, głuchym tonem. - Wiedziałem, że to Didi, ponieważ poczułem zapach jej kremu.

- Jeśli smarowała się nim rano, zapach musiał być bardzo słaby - zauważył neutralnym tonem Scott.

Ale Rich i tak uznał to za atak.

- I co z tego? Owszem, był bardzo słaby. Pan na pewno by go nie poznał. Gdyby to była inna woń, nawet nie zwróciłbym na nią uwagi.

Ale to był zapach mojej żony. Nie sądzicie, że kto jak kto, ale ja potrafiłbym go rozpoznać?

Somerville przytaknął, wymieniając spojrzenia z komendantem.

- Oczywiście. Jasne. - Znowu skinął głową. - Ale nie zwracajmy już sobie tym wszystkim głowy. Ja się tym zajmę.

- Niby czym? - spytał Wood, chociaż Scott nie zwracał się do niego. Nagle wyraz twarzy agenta się zmienił.

- I niech Bóg ma cię w opiece, jeśli nas okłamałeś. Jeśli mnie okłamałeś.

- Na miłość boską! Zróbcie mi badanie wykrywaczem kłamstw, jeżeli już musicie. Mówię szczerą prawdę! A z każdą minutą, którą marnujecie na stanie tutaj i wypytywanie mnie, moja żona oddala się od nas o kolejne kilometry.

Scott i Murphy jeszcze przez chwilę na patrzyli sobie, wreszcie agent lekko skinął głową i uśmiechnął się do Richa.

- W porządku, stary - powiedział uspokajająco. - Współmałżonek zawsze jest pierwszym podejrzanym, to standardowa procedura. I choć tobie może się wydawać, że nic nie robimy, my już pracujemy. Zajmuję się tą sprawą zaledwie od pięciu minut, a możliwe, że poczyniliśmy pewne postępy.

Richowi błysnęły oczy.

- Postępy?

Scott podniósł rękę.

- Ale nie ciesz się przed czasem.
- Boże, co? Co? - zawołał Wood, czując jak krew napływa mu do twarzy.

- Otóż mamy pewną informację. O trzeciej trzydzieści pięć, szesnaście kilometrów na południe od Dallas, na trasie 35E, zadzwoniła na policję kobieta, która zauważyła niepokojącą scenę w aucie obok niej.

- Jak to: niepokojącą? Co powiedziała? Serce dudniło Richowi jak młotem.

- Mówiła, że prowadziła swój samochód, jak Pan Bóg przykazał, kiedy zobaczyła w pojeździe z lewej strony, jak kobieta odwraca się do okna, a kierowca, mężczyzna, bije ją czymś.

- Boże! - jęknął Rich, myśląc równocześnie: może to nie Didi.

- Informatorka dodała - ciągnął Scott - że pasażerka była młoda, miała długie, ciemne włosy i mówiła coś, czego nie dało się zrozumieć. Owa kobieta wspomniała również, że ofiara wznosiła ręce w modlitewnym, proszącym geście, więc możliwe, że wzywała pomocy.

- Dobry Boże! - powtórzył Rich, bezsilnie zaciskając ręce.

- Ale nie mamy żadnej pewności, jasne? - podkreślił Scott. Rich zauważył, że Juan i Murphy nie odezwali się ani słowem.

Agent FBI tak dominował nad rozmową i zachowywał się z taką pewnością siebie, że nie dopuszczał, by mu przerywano.

- Niewykluczone, że to po prostu jakaś małżeńska kłótnia - tłumaczył Scott. - To się zdarza.

Rich wiedział, że to się zdarza. Ale musiał wierzyć, że chodziło o jego żonę i że ona nadal żyje. Najtrudniej było mu się pogodzić z tym, iż nie wie, czy Didi żyje. Czy nic jej nie jest.

Zaraz, jak Scott powiedział: trzecia trzydzieści pięć? A o której on telefonował na komórkę Didi? Koło wpół do czwartej.

Ulga zniknęła, jej miejsce zajął ciężar, coraz głębiej pogrążający Richa w rozpacz.

Uświadomił sobie, że informacja o tym, iż Didi żyje i jedzie samochodem z mężczyzną, który czymś ją bije, nie może napawać radością. Ale przynajmniej żyła. Póki życia zaś, póty nadziei,

Poczuł na sobie baczne spojrzenie Scotta i zastanawiał się, czy zdał egzamin. Agent wyciągnął do niego rękę.

- Doskonale wiem, co teraz przechodzisz. Znam każde twoje uczucie, co do jednego - zapewnił Richa z powagą. - Właśnie tego najbardziej nienawidzimy. Liczymy, że porywacz skontaktuje się z nami telefonicznie albo listownie, żądając okupu i to da nam jakąś wskazówkę, dzięki czemu możemy ruszyć jego tropem. Musimy liczyć, że gdzieś popełni błąd. Wtedy zrobimy, co w naszej mocy. Ale teraz nawet nie wiemy, czy chodzi o ten samochód i tego człowieka. Trzymaj się mocno i pozwól nam działać. Jedno mogę ci obiecać - dorwiemy sukinsyna.

Rich odsunął rękę Scotta.

- To znaczy, że prowadziłeś wiele takich spraw?

- Tak. Zajmuję się szukaniem kidnaperów.

- Jak często chwytasz porywacza?

- W dziewięciu wypadkach na dziesięć - oznajmił z dumą agent. Wood słabo skinął głową.

- Może udałoby nam się zadzwonić do kobiety, która widziała Didi?

Somerville na chwilę przestał żuć gumę.

- Nie przechwalałem się, mówiąc, że jesteś w dobrych rękach. Już się porozumiałem z tą kobietą. To pierwsze, co zrobiłem po otrzymaniu od niej wiadomości. Poprosiłem, żeby

wróciła do Dallas. W tym momencie znajduje się w komisariacie. Jeśli masz przy sobie zdjęcie żony, mógłbym jej pokazać.

Rich nie pozwolił sobie na okazanie nawet odrobiny podziwu. Grzebał w portfelu, w końcu wyjął ślubne zdjęcie Didi, promiennej, uśmiechniętej, całej w bieli. Jej lśniące włosy, błyszczące oczy i radosny uśmiech teraz, siedem lat później, były dokładnie takie same jak w dniu ślubu. Podał fotografię Scottowi.

- Ładna - stwierdził agent, zerknąwszy na zdjęcie. Richowi zawirowało w głowie.

Tak, jest ładna, pomyślał. I pragnę odzyskać moją śliczną żonę.

- Chodźmy - powiedział Scott i zaprowadził go do pokoju ze stołem i paroma krzesłami. - Usiądź i czekaj na mnie. Za chwilę wrócę.

Somerville zniknął. Rich uświadomił sobie, że Juan i Murphy już się nie angażowali w sprawę. Parę minut czekał za stołem, ale w końcu nie wytrzymał sam ze swoimi myślami w tym pustym pokoju. Wyszedł na korytarz i usiadł na drewnianej ławce. Spragniony działania, stukał obcasami w podłogę. Wykańczało go takie bezczynne czekanie, liczenie sekund w nadziei, że zaraz coś się wydarzy, będą jakieś wiadomości.

Na widok Scotta zerwał się z miejsca. Agent położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Bez nerwów, stary.

- Jasna sprawa - odparł z goryczą Wood. - Dzięki za radę. No i...? - spytał po chwili.

- Tak, mamy coś.

Scott nieustannie zachowywał się spokojnie, bez zarzutu. Skinął głową, jakby odpowiadał na swoje pytanie, nie Richa.

- To ona. Kobieta ją rozpoznała. To była twoja żona. Teraz Richard kiwnął głową.

- Od początku wiedziałem. Jakim samochodem jechali?

- Informatorka nie zapamiętała. Mężczyzna pędził jak szalony, co chwila zmieniał pas, grzał dobrze ponad sto czterdzieści. Najwyraźniej nie chciał, żeby za nim jechała. Wydaje jej się, że to był stary model forda kombi, beżowy. Nie zdążyła zapamiętać całego numeru rejestracyjnego, tylko trzy pierwsze znaki: JZ5.

- Och! - westchnął rozczarowany Rich. - Czy to coś da?

- Lepsze to niż nic - odparł agent, wyjmując kolejną gumę i wkładając ją do ust. - Są setki samochodów z rejestracją zaczynającą się na JZ5. Dzwoniłem już do wydziału komunikacji, sprawdzają je, ale to trochę potrwa. Zawężymy tę liczbę do kilkudziesięciu beżowych fordów albo mercury kombi, a potem zaczniemy szukać zdjęć. To potrwa jakąś godzinę.

- Aż tyle? - zawołał Wood. - Za godzinę mogą już być w Meksyku!

- Sądziłem, że będziesz pod wrażeniem naszego tempa pracy - powiedział Scott, kręcąc głową - tymczasem, proszę. Nie dojechał jeszcze do Nowego Meksyku. Jest gdzieś między Dallas a Waco. Zawiadomiliśmy policję w Waco i lokalne patrole. Niewykluczone, że porywacz faktycznie kieruje się ku granicy, ale dotrze tam najwcześniej za cztery godziny. Jeśli ten facet będzie się trzymał trasy 35, dopadniemy go, to wyłącznie kwestia czasu. Poza tym AP... - Rich podniósł pytająco brwi, więc Scott wytłumaczył: - Agent prowadzący, nazywa się Raul, pracuje na miejscu - podkreślił, jakby chciał zaznaczyć różnicę między sobą - człowiekiem czynu, a Raulem - urzędasem. - To dobry chłopak. - Zniżył głos. - Ale lubi się rządzić. Nieważne, skontaktował się ze stacjami nadawczymi. Reuters i UPI podają już opis samochodu,

liczymy, że wkrótce uda się dostarczyć im też rysopis porywacza. Murphy wspominał ci o programie poszukiwania zaginionych? Stacje, które z nami współpracują, podadzą informację o twojej żonie. To bardzo nam pomoże. Wszyscy słuchają radia - w podróży, na stacjach benzynowych, w barach, wszędzie. Powiadomiliśmy drogówkę, żeby miała oko na beżowe samochody kombi, ogłosiliśmy alarm. Jeśli porywacz nie opuścił Teksasu, dorwiemy go.

W trakcie tej relacji do pokoju weszli Juan Lopez i komendant Murphy. Teraz trzech mężczyźni otoczyli Richa kołem, jakby chcieli osłonić go przed bólem.

- Czy to dobry pomysł? - zaniepokoił się Wood. - Może lepiej nie podawać tego w wiadomościach?

- To standardowa procedura. Potrzebujemy pomocy każdego, kto coś zauważył. A jeśli się nie dowiedzą, nie zgłoszą się do nas. - Widząc, że Richard nie jest przekonany, Scott dodał: - Musisz mi zaufać. Wiem, jakie to trudne. Ale pamiętaj, dopóki porywacz prowadzi samochód, nie skrzywdzi twojej żony.

Powiedz to śladom krwi na torebce z preclami, pomyślał Rich, odsuwając się od policjantów. Powiedz to mojej żonie, którą bito i która szukała pomocy u przypadkowej kobiety w samochodzie obok. Powiedz to Didi!

Nie ulegało jednak wątpliwości, że Scott jest agentem FBI i zjawił się, by jej pomóc. FBI. To agenci Biura przejęli kontrolę nad sytuacją. Patrząc na poważną twarz czarnego mężczyzny, Rich poczuł się odrobinę lepiej. Jedyne, co budziło w nim niechęć, to ciągle żucie gumy i jaskrawy krawat Somerville'a.

- Dobrze, i co teraz? - spytał.

- Teraz czekamy. Czekamy na jego ruch. A na pewno go wykona. Trzeba jedynie zdobyć się na cierpliwość. Nie mam cienia wątpliwości. Przestępstwo daje nie tylko miejsca pracy

dla takich jak ja, ale przede wszystkim powoduje kolejne przestępstwo. Każdy jego kolejny ruch będzie kolejnym złamaniem prawa. A wiesz, czemu? Bo taką ścieżkę wybrał. A gdy już się na nią wkroczy, nie ma wyjścia i człowiek coraz bardziej się pograża. Jeszcze nie wiemy, co ten facet robi, ale na pewno już niedługo znowu nam się objawi. Dlatego musimy cierpliwie czekać. Wierz mi, to nie potrwa długo.

16.45

Wreszcie Lyle zjechał z międzystanowej trasy 35 - w pobliżu miejscowości West, w stanie Teksas. Didi była bliska szczęścia. Odmówiła króciutką modlitwę dziękczynną, pomyślała: doskonale, wreszcie początek końca. Pojedziemy gdzieś, zadzwoni do Richa, a wtedy... cóż, będziemy negocjować. Usłyszę głos Richa, powiem mu, że wszystko gra. Może nawet usłyszę dziewczynki.

I wreszcie się napiję!

Lyle skręcił w prawo przy znaku stop, potem przejechał parę kilometrów w kierunku Aquilla, dopóki nie znalazł stacji benzynowej. Didi nigdy nie sądziła, że może się aż tak ucieszyć na jej widok. Przed „Warsztatem samochodowym Johnny'ego” stał jeden dystrybutor. Podjazd nie był utwardzony, tylko wysypany żwirem. Przy zapuszczonym sklepie stało podniszczone krzesło i czarno - biały telewizor, ale na zewnątrz nikogo nie dostrzegła. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby w taki upał, pomyślała Didi, przysuwając głowę do wentylatora.

Lyle zatrzymał się przy dystrybutorze i powiedział:

- Chcę ci coś pokazać. - Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął rewolwer. - Znasz się na broni? Sądząc po braku odpowiedzi, to nie. Wierz mi, nie zamierzałem ci tego pokazywać, ale masz skłonności do rozrabiania i robienia szumu. Ta spluwa to kolt, superautomatic, kaliber 38. Jego prędkość początkowa wynosi trzysta dziewięćdziesiąt metrów na sekundę. Fireballowi nie sięga do pięt, lecz to i tak niezła pukawka. Chcę, byś zrozumiała, że choć staram się być miły, nie dam sobie wleźć na głowę. Wolałbym cię nie zabijać, ale prędzej zastrzele cię, niż sam zginę. Rozumiemy się?

Didi w milczeniu skinęła głową.

- Jeśli zaczniesz się drzeć albo w inny sposób zwrócisz na siebie uwagę Johnny'ego, będę musiał zabić ciebie, a także

biednego Johnny'ego, który nigdy nie skrzywdził nawet muchy. Swoimi wrzaskami nie tylko ściągniesz na siebie śmierć, ale także zabijesz niewinnego człowieka. Dotarło?

Ponownie skinęła głową.

- W porządku. Cieszę się, że się rozumiemy. Najpierw zatankuję. Wspominałaś, że musisz skorzystać z łazienki?

- Błagam, najpierw wypuść mnie do toalety - zaklinała Didi. - Dłużej nie wytrzymam.

Lyle się uśmiechnął.

- Rany, zapomniałem. Ciężarne często muszą biegać w ustronne miejsce. Moja żona nawet nie zdążyła dopić piwa, a już ją goniło. - Rozejrzył się wokół. - Ubikacje pewnie są z tyłu budynku. Podwiozę cię.

Kiedy skręcali za budynek, z niewielkiego sklepiku wynurzył się krępy, starszy mężczyzna i spokojnie pomachał Didi przed nosem kluczem na dużym drewnianym kółku.

- Mam wziąć? - spytała naturalnie, sięgając po klamkę.

- Nie! - krzyknął Lyle, wrzucając bieg. - Ja go wezmę!

Didi skinęła głową, wpatrując się w przestrzeń. Łysy, puciołowaty, poczciwie wyglądający Johnny nie zasłużył sobie na śmierć z jej powodu.

Co prawda, było to bez sensu, żeby Lyle brał klucz, skoro mężczyzna stał od strony Didi. Wystarczyłoby, żeby odkręciła okno i wysunęła rękę. Ale porywacz wysiadł z samochodu, obszedł go, wziął klucz i powiedział coś do właściciela. Tamten skinął potakująco, zerknął na Didi i uśmiechnął się lekko. Pokręciła głową. Bawią się moim kosztem, pomyślała, usiłując podsłuchać rozmowę. Z wielkim trudem rozróżniła słowa Lyle'a.

- Mam dla ciebie zagadkę. Ciekawe, czy sobie z nią poradzisz. Johnny bacznie przyglądał się jego granatowej wiatrówce.

- Gotowy? - spytał Lyle, zaciskając zęby.

- Nie jestem w nastroju do zagadek - odparł właściciel warsztatu, podając mężczyźnie klucz od toalety. - Za gorąco na myślenie.

Ten jednak nie wziął klucza.

- Posłuchaj i powiedz, czy jest łatwa. Moja żona twierdzi, że to kaszka z mleczkiem.

- Niech będzie, wal - ustąpił Johnny.

Didi odrobinę uchyliła okno i nastawiła uszu. Lyle nawet nie zauważył.

- Musisz odgadnąć kobiecie imię. Imię bohaterki starej, słynnej sztuki o mężczyźnie, który kocha kobietę, i drugim, który pragnie ich skrzywdzić i w końcu to robi. Imię zaczyna się na D i rymuje z... - tu parsknął śmiechem - z „Barcelona”, „Arizona” i „rozmodlona”.

- Desdemona - odrzekł natychmiast Johnny. - Chcecie skorzystać z łazienki czy nie?

Zdumiony Lyle wziął wreszcie klucz.

- Skąd wiedziałeś?

- Kaszka z mleczkiem - odparł właściciel warsztatu, uśmiechając się do Didi.

Odwróciła się od niego. Co za upał. Jak gorąco. Marzyła tylko o łazience i czymś do picia.

Podjechali na zaplecze. Jeszcze w samochodzie Lyle dał jej klucz.

- Za sześćdziesiąt sekund przychodzę po ciebie.

- Zrozumiałam. Mogę wziąć torbę? Zareagował natychmiastową podejrzliwością.

- Po co?

- Żeby się uczesać i pomalować usta. - Usiłowała mówić pogodnie. - Obrzydliwie się czuję.

Zmierzył ją wzrokiem. Didi wydawało się, że czuje jego niepokój. Zabrał torbę i grzebał w niej, dopóki nie wyciągnął telefonu komórkowego. Didi straciła nadzieję, zwłaszcza że na

ekraniku wyświetlił się napis: „Bateria niemal wyczerpana”. Lyle wrzucił aparat do schowka i podał jej torbę.

- Byle szybko.

- Dobrze. Oczywiście, że się pośpieszę, tylko daj mi drugą minutę na odświeżenie się.

- Masz się nie guzdrać, jasne?

Didi chwyciła klamkę i otworzyła drzwi. Otworzyła drzwi!

Otworzyła je i wyszła z torbą.

Powietrze było ciężkie i lepkie od upału. Musiała się przez nie przedzierać, niczym przez dżunglę, pełną drzew i gałęzi, smagających ją po twarzy. Okazało się, że na zewnątrz panuje taki sam skwar jak w środku, tyle że nie śmierdziało. Liczyła, że przy okazji samochód odrobinę się wywietrzy. Szła, powłócząc nogami.

W małej, ciemnej toalecie cuchnęło moczem i kałem. Na podłodze Didi zobaczyła kałużę i wołała nie zgadywać, co się na nią składało.

Zapaliła światło i zamknęła drzwi. Ostrożnie położyła torbę na umywalce i przykucnęła nad sedesem. Cóż za ulga!

Ale natychmiast wygrał strach i wcale nie czuła się lepiej. Spuściwszy wodę, przejrzała się w lustrze.

Zobaczyła tam twarz obcej kobiety: zlanej potem, umęczonej, zaszokowanej. Odkręcała kran, gdy do drzwi załomotał Lyle.

- Pośpiesz się! - zawołał.

Klamka się poruszyła. Dzięki Bogu, że zamknęła zamek.

- Momencik, załatwiam się. Poczekaj chwilę, dobrze?

Didi usłyszała oddalające się kroki. Zaczęła rozpaczliwie przeszukiwać torbę w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby jej się przydać. Wykałaczka, pilniczek, nożyczki.

Na dnie znalazła skrawek kartki, parę drobniaków i książeczkę Irene, „Dzwonnik z Notre Dame”.

Przyjrzała się kartce i załamana rzuciła ją na podłogę. Tłumiąc szloch rozpaczony, zakłęta pod nosem i podsunęła złożone dłonie pod kran, napełniła je i wypła wodę. Solidne łyki. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Tyle samo, ile sygnałów telefonu, zanim udało jej się go włączyć i wyszeptać imię męża.

- Rich - wyszeptała je i teraz. - Najdroższy, wybac mi, że cię zawiodłam i że nakupowałam tyle rzeczy i dałam się dopaść karmie, o której wczoraj rozmawialiśmy. Nie wierzyłeś mi, gdy mówiłam, że się boję, a proszę!

Lyle ponownie załomotał w drzwi.

- Szybciej!

- Już kończę! - zawołała, zakręcając wodę.

Didi mokrymi rękami sięgnęła do torby po szczotkę i szybko przeczesła włosy. Ostatnie, czym się teraz przejmowała, to fryzura, ale cieszyła się tą dodatkową chwilą względnego bezpieczeństwa. W normalnej sytuacji wolałaby siusiać w lesie niż postawić nogę w takim miejscu, ale dziś łazienka Johnny'ego była dla niej niczym słoneczna oaza.

Uczesawszy się, bacznie obejrzała szczotkę: plastikowa, niegroźna. Wrzuciła ją z powrotem do torby.

Może jeśli trochę się urna...

Szminka!

Wyjęła pomadkę Elizabeth Arden New New Rose i dużymi, a potem - w miarę, jak zaczynało jej brakować miejsca - coraz mniejszymi literami zaczęła pisać po brudnym lustrze.

Pomocy!

Nazywam się Didi Wood i zostałam
uprowadzona przez mężczyznę
o imieniu Lyle.

Jedziemy beżowym fordem taurusem kombi.

Błagam o pomoc.

Znowu zabębnił w drzwi.

- Idę! - krzyknęła.

Zrezygnowana otworzyła drzwi i zgasiła światło. Lyle czekał na nią z uśmiechem.

- Wszystko gra?

- Tak, w porządku. Dotknął jej włosów.

- Ładnie wyglądasz.

Żałowała, że nie może teraz ogolić głowy na zero.

- Dzięki.

- Zetrzyj szminkę, to cię pocałuję - powiedział, przysuwając się bliżej.

- Nie pomalowałam się - odparła słabo, ale i tak wytarła usta. Zbierało jej się na torsje.

Obok cuchnącej ubikacji w cieniu zaniedbanej stacji benzynowej, gdzieś na głębokiej prowincji Teksasu uśmiechnięty młodzieniec prosił Desdemonę Wood o pocałunek.

Didi nie wytrzymała. Zakrztusiła się i zwymiotowała całą wodę, którą dopiero co wypila, na spodnie i buty Lyle'a.

Odskoczył jak oparzony.

- Co ty wyprawiasz? Oszalałaś?

- Przepraszam - wykrztusiła i znowu zwymiotowała, krótkimi, gwałtownymi chluśnięciami.

Myślała tylko: biedna woda. I o tym, jak bardzo jej potrzebuje i pragnie. Wodę wchłoneła trawa i Didi znowu miała zupełnie pusty żołądek. Wytarła usta.

- Przepraszam, jest mi niedobrze. Skrzywił się z odrazą.

- Rany, co za ohyda! Zabieramy się stąd.

- Czekaj. - Przyłożyła rękę do warg. - Mogę chociaż opłukać usta? Chciała wypić jeszcze parę łyków wody.

Lyle już miał ją wziąć pod rękę, gdy się cofnął. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie. Machnął, żeby szła pierwsza.

- Nie. Dość już przez ciebie zmitrężyliśmy czasu. Zmywamy się stąd.

Wolno wróciła do samochodu, marząc, by móc wypłukać z ust gorzki smak - idealna metafora na dziś.

Lyle podjechał pod dystrybutor. Zatankował, a potem ustawił się pod sklepem. Obiecał, że kupi jej coś do picia. Wysiadając, znacząco poklepał się po wewnętrznej kieszeni wiatrówki, by upomnieć Didi, ostrzec ją i przestraszyć. Nie spuszczała z niego wzroku.

Właśnie mijał telewizor, gdy nagle się zatrzymał. Spojrzała także na ekran. Nadawali wiadomości, ale nie usłyszała, co mówi dziennikarka. Lyle stał bez ruchu, nie odrywając wzroku od odbiornika. Na monitorze pojawiło się ślubne zdjęcie Didi. Nie wierzyła własnym oczom, odkręciła szybę jeszcze o parę centymetrów. Zanim Lyle wyszarpnął przewód z gniazdka, usłyszała: „...uzbrojony i niebezpieczny”.

Jeszcze przed wejściem do środka mężczyzna odwrócił się i posłał Didi lodowate, twarde spojrzenie.

Didi nie miała czasu emocjonować się faktem, że zobaczyła własną twarz w telewizji. Ledwo Lyle zniknął w sklepie, otworzyła schowek i wyciągnęła swój telefon komórkowy. Nie odrywając wzroku od drzwi, wystukała numer policji.

- Wszystko gra - szeptała do siebie, wpatrując się w sklep. Słońce odbijało się w szybach i nie widziała, co się dzieje w środku.

Dziewięć - jeden - jeden. Czekwała. Początkowo wyglądało na to, że aparat ją połączy, ale wtedy rozległ się sygnał rozładowania baterii. Cholera. Mimo wszystko nie wyłączyła telefonu. Sygnał. Drugi. Trzeci. Wtedy usłyszała męski głos. Bała się przyłożyć słuchawkę do ucha. Nie chciała, żeby porywacz to zauważył. Trzymając telefon na kolanach, powiedziała głośno, prawie krzycząc:

- Mówi Didi Wood, błagam, pomóżcie. Porwał mnie mężczyzna, nazywa się Lyle. Jesteśmy na północ od Waco, prowadzi beżowe...

Wydawało jej się, że słyszy grzmot i zobaczyła, jak ze sklepu wypada Lyle. Miała dość czasu i przytomności umysłu, żeby wrzucić telefon z powrotem do schowka.

- Co się stało? - spytała.

Z nadzieją spoglądała w stronę sklepu, jakby lada chwila miał się stamtąd wynurzyć miły staruszek imieniem Johnny wraz z szeryfem, a jej podróż w świat karmy dobiegła końca.

Tymczasem starszy mężczyzna się nie pojawił, Lyle zaś ruszył z piskiem opon, gwałtownie skręcił w prawo i wyprysnął na drogę.

- Co się stało? - powtórzył, naciskając gaz do dechy. - Powiem ci, złotko. Johnny wcale nie był taki miły.

- Nie? - odrzekła słabym głosem. - A wyglądał na miłego.

- Pozory mylą. Wierz mi, wiem, co mówię.

Wierzyła. Co to za dziwny zapach, metaliczny, jakby spaleniowy?

- W środku też był włączony telewizor? - spytała bardzo cicho.

- Owszem - padła twarda odpowiedź. - I co z tego?

- Po... powiesz mi, co się stało? - Nic.

Didi przymknęła oczy i wyszeptała:

- Boże Ojczy, Synu i Duchu Święty, okażcie miłosierdzie swojemu słudze. Miłosierny Panie, wyzwól go od zła, grzechu i wszelkiej nieczystości.

- Co robisz? - spytał. - Otwórz oczy.

- Modłę się za twoją duszę. Ściągnął brwi.

- A co z twoją duszą, Arizono?

- Moja dusza nie jest potępiona. Ale ty musisz ratować swoją, musi zostać oczyszczona przed Bogiem. Błaga cię, byś

ją wybawił. Bóg musi cię uratować, Lyle. Pomóż mi cię wyzwolić. Zaproś Boga do swojego...

- Milcz - warknął, a potem dodał łagodniej: - Wszystko ci się pomyliło. - Lyle parsknął śmiechem. - Wiesz, co jest naprawdę zabawne?

Nic wesołego nie przychodziło jej do głowy.

- To nie ja potrzebuję ratunku, Didi - stwierdził, przyśpieszając.

17.10

Rich siedział beczynn timer w gabinecie komendanta, podczas gdy Scott rozmawiał przez telefon chyba z połową populacji Dallas. Żonglował słuchawkami jakby był nie agentem FBI, tylko niezwykle sprawnym sekretarzem dużej nowojorskiej firmy. Wood miał wrażenie, że agent porozumiał się już ze wszystkimi filiami w Teksasie - niewykluczone że nawet w Stanach Zjednoczonych - stawiając je w stan pogotowia i informując o sytuacji. Skontaktował się ze strażą graniczną. Rozmawiał też z miejscowym sędzią, by się upewnić, czy w razie czego mogą liczyć na natychmiastowy list gończy. Połączył się także z placówką FBI w Quantico „tak na wszelki wypadek” oraz z licznymi właścicielami śmigłowców w Dallas. Podczas rozmowy na jednej linii brał drugą słuchawkę i mówił do obu równocześnie. Często dzwoniący musieli czekać. Wysłał dwóch agentów do domu Richa, by w ramach „standardowej procedury” obserwowali budynek.

Rich schylił się i podciągnął nogawkę spodni, żeby sprawdzić, jakie włożył dziś skarpetki. Ciemnobrązowe. Cholera, pomyślał, opuszczając nogawkę. Jak pech, to pech.

Podniósł się i zaczął krążyć po gabinecie, a w końcu stanął przed Scottem, jakby zjawił się tu na rozmowę służbową.

W czasie krótkiej przerwy między telefonami Somerville uparcie stukał ołówkiem w blat.

- Czym się zajmujesz? - spytał Richa.

- Jestem kierownikiem działu sprzedaży w wydawnictwie religijnym z centralą w Dallas.

Agent zmierzył wzrokiem drogi garnitur Wooda.

- Tak? Jesteś w tym dobry?

- Owszem, niezły. W niecałą minutę potrafię ocenić klienta.

- Ach tak - odparł Scott, jakby myślał o czymś innym. - Czy to dobrze?

- Umiem stwierdzić, czy zamierza coś kupić i nie marnuje czasu na kogoś, kto tego nie robi. Błyskawicznie odróżniam poważnych nabywców od gapiów.

- Wspaniale, świetnie. Powiedz mi, ile zarabia kierownik działu sprzedaży?

- Słucham?

- Próbuję znaleźć motyw. Dużo zarabiasz?

- Wcale nie... Co to znaczy: dużo? - Rich był zbity z tropu. - Sądysz, że należy się spodziewać żądania okupu?

- Nie wiem. Może. Niewykluczone. Próbuję to odgadnąć.

- Nie mam aż takich pieniędzy. Każdy, kto nas zna, wie, że... Agent uciszył go gestem ręki i kazał usiąść. Odebrał telefon.

- Dobra - odezwał się, zakończywszy rozmowę. - Coś się dzieje. Wreszcie coś drgnęło!

- Co to znaczy? - spytał Rich, wstając z krzesła,

- Zlokalizowaliśmy wóz.

- Złapaliście go? - Głos mu drżał z nadziei; nie był w stanie tego znieść.

Scott pokręcił głową.

- Nie, daj mi skończyć. Zlokalizowaliśmy właściciela wozu. Należy do Lyle'a Lufta, lat dwadzieścia siedem, niekaranego. Ale również nigdzie niezatrudnionego. Hmm... Jako adres podał Garland w Teksasie. Czyli to swojak. Mamy zdjęcie i wszystko. Chodź, to ci pokażę.

Rich niechętnie obszedł biurko, żeby spojrzeć na monitor komputera. Czy naprawdę chce oglądać człowieka, który wprowadził mu żonę? Nie, nieszczególnie. Ale i tak popatrzył. Chłopak na zdjęciu był młody, miał półdługie włosy. Jego twarz z jednej strony przykuwała uwagę, choć równocześnie wydawała się jakby bez wyrazu.

- Nie przejmuj się włosami - uspokoił go Scott. - Alex twierdził, że tamten mężczyzna był krótko ostrzyżony. Nie wątpię, że od czasu gdy zrobiono to zdjęcie, Luft wielokrotnie zmieniał fryzurę. - Nacisnął guzik interkomu. - Natychmiast sprowadź tu Alexa.

Kiedy czekali, agent zerknął na dane w komputerze.

- Proszę, druga ciekawa informacja.

- Jaka?

- Tu jest napisane, że Luft ma dwa samochody. Jeden to taurus kombi, rocznik 1986, a drugi to nowiutka honda accord. Biała. Gdzie jest ten samochód? A jeśli wybrał się w daleką podróż, dlaczego jedzie ręką, zamiast nowym wozem? Hondę zarejestrował parę tygodni temu, w czerwcu. Gdzie się podział ten samochód? I skąd mężczyzna, który podał w dokumentach, że obecnie nie jest nigdzie zatrudniony, wziął pieniądze na kupno nowej bryki?

- Co to kogo obchodzi?

- Powinno obchodzić ciebie - odparł Somerville. - I to bardzo. Coś tutaj nie gra i dlatego należy baczniej się temu przyjrzeć. Jeśli coś nie ma sensu, zwykle kryje się za tym jakiś powód.

- Może kupił na kredyt?

- Kto by go udzielił bezrobotnemu?

- No to zapłacił gotówką.

- Aaaa... Również interesujące. Skoro posiada znaczny majątek, to czemu porwał swoją żonę?

Wood miał już dość myślenia.

- Może sprzedał ten samochód.

- Nie sprzedał - odrzekł Scott, kręcąc głową. - Nadal jest na niego zarejestrowany.

Lopez i Murphy wprowadzili sprzedawcę precli, który wyglądał, jakby padał z nóg.

- Co się stało? - spytał agent. Alex potarł powieki.

- Oczy mnie bołą. Mogę już przestać oglądać te zdjęcia?
Na twarzy Scotta pojawiła się lekka pogarda.

- Może zerkniesz jeszcze na to?

Chłopakowi wystarczyło jedno spojrzenie na monitor.

- To on!

- Wspaniale! - zawołał Somerville.

- Mogę już skończyć? - upewnił się Alex.

- Znikaj stąd! - odparł agent. Zadzwoił telefon.

Zanim Scott podniósł słuchawkę, polecił jeszcze Murphy'emu, żeby wysłał ludzi pod adres Lufta i uzyskał pozwolenie na rewizję, przeszukanie i zarekwirowanie hondy, o ile na nią trafią, oraz zatrzymanie samego jej właściciela, w razie gdyby jego też zastali na miejscu.

Odebrał telefon i słuchał uważnie, parę razy kiwnął głową, kilkakrotnie rzucił: „tak”, a potem w połowie rozmowy poderwał się z miejsca.

- Otrzymałem wiadomość o zabójstwie, czterdzieści kilometrów na północ i siedem na południe od Waco, w miejscowości Aquilla - zwrócił się do Richa, gdy już odłożył słuchawkę. - Właściciel stacji benzynowej zastrzelony za kasą. Może to zbieg okoliczności, ale przyznasz, że wart naszego zainteresowania. Jaka droga pozostaje Lyle'owi Luftowi? Moim zdaniem tylko jedna, Rich. Co ty na to? Wood milczał.

- Człowiek, który zawiadomił policję - ciągnął agent, stając za biurkiem - powiedział, że widział beżowy samochód kombi pędzący po lokalnej drodze. Zwrócił na niego uwagę tylko dlatego, że kierowca gnał co najmniej sto dwadzieścia na godzinę. Facet aż się przestraszył. Potem zatrzymał się na stacji benzynowej i znalazł właściciela na podłodze. To mi wygląda na naszego porywacza. A ty jak sądzisz?

Wood nie mógł usiedzieć ani skupić się na pojedynczych słowach.

- Owszem, ale to na południe od Waco - jęknął zdesperowany. - My siedzimy w Dallas, co najmniej dwie godziny jazdy od nich. Jak się tam dostać?

Somerville uśmiechnął się szeroko i podszedłszy do Richa, poklepał go po ramieniu.

- To zostaw mnie.

17.20

Drobna zmiana planów - oznajmił Lyle. - Nic znaczącego. Musimy błyskawicznie załatwić parę rzeczy. Zjadę z autostrady. Rozglądaj się za lombardem, dobrze?

- Jasne - odparła Didi, myśląc: długo, długo nie, a potem wcale. Przechylił się i poklepał ją po brzuchu. Tym razem siedziała jak sparaliżowana, znosząc jego dotyk.

- Widzę, że do mnie przywykłaś. To dobrze. To doskonale, dada Didi. Bo ja też zaczynam cię lubić. Jesteś taka... taka... - zająknął się. - Taka... ciężarna. Tak, lubię cię.

To dopiero nowina, pomyślała Didi.

Chciała odpowiedzieć, że cieszy ją ta wiadomość. W końcu, czyż nie byli w ogólniaku i czy on nie był chłopcem, z którym pragnęła pójść na bal? Tym samym chłopcem, który nazywał ją Arizoną i któremu zwymiotowała na buty?

Nigdy nie sądziła, że śmierć przyjdzie do niej w koszmarnie upalny dzień i przybierze postać młodego mężczyzny w dzinsach i kurtce, pytającego w sklepie: „Pomóc pani nieść torby?”.

Która godzina? Ach, dziś mieli zjeść na obiad steki i frytki, ulubione danie Mandy. Obiecałam jej, że będzie mogła oskubać kukurydzę. Oby tylko Ingrid wstawiła mięso do lodówki! Teraz pewnie już zzieleniało.

Kiedy ostatni raz czuła radość? Kiedy przyszłość malowała się tak jasno, że Didi musiała zakładać przeciwsłoneczne okulary? Czy naprawdę jeszcze dziś rano wszystko było w porządku, z wyjątkiem owej irracjonalnej obawy, że coś się przytrafi jej i dziecku? Rich ją wyśmiał.

A jednak jej karma zjawiała się, usiadła jej na ramieniu i powiedziała: „Jestem czarnym krukiem, który cię porwie, ale najpierw będziesz cierpieć, będziesz płakać, a potem pokażę ci grozę świata, tu w tym samochodzie, w lesie, w wąwozie”.

Lyle coś mówił.

- Słuchasz mnie?
- Nie, przepraszam. Modliłam się właśnie.
- W takim razie przestań. Musisz mi pomóc znaleźć lombard.

- Co chcesz zastawić? - spytała, usiłując nadać głosowi lekki ton. A potem wręcz zdobyła się na żart: - Za samochód wiele nie dostaniesz.

Usłyszawszy tę desperacką próbę dowcipu, mężczyzna prychnął i jeszcze bardziej zadarł nos.

- Niewykluczone, że będziemy musieli zastawić jeszcze coś, dada Didi - oznajmił, spoglądając na jej lewą rękę.

17.20

Richard krążył po gabinecie, siadał, wstawał, znowu chodził i stukał w każdą drewnianą i plastikową powierzchnię, podczas gdy Scott wydzwaniał do tuzinów ludzi. Jego głęboki, spokojny głos drażnił Richa, który starał się go nie słyszeć. Murphy przyniósł colę, ale Wood odmówił. Juan próbował z nim rozmawiać - lecz tylko się odwrócił.

- Może powinniśmy zainwestować w telefon komórkowy - mruknął, gdy Scott wreszcie odłożył słuchawkę i szykował się do wyjścia.

- Mam, stary. Chodźmy do mojego wozu i ruszajmy, dobrze? Wiem, że się niecierpliwisz, ale będziemy potrzebowali pomocy. Sami sobie nie poradzimy. Robię, co w mojej mocy, by się upewnić, że uzyskamy wsparcie.

- Może będzie lepiej, jeśli Rich tu zostanie - podsunął Murphy. Agent pokręcił głową, równocześnie sprawdzając, czy kabura jest

dobrze przypięta. Richowi na moment niemal przestało bić serce. Chyba padłby trupem na miejscu, gdyby musiał siedzieć na komisariacie, czekając na wiadomości.

- Ruszajmy - rzucił niecierpliwie.

- To ja prowadzę sprawę. Będzie mi towarzyszył - zwrócił się Somerville do Murphy'ego. - Potrzebuję go, żeby mógł na sto procent zidentyfikować żonę, będzie mi też potrzebny podczas negocjacji z porywaczem. Muszę go mieć przy sobie - dodał ciszej - w razie gdyby okazał się w to zamieszany.

- Ruszajmy - powtórzył głośno Rich.

Wyszli tylnymi drzwiami i skierowali się do srebrnego chevy lumina Scotta.

- Wskakuj - powiedział Scott.

- Jedziemy samochodem? - zawołał zdziwiony Wood.

- Tak, do śmigłowca - odparł Scott.

- Wiesz, że nie jestem w to zamieszany - odezwał się Rich, gdy już jechali, nie patrząc agentowi w oczy.

- Owszem, ale nie chciałem tracić więcej czasu na rozmowę z Murphym.

Podał mu telefon komórkowy i wizytówkę z nabazgranym na odwrocie numerem.

- Masz. Zadzwoń do domu, niech przełączają telefony pod ten numer. To centrala. Będą sprawdzać wszystkie rozmowy, a jeśli odezwie się porywacz, namierzą go i połączą z nami.

- A nie spłoszy się, jeśli się zorientuje, że FBI go namierzyło?

- Masz lepsze pomysły? Wolisz, żeby rozmawiała z nim twoja matka?

Rich pokręcił głową.

Somerville zaparkował samochód przed firmą czarterową, której zabudowania przypominały miniaturowe lotnisko, i podszedł do bagażnika. Rich za nim. Agent otworzył kufer i Rich zobaczył cztery różne torby. Scott wyjmował je po kolei, aż na ziemi znajdowały się trzy, a w środku została tylko jedna, długa i czarna.

- Zostawiasz ją?

- Tak. Trzymam w niej kije golfowe, a dziś raczej już nie zagram w golfa, chyba że prędko skończymy.

Rich wątpił, by szybko się z tym uporali.

- Pomożesz mi? Musimy je zatańczyć do śmigłowca. Wood wziął długi, wąski czarny futerał.

- Co to jest? - spytał swego towarzysza, który zatrzasnął klapy, wziął pozostałe dwie torby i energicznym krokiem ruszył w stronę helikoptera. Pilot już czekał. Śmigła zaczęły wirować.

- Co? To, co niesiesz? A, to heckler & koch MP5.

- Heckler & Koch MP5 - powtórzył bezgłośnie Rich, ostrożnie niosąc torbę. W środku zadźwięczał metal. - Czyli... co?

- Karabin maszynowy. Wystrzela osiemset pocisków na minutę. Sądysz, że tyle wystarczy naszemu przyjacielowi, Lyle'owi Luftowi?

Rich odwrócił się od agenta.

- Nie. - Potem rozsunął suwak i zajrzał do środka. - Scott...

- Litości, Rich, idziemy!

- Momencik, mam pytanie. Czy w skład wyposażenia Hecklera & Kocha wchodzi skórzane ręczki i porcelanowe, białe piłeczki?

- Nie, czemu?

- Rozumiem - odrzekł Rich. - W takim razie wątpię, byś kogoś z tego zastrzelił, chyba że...

Scott wyrwał mu z ręki torbę.

- O, cholera jasna!

Zawrócił do samochodu, ponownie otworzył bagażnik, wrzucił do środka kije golfowe, a wyjął drugi czarny futerał.

- Mogę coś zasugerować? - odezwał się Rich. - Nie.

- Może jednak wkładałbyś kije golfowe do innej, na przykład zielonej torby, by w przyszłości uniknąć nieporozumień.

- A ty może wskoczysz do lecącego śmigłowca.

Kiedy wsiadali, podmuch wywołany przez śmigła zarzucił Scottowi na twarz i szyję jego barwny krawat. Rich wepchnął koniec swego do kieszonki koszuli. Gdy już wystartowali, agent zapytał, czy Wood kiedykolwiek latał helikopterem. Rich odrzekł, że nie, nigdy, ale nie słuchał uważnie.

Przypominał sobie, jak Didi krążyła boso po pokojach; przez ten wielki brzuch nie mogła się schylić ani nawet podnieść z kanapy bez jego pomocy. Była taka bezbronna.

Tymczasem on miał teraz tylko głupie gadanie o niczym Scotta. Głupie gadanie, krwawiące serce i karabin maszynowy za fotelem.

- To dobry śmigłowiec - mówił agent. - Załatwiłem nam jetranglera. Wyciąga ponad dwieście osiemdziesiąt na godzinę i bierze sporo paliwa. I wyobraź sobie, nawet daje się rozmawiać w kabinie. To się nazywa porządny sprzęt.

- Mmm... A gdzie możemy nim wylądować?

Scott z uśmiechem poklepał go po kolanie.

- Wszędzie. W końcu jesteś z FBI.

Richard wyjrzał przez szklane okna śmigłowca. Widział, co się dzieje nad nim i pod nim. Lecieli na tyle nisko, że odróżniał samochody na autostradzie. Każdy wyglądał na kombi, każdy jasny kolor wydawał się beżowy. Po pewnym czasie Wood przestał obserwować ziemię i przymknął oczy. Zastanawiał się, która może być godzina.

Słyszał w tle, jak jego towarzysz z kimś rozmawia. Może ze swoim AP, może z matką. W tym momencie trudno było zgadnąć. Najprawdopodobniej połączył się z jakimś szeryfem.

- Pamiętaj, ten człowiek czterokrotnie strzelił z bliska do ofiary. Jeden strzał by wystarczył, ale nie jemu. Ten facet nie żartuje. Jeśli twoi podwładni na niego trafią, mają się zachowywać z wyjątkową ostrożnością. Powtarzam: zachowajcie wyjątkową ostrożność. Nie wiemy, jaką bronią dysponuje, ale należy się spodziewać, że jest dobrze zaopatrzony.

Scott się rozłączył i przez parę minut w śmigłowcu panowała cisza.

- Rich - zaczął - chcę tylko, żebyś wiedział: rozumiem, co czujesz, stary, i obiecuję ci, że go znajdziemy. Dotrzemy do niego.

Uchylenie powiek bolało, ale mimo wszystko Wood otworzył oczy i popatrzył na agenta.

- Chciałeś powiedzieć: znajdziemy ją? Prawda? Dotrzemy do niej? Somerville nawet nie drgnął, jakby go nie rozumiał. Nie rozumiał albo nie chciał rozumieć. Rich się odwrócił, agent przez jakiś czas milczał.

- Słuchaj, wiem, że nie masz pieniędzy - odezwał się - ale czy masz wrogów?

- Wrogów? - Wood zaśmiał się głucho. - Moim wrogiem jest Lyle Luft. Litości, człowieku! Sprzedaję książki religijne, więc kto mógłby uważać mnie za wroga? Bóg? Sądzisz, że obraził się na mnie, bo w tym kwartale nie sporządziłem biznesplanu?

Z trudem zapanował nad odruchem przeżegnania się. Czy Bóg stał się jego wrogiem? Całe życie był dla nich obojga przyjacielem. Czyżby się od nas odwrócił?

W policjantach z Waco władza Scotta budziła jeszcze większy strach i niechęć niż w Lopezie i Murphym z Dallas. Szeryf kazał jemu i Richowi czekać dziesięć minut, chociaż uprzedzono go o ich przyjeździe. Kiedy wreszcie wynurzył się z gabinetu, powitał ich prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy, a potem wdał się w pogawędkę z podwładnym z patrolu. Niewzruszony agent nadal żuł gumę i rozmawiał przez telefon.

Rich nie mógł tego znieść. Pociągnął swego towarzysza za rękaw i znacząco spojrzał na szeryfa, a potem na Scotta.

- Nie przejmuj się - szepnął tamten. - Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Za minutę ja tu przejmę władzę.

Rich cieszył się, że ma po swej stronie FBI. Somerville zachowywał się z pewnością siebie zapracowanego szefa wielkiej korporacji. Mocno uścisnął szeryfowi rękę, po czym oznajmił, że urządza sobie w jego gabinecie tymczasową kwaterę biura. Siadłszy się za biurkiem tamtego, natychmiast dorwał się do telefonu, a Wood i policjant stali w kącie jak

durnie. Kiedy Scott zakończył rozmowę, podszedł do szeryfa, ponownie uścisnął mu rękę i pokazał drzwi ze słowami:

- To już wszystko, dziękuję. Wezwę pana, gdy będzie mi pan potrzebny. Dziękuję.

Po czym zamknął za nim drzwi.

- Nie potraktował cię szczególnie uprzejmie - stwierdził Rich, gdy już zostali sami.

- Tak? Nie zauważyłem. - Jego towarzysz wzruszył ramionami. - Bycie czarnym agentem FBI w Teksasie to podwójne wyzwanie. Nie ma się czym przejmować. - Wrócił za biurko i rozsiadł się wygodnie. - Prawo stoi po mojej stronie.

- A poza tym możesz im dać kopa w tyłek.

- Owszem, to również.

*

Policjanci, którzy zjawili się na miejscu zbrodni, natrafili w łazience na apel Didi nabazgrany na lustrze. Jego treść natychmiast przekazano Scottowi. Na razie jednak nie było dalszych informacji o Lyle'u i porwanej kobiecie. Agent zadzwonił do stanowego biura śledczego i przekazał mu opis samochodu wraz z numerem rejestracyjnym. Nadał faksem fotografie Lufta oraz Didi, nie zapomniawszy uprzedzić, by w kontaktach z porywaczem zachować szczególną ostrożność. Scott powiedział Richowi, że jego szef, Raul, zawiadomił stacje radiowe, które zgodziły się co piętnaście minut nadawać komunikat o porwaniu.

Rich próbował dojść do ładu z własnymi uczuciami. Odkładał ciągle obowiązek zatelefonowania do domu, choć zdawał sobie sprawę, że dziewczynki i matka szaleją z niepokoju. Mimo lawiny informacji jakimś cudem zdobył się na jedną, trzeźwą myśl.

- Scott - powiedział wolno, podchodząc do biurka i bawiąc się popielniczką - a jeśli Lyle usłyszy przez radio, że cały Teksas go szuka?

- I co z tego? - odparł niecierpliwie Somerville.

Wood z łoskotem upuścił popielniczkę i wrócił na swoje miejsce. Agent wiedział, co robi, a Rich nie zamierzał nadeptywać nikomu na odcisk. Ale...

- Czy to go nie popchnie do ostateczności?

- Czyli do czego? Czy porwanie ciężarnej i zabicie człowieka nie jest już tą ostatecznością? Moim zdaniem tak.

I uznał rozmowę za zakończoną.

Po kilku minutach zażądał od telefonisty raportu. Znalazł o piątej dziesiątce wezwanie od Didi Wood. Po włączeniu taśmy usłyszeli cichy kobiecy głos, błagający o pomoc. Podczas gdy Scott wyżywał się na telefoniście, Rich spytał słabym głosem, czy mógłby jeszcze raz wysłuchać nagrania. I jeszcze raz.

- „Mówi Didi Wood, błagam, pomóżcie. Porwał mnie mężczyzna, nazywa się Lyle. Jesteśmy na północ od Waco, prowadzi beżowe...”.

Szeryf tłumaczył się z zaniedbania. Bełkotał coś o nawale pracy, mnóstwie roboty papierkowej i zakłóceniu normalnego funkcjonowania posterunku, aż Rich miał ochotę kazać mu się zamknąć. Sądząc po minie Scotta, ten też najchętniej by to polecił.

Rich zastanawiał się, czemu Didi przerwała w pół słowa.

Agent wyjaśnił, że dzwoniła mniej więcej w tym samym czasie, gdy zabito właściciela stacji benzynowej. Jego zdaniem kobieta najprawdopodobniej siedziała w samochodzie, gdy porywacz wszedł do sklepu. Możliwe, że zobaczyła coś, co sprawiło, iż musiała przerwać rozmowę.

- Widziała, jak go zabijał? - spytał Rich.

- Niewykluczone - odparł Scott, wzruszając ramionami.

- Ale jeśli tego nie widziała, może nie zdawać sobie sprawy, jak niebezpieczny jest Luft.

Czy to dobrze, czy źle?

- Owszem.

Najpierw przebłysk nadziei, a potem nic.

Jedyna różnica to otoczenie. Przedtem Wood siedział w policyjnym gabinecie w Dallas - teraz czekał na posterunku w Waco. Kiedy wyszli z pokoju telefonisty, Rich opadł na ławkę. Potem zerwał się i zaczął krążyć po korytarzu. Wstąpił do łazienki, napił się wody, usiadł na ławce, chodził po korytarzu.

Wrócił do gabinetu szeryfa.

- Mogę prosić o pięć minut dla siebie? - spytał Scotta. - Odkładałem to, ale dłużej już nie mogę. Muszę zadzwonić do domu.

Agent zostawił go samego. Richard zajął miejsce za biurkiem, wystukał numer mieszkania, modląc się, by odebrała matka. Nie. Pierwsza do aparatu dopadła Amanda.

- Tatuś! - pisnęła. - Czy mama już urodziła dzidziusia?

W tle usłyszał płacz Irene: „Mamusia! Mamusia!” i głos swojej matki:

- Manda, natychmiast oddaj mi słuchawkę.

- Kochanie, pozwól mi porozmawiać z babcią, dobrze? - poprosił, czując narastające napięcie.

- Nie - odrzekła dziewczynka.

Słyszał szarpaninę, a potem wrzaski Amandy.

- Boże, te dzieci! - jęknęła matka. - Co słychać? Jesteście w szpitalu?

- Nie. Mamo, posłuchaj, muszę z tobą porozmawiać, stało się...

- Co? - wpadła mu w słowo Barbara Wood. - Co się stało? Jakiś wypadek?

- Można to tak nazwać, mamó. Didi została porwana. Wreszcie. Zdobył się na odwagę i powiedział to.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Ja też nie, mamó, ale jakiś mężczyzna uprowadził ją z NorthPark.

- Jaki mężczyzna? - zapytała matka piskliwie.

- Nie wiadomo.

- O Boże. Och, Boże. Och. Wielki. Boże.

- Mamó, błagam, pamiętaj o dziewczynkach. Proszę cię. - Rich słyszał, jak spokojny głos matki się załamuje. - Mamó, dziewczynki! Błagam... Ze względu... na nie.

Upłynęły długie minuty, zanim matka przestała szlochać, a Rich mógł tylko powtarzać: „Mamó, dziewczynki”.

- Boże przenajświętszy, co my teraz zrobimy?

- Odnajdziemy ją, mamó. W samochodzie przed domem czeka dwóch agentów FBI, w razie gdyby zjawił się porywacz albo gdybyś czegoś potrzebowała.

- Po co mi oni? A jeśli porywacz tutaj zadzwoni?

- Wszystkie rozmowy będą automatycznie łączone do centrali FBI, żeby można go było zlokalizować. - Po drugiej stronie słyszał ciężki, urywany oddech. - Proszę, spróbuj się uspokoić. Nie chcę, żeby dziewczynki się przestraszyły.

- Przestraszyły się? Dziewczynki? Zamknęłam się w łazience, nie słyszą mnie, ale mają święte prawo się bać.

- Nie, wszystko dobrze się skończy, a ja nie chcę, by się przeraziły.

- Nie? Richardzie, Reenie nieustannie pyta, kiedy wróci mamusia. Są głodne.

- To je nakarm.

- Reenie nie chce, żeby ktoś inny przygotował im obiad. Wpadła w histerię, kiedy próbowałam usmażyć steki.

- W takim razie nie dawaj im steków. Nakarm je makaronem z serem.

- Nie chcą zapiekanki. Manda wie, że Didi zamierzała przygotować steki i właśnie tego oczekuje na obiad.

- Och, na miłość boską! - Rich mocniej przycisnął do ucha słuchawkę. - Mamo, błagam, zajmij się nimi najlepiej, jak potrafisz. I nie mów im o niczym.

- A co mam odpowiedzieć, gdy pytają, gdzie jest mamusia?

- Że mamusia próbuje urodzić dziecko, a dziś będzie z nimi babcia.

- A jeśli...

- Mamo! - zawołał. - Nawet o tym nie myśl! Jeśli znajdziesz wolną chwilę, pomódl się. Zadzwoń, gdy tylko będą jakieś wieści.

Odkładając słuchawkę, Rich pomyślał: Było tak źle, jak przypuszczałem.

17.30

Lyle znalazł w końcu lombard w Valley Mills, w pobliżu żalostnego skrzyżowania dróg ekspresowych numer 6 i 56. Ktoś, kto nadał im szumne miano autostrad, był wielkim optymistą. Przetrwał tylko jeden znak, pozostałe leżały na ziemi. Didi zauważyła, że po opuszczeniu stacji Johnny'ego Lyle trzymał się trasy międzystanowej, ale skorzystał z najbliższego zjazdu, by skrócić na drogi lokalne. Czy wcześniej to zaplanował? Najwyraźniej dobrze orientował się w terenie, gdyż ani razu nie sprawdzał mapy.

Zaparkowali na małym, zakurzonej podjeździe pod sklepem, noszącym nazwę „U Smokeya”. Próbowła rozruszać obolałe mięśnie, ale przeszkadzała jej w tym wielka torba pod nogami. Chciała ją odsunąć, lecz nie było gdzie. Sandał zaplątał się w pasek od torby i Didi szarpała nogą, próbując się uwolnić. W samochodzie panował potworny upał. Bez nawiewu oddychała z trudem. Zastanawiała się, czy nie poprosić, żeby Lyle pozwolił jej uchylić okno. Chyba nie miałby nic przeciwko temu, na parkingu nie było żywego ducha.

Oczywiście w samochodzie nie było nic do picia. Porywacz wszedł do sklepu Johnny'ego kupić napoje, ale wrócił z pustymi rękami. To, co Didi wypila w łazience, zwróciła na buty Lyle'a - niewielka pociecha. Dokuczał jej pot i pragnienie, a dziecko coraz mocniej napierało na brzuch. Miała wrażenie, że zamiast języka trzyma w ustach wielką, nieruchomą kluczę, pierś bolała w miejscu, gdzie ścisnął ją mężczyzna.

Ale kiedy spojrzał na lewą dłoń Didi i kazał jej zdjąć obrączkę, pragnienie i ból nagle zniknęły.

- Nie - powiedziała, odsuwając rękę jak najdalej od niego.

Dlaczego nie należała do innej religii albo kultury, gdzie nosiłoby się obrączki na palcu prawej, nie zaś lewej dłoni?

Podobno taki zwyczaj obowiązuje w Grecji albo jeszcze gdzieś.

Co prawda jemu i tak to by nie przeszkadzało. Przechylił się nad nią, dotykając jej brzucha chudym, żylastym ciałem i schwycił ją za rękę.

- Co się z tobą dzieje, Didi? - powiedział, boleśnie ściskając jej nadgarstek. - Czyżbyś jeszcze mnie nie poznała?

Wybuchnęła płaczem.

- Proszę, nie zabieraj mi obrączki. Błagam.

- Co się stało, dada Didi? - zaświergotał złośliwie. - Nie mów, że prędzej rozstaniesz się z życiem niż z tą błyskotką.

- Weź obrączkę, a mnie wypuść - szlochała. - To sprawiedliwa wymiana. Obrączka za mnie. To półtorakaratowy brylant, cenny kamień. Obrączka jest pewnie warta jakieś sześć tysięcy. Weź ją i uwolnij mnie.

- Na tyle oceniasz swoje życie? - powiedział, nadal ściskając jej rękę w nadgarstku. Jego oddech owionął twarz Didi. - Tak nie można, Arizono. Czyżbyś miała niskie poczucie własnej wartości? Nie uważasz, że jesteś warta więcej niż sześć patyków?

- Weź obrączkę, a mnie uwolnij - powtórzyła, próbując się wyrwać.

- Wiesz co? - odparł cicho. - Wezmę obrączkę, a ciebie i tak zatrzymam. Co ty na to?

- Nie. Nie.

- Ależ, Didi - tłumaczył, próbując zdjąć obrączkę z opuchniętego palca. - Mam wobec ciebie takie wspaniałe plany. Nie mogę cię uwolnić. To jakbyś kazała kochankowi porzucić miłość jego życia. Czy tak postąpiłby prawdziwy kochanek? Czy Otello uwolnił Desdemonę?

Walczyła z nim, nie przestając płakać. Z całej siły zacisnęła palce, prawą ręką odepchnęła napastnika.

- Do diabła! Co cię opętało? - wrzasnął.

Znalazł się w trudnej sytuacji, gdyż nie mógł ściągnąć obrączki. Przygniótł Didi do fotela, na chwilę wypuścił jej rękę, a ramieniem unieruchomił głowę.

- Zapominasz, że masz wiele do stracenia - ostrzegł ją, dysząc. - Przestań robić głupoty. Zdaje się, że będę musiał cię nauczyć rozumu. Mądrości nie czerpiemy z książek. A ty nie masz za grosz rozumu, durna suko.

- Czekaj błagała. - Czekaj!

Chwycił obie jej dłonie i sięgnął pod tylne siedzenie. Przez chwilę szperał, wreszcie wy dostał spod niego myśliwski nóż.

- Widzisz to, Didi?

Nie zdążyła nawet pomyśleć ani zareagować, gdy przeciągnął ostrzem po jej lewej ręce, rozcinając cztery palce na kostkach.

Didi krzyknęła głośno i próbowała wyszarpnąć dłonie, ale mężczyzna był silniejszy. Krew kapłała na żółtą sukienkę.

- To dopiero ostrzeżenie - powiedział Lyle, trzymając w jednej ręce jej pokaleczoną dłoń, a w drugiej nóż. - Zdejmuj obrączkę albo przysięgam, że odetnę ci palec, a wtedy będę miał i palec, i obrączkę. Czy nie lepiej po prostu dać mi ją po dobroci?

Oszołomiona Didi nie mogła wydobyć głosu.

- Zdejmij obrączkę. Już - polecił spokojnie mężczyzna.

- Puść mnie, to zdejmę. Ustąpił, ale nie cofnął noża.

Didi w czasie ciąży przybrała na wadze i dlatego zdjęcie obrączki okazało się niełatwym zadaniem. Za parę minut, gdy zraniony palec zacznie puchnąć, jeszcze trudniej będzie to zrobić. Na razie zaś lepka krew ułatwiła zsunięcie ciepłego kółka z brylantem,

Lyle zabrał obrączkę i wytarł nóż w materiał letniej sukienki Didi, podsuwając rąbek tak, że odsłoniło się prawie całe udo. Zażenowana najchętniej obciągnęłaby sukienkę, ale

za bardzo się bała. Zresztą w tym momencie nie mogła się ruszyć, nawet gdyby chciała.

- Brylanty trwają wiecznie - oznajmił porywacz, uśmiechając się i całując obrączkę.

Potem zauważył krew, przyłożył złote kółko do ust i zaczął ssać, cmokając z satysfakcją. Pochylił się nad Didi.

- Twoja krew, Didi, jest przesłodka - szepnął. Odsunęła się z odrazą.

- Czy cała jesteś taka smakowita? - dobiegł ją jego szept.

Spoglądała w przestrzeń, starając się nie widzieć twarzy mężczyzny, przysuniętej tuż do niej. Żałowała, że nie ma w tym momencie niczego ostrego i kaleczącego.

Boże, ratuj mnie! Porywacz się odsunął.

- Zobaczmy, czy dadzą mi za to sześć patyków - odezwał się pogodnie. - A kiedy mnie nie będzie, doprowadź się do porządku, dobrze? Zawiń palce w sukienkę i mocno ściśnij. Ten łach i tak nadaje się już na szmaty, a nie chcę, żebyś mi się wykrwawiła w samochodzie.

Właśnie tak wygląda piekło, pomyślała Didi, gdy dotknął jej, sięgając do schowka. Ze złośliwym rechem Lyle wyjął telefon komórkowy i wyszedł z samochodu, zostawiając wszystkie okna szczelnie zamknięte.

Natychmiast odkręciła szybę, by wpuścić świeże powietrze. Nie zamierza się dusić, gdy na dworze panuje czterdziestostopniowy upał, a w samochodzie temperatura rośnie w tempie pięciu stopni na minutę.

Została sama.

Rozejrzała się po parkingu, a potem sprawdziła, czy na podłodze nie został nóż, ale Lyle wziął go ze sobą, podobnie jak kolta. Zabrał je, idąc sprzedać jej obrączkę - obrączkę, którą Rich kupił, gdy jeszcze nie mieli pieniędzy. Pięć lat ją spłacali i był to jedyny pierścionek Didi, gdyż największe skarby świata nie równały się z jej cudownym brylantem.

Często przyjaciółki radziły, by schowała obrączkę w bankowym sejfie, bo inaczej ktoś może ją ukraść. Raz nawet zaproponowała to Richowi. Sprzeciwił się, tłumacząc, że owszem, jeśli ktoś ukradnie obrączkę, żona nie będzie jej miała, ale jeśli złoży ją w sejfie, też się nią nie nacieszy.

- Będę nadal ją miała - tłumaczyła. - Tyle że nie przy sobie.

- Na jedno wychodzi - odparł mąż. - Nie będziesz jej widziała, nie będziesz mogła na nią patrzeć ani jej pokazywać. „Przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości” - przypomniał. - Co zrobisz? Ilekroć zapragniesz cieplej o mnie pomyśleć, będziesz pędziła do banku?

Tak wtedy argumentował, ale Didi siedziała teraz z poranionymi palcami i bez obrączki. Na niewielki podjazd lał się żar. Wyglądało na to, że całemu światu jest równie gorąco jak jej. Świat i parking jednak nie były żywymi istotami. Nie odczuwały bólu. Nie nosiły w sobie nowego życia.

Siedziała, a jej wysmażony umysł próbował rozgryźć Lyle'a.

Nie ulega wątpliwości, że nie chodzi mu o pieniądze. Zabrał jej obrączkę, lecz niejako po namyśle, w geście złości, nie z chęci wzbogacenia się. Nie zależało mu na forsie, tego Didi była pewna.

Nie zamierzał także jej zabić.

Jeszcze nie spełniła swojego zdania. Tylko co się stanie, gdy to już nastąpi?

Czego chciał? Czy zamierzał pojechać z nią do siebie i przedstawić rodzicom jako swą żonę? Ale już jest żonaty. Może chce wziąć ją do baru i wzbudzić w partnerce zazdrość? Odchyliła głowę i ciężko oddychała. Czy postanowił uprawiać z nią seks? Poczwała, jak w gardle rośnie jej kula.

Z ciężarną?

Czy to gorsze od śmierci? Zmysłowy dotyk na udzie, gdy czyścił zakrwawiony nóż; pożądliwy rechot, gdy pod toaletą na stacji benzynowej prosił o pocałunek - wszystko to raniło i przerażało Didi. Dławiło ją w gardle i sprawiało, że w jej sercu nie pojawił się nawet cień współczucia dla tego mężczyzny. Zamknęła oczy.

Jeśli taka Twoja wola, miłosierny Boże, racz wybaczyć mu wszystkie grzechy i spraw, by przestał. Panie, wysłuchaj nas.

Zastanawiała się, dokąd Lyle ją wiezie. Dokąd jadą? Mógł ją zabrać do jakiegoś opustoszałego miejsca w Dallas, zgwałcić, zabić i odjechać. Już wcześniej wspominał o jakimś miejscu. Dlaczego postanowił wywieźć ją z miasta?

Didi pragnęła wierzyć - musiała wierzyć - że jego plany nie zakładają bezwzględnego okrucieństwa wobec niej i dziecka. Siedząc w samochodzie ze zranionymi palcami na kolanach, Didi Wood musiała wzbudzić w sobie wiarę, że nic się nie stanie. Bóg nie pozwoli jej umrzeć. Otworzyła usta i bezgłośnie odmówiła modlitwę, jakby była to broń przeciw porywaczowi.

Boże, bądź blisko mnie, Twojej wiernej służebnicy, Didi. Nie opuszczaj mnie w chwili słabości i bólu. Podtrzymuj mnie Twoją łaską, by nie zawiodła mnie siła ani odwaga.

Dość tego. Nie będę tu siedzieć. Będzie musiał mnie zabić na środku ulicy.

Ale nie chciała zginąć.

Wysiadła z samochodu. Podtrzymując prawą ręką krwawiącą dłoń, najszybciej jak się dało szła w stronę drogi, nie oglądając się na lombard. Będzie stać na środku szosy i machać, dopóki jakiś samochód się nie zatrzyma.

Stała na drodze.

Znajdowali się na zachód od West, nadal w Teksasie. Zatrzymali się na kompletnym odludziu. Po lewej stronie Didi

widziała tylko ugory, po prawej rozciągały się łąki. Ale nie pasły się na nich krowy, nawet dla nich było za gorąco.

Didi czekała.

Upłynęła minuta.

Nie zjawiał się żaden samochód.

Zaraz wyjdzie i mnie zabije, pomyślała Didi. Zabije mnie i dziecko. Wraz z obrączką odbierze mi życie, po czym zniknie bez śladu.

Nie mogła nawet otworzyć ust do modlitwy.

Nie chcę, żeby mnie zabił. Mam dwie córeczki - niech Bóg ma je w swojej opiece. Czekają teraz w domu na powrót mamy. Boże, oby tylko Rich pamiętał, że Amanda nie lubi jeść mięsa i frytek na jednym talerzu, inaczej rozpęta się burza...

Didi odwróciła się i wolno, ze smutkiem wróciła do samochodu, oglądając się na pustą drogę.

Nie wsiadła, tylko stała oparta o wóz. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły i ze sklepu wyszedł Lyle w towarzystwie wysokiego, masywnego mężczyzny, który skinął jej głową. Lyle podbiegł do Didi, zasłaniając ją sobą.

- Usiądź, kochanie, siadaj, nie powinnaś stać! A gdy znalazł się przy niej, syknął jej do ucha:

- Chcesz, żeby zginął? Mam go zabić? Siadaj do tego pieprzonego wozu!

Didi usłuchała.

Właściciel lombardu obszedł samochód, zapisał coś i zniknął w sklepie. Lyle uśmiechnął się fałszywie do Didi, pomachał jej i poszedł za mężczyzną. Po paru minutach znowu się pojawił i skierował do forda. Twarz miał mroczną.

Boże, co znowu? - pomyślała Didi.

Lyle wsiadł do samochodu i przez chwilę milczał.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Nie. Nie jest w porządku. Jest do niczego. Po co wylazłaś?

- Nogi mi zdrętwiały od siedzenia, chciałam rozprostować kości. Jest mi strasznie gorąco. Czy u tego Smokeya można kupić coś do picia?

- Nie. Chcesz wiedzieć, czemu nic nie jest w porządku? Dlaczego się obawiała, że ilekroć coś nie gra, to jej wina?

- Dlatego że porwałeś ciężarną? - zaryzykowała odpowiedź. Lyle rąbnął pięścią w kierownicę i zacisnął zęby.

- Nie, nie dlatego - odparł spokojnie. - Nic nie jest w porządku, bo wiesz, czego się dowiedziałem, kiedy próbowałem sprzedać twoją cholerną komórkę?

- Hm - powiedziała, czując, że nagle brakuje jej tchu. - Nie chciał jej kupić, bo w sklepach sprzedają je teraz za grosze?

- Skąd wiesz? Skąd o tym wiedziałaś? - spytał głośno.

- Nie wiedziałam, tak tylko pomyślałam.

- Trzeba było wcześniej podzielić się ze mną tą informacją, zanim wszedłem do środka i zrobiłem z siebie kretyna.

- Przepraszam. Nie pytałeś. Sądziłam, że chcesz zatelefonować.

- Niby do kogoś? Do kogo miałbym dzwonić?

- Bo ja wiem? Do mojego męża. Albo do żony.

- Zejdz wreszcie z mojej żony, jasne? Facet nacisnął parę guzików i spytał, czy wszystko gra. Odparłem: pewnie, wszystko w porządku. A on na to: bo widzę, że dzwoniliście na policję.

Didi nagle zabrakło powietrza. Niepostrzeżenie odsunęła się w stronę uchylonych drzwi.

- Tak, to była moja ostatnia rozmowa - przyznała, myśląc błyskawicznie. - Zadzwoiłam na policję jeszcze w sklepie Warner Bros.

- Czyżby? A dlaczegoż to?
- Wydawało mi się, że mnie śledzisz i po prostu nie byłam tym zachwycona.

- Czemu sądziłaś, że cię śledzę?
- Bo wszedłeś za mną do sklepu. Uznałam to za podejrzanę. Przesunęła się w stronę drzwi.

- Uznałaś za podejrzanę? - Lyle się skrzywił. - Co ty sobie wyobrażasz? Że jesteś pępkiem świata? Było tam tysiąc ludzi, a ponieważ my dwoje przypadkowo znaleźliśmy się w jednym miejscu, od razu doszłaś do wniosku, że cię śledzę?

Didi przeszył dreszcz. „Co ty sobie wyobrażasz? Że jesteś pępkiem świata?” - dokładnie to samo powiedział Rich w czasie wczorajszej sprzeczki.

- Nie, nie uważam tak - odrzekła, równocześnie myśląc: miałam rację. Wczoraj miała rację i dziś także. Rzeczywiście, jest pępkiem świata. Przynajmniej przez ostatnie parę godzin.
- Ale wydałeś mi się podejrzanym.

- Ja? Podejrzanym? Dlaczego?

Lyle napierał rękami na kierownicę, zaciśnięte zęby aż zgrzytały.

- Bo miałeś na sobie wiatrówkę - wyjaśniła, jeszcze trochę się odsuwając i osłaniając sukienką zranione palce.

- Co w tym takiego podejrzanego?

- W normalnych warunkach nic. Ale jest środek lipca i mamy czterdziestostopniowy upał. Nikt teraz nie nosi wiatrówki. To tak samo, jakby w środku zimy ktoś zaczął paradować w bikini. Coś takiego rzuca się w oczy, jest nie na miejscu.

Oczywiście, teraz Didi już wiedziała, dlaczego włożył tę kurtkę. Musiał ukryć broń. Odważyła się zerknąć na porywacza. Nie gniewał się już na nią; był zły na siebie za takie głupie niedopatrzenie - za to, że nie wszystko przewidział.

- Mój błąd - oświadczył powoli, nie patrząc na nią.

Tak, inni uznaliby to za pomyłkę, przeoczenie, pomyślała. Ale według ciebie, Lyle, świadczy to o słabości charakteru.

- Dobra, wyskakuj z auta - ocknął się z zadumy.

Natychmiast obudziła się w niej nadzieja, że może jednak ją uwolni i pojedzie sam. Najwyraźniej pomieszało jej się w głowie od upału, bo Lyle oświadczył:

- Nie powinniśmy już dłużej poruszać się tym samochodem, to zbyt niebezpieczne.

Może policja depcze mu po piętach, może Rich ich szuka?

- Co powiesz na małą wycieczkę po okolicy? Nie przejmuj się, nadal mieścimy się w czasie, a znam te okolice jak własną kieszeń. Po prostu trzeba będzie bardziej uważać. I bez żadnych postojów na picie. Wychodź, a ja wezmę twoje torby.

Wysiadłszy, Didi zajrzała do środka i na widok swojej krwi odczuła przelotne zadowolenie. Była niemal szczęśliwa, że porywacz ją zranił. Ktoś - może Smokey albo potencjalni kupcy - zauważy ślady krwi.

- Zamieniłem wóz na furgonetkę - oświadczył z lekkim uśmiechem. - Dostałem trochę kasy za obrączkę. Przydała się. Inaczej musielibyśmy podróżować autobusem.

Co byłoby o niebo lepsze, pomyślała gorzko, zatraskując drzwi.

- Gdzie ten drugi wóz? - spytała, gdy Lyle do niej podszedł.

- Z tyłu. - Przyjrzał jej się. - Jest za gorąco, żebyś szła. Wsiadaj z powrotem, zawiozę nas do furgonetki.

Didi liczyła, że nowy samochód będzie przynajmniej lepiej pachniał niż kombi.

Myliła się.

Pachniał inaczej, ale wcale nie lepiej. Unosił się w nim odór potu i kiełbasy. Albo starych skarpetek i pikantnych

chipsów, Didi wołała nie analizować dokładniej. Lyle stał się właścicielem starej, niebieskiej toyoty - pikapu z dwoma siedzeniami i odrobiną miejsca z tyłu na torby Didi. Na zapleczu lombardu rosły gęste drzewa, sprawiające wrażenie, że jest się w zagajniku. Drzewa rzucały cień, a w cieniu było odrobinę chłodniej. Didi stała przy otwartych drzwiach toyoty, chwytając gorące powietrze. To wcale nie ugasiło pragnienia.

- Lyle... Nie kupiłeś może czegoś do picia?

- Kupiłem. Na stacji benzynowej. Ale, jak mówiłem, Johnny okazał się nieprzyjemnym facetem i musiałem zostawić napoje w sklepie.

Didi rozejrzała się za szlauchem. Lyle zrobił to samo, ale zapewne z innych powodów. Najprawdopodobniej zamierzał splukać ślady krwi z forda. Oboje ich spotkało rozczarowanie.

- Nie powinieneś zmienić tablic rejestracyjnych? - spytała, gdy już wsiedli do samochodu.

- Wiesz, co? - odparł porywacz, zaciskając zęby. - Nie wtrącaj się do moich spraw, dobrze?

- Jak sobie chcesz. Dla mnie to bez znaczenia.

Ale miało dla niej znaczenie i to duże. Skoro nie zmienił tablic, jak policja trafi na ich ślad?

Wrócili na drogę. Didi uchyliła szybę o parę centymetrów, żeby się odrobinę ochłodzić. W przeciwieństwie do forda, pikap miał klimatyzację.

Tyle że zepsuta.

Stary rzęch, pomyślała z gniewem.

- Nie zrobiłeś na tym interesu stulecia. Mam nadzieję, że nie zaśpiewał za dużo.

- Nie, niewiele. Lyle się uśmiechnął. Zresztą, ten też niedługo przestanie mi być potrzebny. Musimy tylko dojechać do celu.

Czyli gdzie? - cisnęło jej się na usta, ale nie chciała usłyszeć kolejnej nonsensownej odpowiedzi.

- Za ile zastawiłeś moją obrączkę? - spytała.

- Cóż, Arizono, na pewno nie za tyle, na ile ją wyceniłaś. Ale nie zastawiłem, tylko sprzedałem. Wiedziałem, że i tak jej nie wykupię. Dzięki temu facet zapłacił mi trochę więcej. Mamy parę patyków, jesteśmy dziani. Możemy jechać, gdzie tylko chcemy. Dokąd najchętniej byś się wybrała?

- Do domu - odparła natychmiast. - Do męża i dzieci.

- Jak miło. Jak też chciałbym wrócić do domu.

- To dlaczego nie wrócisz?

- Och, wiesz, jak jest. Nie każdy ma taki miły domek, dada Didi.

- Twój nie był miły? - próbowała go pociągnąć za język.

- Nieszczególnie - odparł i umilkł.

- Czy teraz czeka tam na ciebie żona?

Nie odpowiedział i odpłynął gdzieś we własny świat.

Didi też umilkła. W samochodzie słyhać było wyłącznie jej ciężki oddech.

Po co komu szkoła rodzenia? I bez ich ćwiczeń doskonale mi idzie.

Nie miała pojęcia, dokąd się udają. Jechali dwupasmową lokalną szosą. Didi szukała jej numeru, potem straciła zainteresowanie, a później ponownie się ożywiła na widok skrzyżowania na trasę 84. Czyli nadal znajduje się gdzieś w Teksasie. Poprosiła Lyle'a o włączenie radia, ale w odpowiedzi tylko warknął. Widziała, że bardzo się pocił. Ale cała jego siła znajdowała się w granatowej wiatrówce. Bez niej temu nylonowemu Samsonowi byłoby chłodniej, ale straciłby swą moc.

Spokojnie, w kurtce czy bez - zawsze będzie silniejszy od ciebie. Dlatego ochraniaj dziecko i módl się, by Bóg udzielił ci prawdziwej mocy.

Słuchali muzyki country.

Didi przestała myśleć o dzieciach, o Richu i o tym, że jedzie zamknięta z porywaczem. Chciało jej się wyłącznie pić.

Myślała jedynie o lodowatej wodzie. Albo o ciepłej kąpieli. Wodzie z tej ohydnej łazienki. Z muszli klozetowej. Z brudnej kałuży. O deszczówce. I morskich falach. Otarła pot i znowu zlizwała go z rąk. Wiedziała, że za pięć minut poczuje się jeszcze gorzej niż teraz, ale nie potrafiła się opanować. Jej pragnienie było niczym czwarta żywa istota w toyocie.

O szóstej rozpoczął się serwis informacyjny i pierwsze słowa spikera brzmiały:

- FBI rozpoczęło poszukiwania mężczyzny, niejakiego Lyle'a Lufta oraz jego zakładniczki, trzydziestodwuletniej Desdemony albo Didi Wood...

Porywacz wyłączył radio i dalej jechali w milczeniu.

Didi napreżyła wszystkie mięśnie, żeby nie okazać podniecenia, ale... Wiedzą o nim! Lyle Luft. I o niej też! Desdemonie... Wiedzą. Teraz to już wyłącznie kwestia czasu. Znajdą ją! Aparat sprzedany w lombardzie, jej telefon na policję, zakrwawiony samochód. Podniosła drżące palce do ust i pocałowała je. Znajdą ich! Muszą ich odnaleźć, zanim Lyle przekroczy granicę w drodze do... Przypomniała sobie nazwę.

Mazatlan.

18.11

Scott otrzymał wiadomość od patrolu, który zatrzymał beżowego forda taurusa kombi z numerami Lyle'a Lufta w Willow Grove, jakieś szesnaście kilometrów na północny zachód od Waco. Tyle że samochodem nie jechali ani Lyle Luft, ani Didi, lecz starsze murzyńskie małżeństwo pod sześćdziesiątkę. Zapewniali, że kupili wóz w lombardzie Smokeya pod miasteczkiem Valley Mills, osiem kilometrów na zachód.

- Nie wygląda, żeby Luft wybierał się do Meksyku - powiedział Rich, usłyszawszy tę wiadomość. - Meksyk jest na południu.

- Równie dobrze mógł na chwilę zboczyć z trasy, żeby zamienić samochody. Może złożymy wizytę panu Smokeyowi i z nim pogawędzimy?

Zamierzali polecieć śmigłowcem, ale jeszcze nie wrócił z tankowania, więc ruszyli z Waco radiowozem na sygnale. O szóstej trzydzieści trzy byli już na miejscu.

Właściciel właśnie zamykał sklep. Okazało się, że ten ciemnowłosy byczkowaty mężczyzna pod pięćdziesiątkę wcale nie nazywa się Smokey, tylko Charlie Rello. Wyjaśnił, że uznał „Smokey” za dobrą nazwę dla lombardu. Opowiedział Scottowi i Richowi, że koło wpół do szóstej zjawiał się u niego jakiś młody człowiek chcący sprzedać kilka przedmiotów. Między innymi samochód. A oprócz tego telefon komórkowy oraz obrączkę.

- Kupił pan komórkę? - spytał Scott.

- Wziąłem ją. Nic mu za nią nie dałem.

- I nie sprawdził pan w komputerze, czy nie jest kradziona, choć to pański obowiązek.

- Właśnie zamierzałem to zrobić - pośpiesznie zapewnił ich Charlie, czerwieniejąc.

- Jasne - zgodził się Scott.

- Obrączka? - wtrącił Wood. - Mogę ją zobaczyć?
- Oczywiście - ochoczo zgodził się Charlie, rad ze zmiany tematu. - Prawdziwe cacko.

Nie ulegało wątpliwości, że Rich podarował żonie najpiękniejszą obrączkę, jaką można było kupić.

- To jej - powiedział słabym głosem, wyjmując kartę American Express.

- Była jej - zaśmiał się Charlie. - Teraz należy do mnie, koleś.

- To żaden twój koleś - uciął Scott. - Jego żonę porwał mężczyzna, który upchnął u ciebie ten telefon i obrączkę. Niniejszym konfiskuję oba przedmioty jako dowody rzeczowe numer jeden i dwa w sprawie, jaką prokuratura Stanów Zjednoczonych wytoczy Lyle'owi Luftowi.

- Nie możecie mi skonfiskować tego pierścionka! - zawołał z bólem Charlie Rello. - Gdzie wasz nakaz?

Agent wyjął swój telefon komórkowy.

- Masz faks? Za dwie minuty otrzymasz oficjalny nakaz. Ale ostrzegam, że wraz z nakazem zabiorę ci znacznie więcej niż to kółko. A Biuro Federalne z niekłamaną przyjemnością zrobi ci tu małą kontrolę i sprawdzi, czy prowadzisz legalny interes, spokojna głowa.

Klnąc pod nosem, właściciel lombardu machnął ręką.

- Litości, nie możecie mi zabierać tej obrączki. Wybuliłem za nią dziesięć patyków.

- Przecież wiemy, że nie kupiłeś jej za dychę - roześmiał się Scott.

- Nie wierzy pan? Niech pan spojrzy, jakie to cacko. Chciał piętnastu patyków. Twierdził, że tyle go kosztowała.

- Gówna prawda. W życiu nie zawarłeś transakcji za dziesięć tysięcy - prychnął agent. - A w każdym razie nie zapłaciłeś tyle klientowi. Przykro mi, Charlie, ale ta obrączka należy do nas.

- Chętnie panu zwrócę tyle, ile pan za nią zapłacił - wtrącił się Rich.

- Dziesięć tysięcy dolarów - upierał się Charlie.

Rich wyjął książeczkę czekową, lecz Somerville zasłonił ją ręką.

- Ten pan zaproponował, że wykupi obrączkę. Albo oddasz mu ją za te grosze, które sam wyłożyłeś, albo za darmo. To jak? Nakaz rewizji czy transakcja, Charlie?

- Tysiąc pięćset - warknął mężczyzna, zgrzytając zębami.

Rich wystawił czek, a tamten niechętnie go przyjął. Rich wyciągnął rękę po obrączkę. Scott odsunął jego dłoń i pokręcił przecząco głową.

- Daj mi ją - zwrócił się do sprzedającego.

- Mogę ją wreszcie wziąć? - spytał ostro Rich.

- Nie - odrzekł agent i poprosił właściciela lombardu o chusteczkę. - O co?

- Chusteczkę higieniczną. Albo ligninę.

Charlie przyniósł z zaplecza papierowe ręczniki; Scott urwał jeden płatek i starannie owinął obrączkę, a potem oddał ją Richowi. Następnie ostrożnie wziął telefon i również zawinął go w papier.

- A jeśli chodzi o komórkę - odezwał się z niepokojem Charlie. - Ja wcale jej nie chciałem, zamierzałem mu ją oddać.

- Dlaczego? - spytał agent, podejrzliwie mierząc go wzrokiem. - Mówił, że wróci?

- Nie, nie, to nie było tak. Nic nie wspominał o powrocie - pośpiesznie zapewnił ich Charlie.

Wyjaśnił, że chciał sprawdzić, czy telefon działa, więc nacisnął przycisk powtórzenia ostatniego numeru, a wtedy na ekranie wyświetliło się 911. Spytał klienta, czy wszystko w porządku, a tamten tylko wzruszył ramionami i wyjaśnił, że tak, ale niedawno widzieli na drodze wypadek i zadzwonili na policję. To wytłumaczenie zadowoliło Charliego, choć teraz

wyglądał na zawstydzonego. Dodał, że bateria była prawie całkiem rozładowana, więc nie mógł sprawdzić nic więcej.

- Facet nie mówił, dokąd się wybiera?

- Twierdził, że jedzie na zachód z żoną. Potrzebował lepszego samochodu, więc sprzedałem mu toyotę, pikapa. Szczerze powiedziawszy, nie była wiele lepsza, ale tylko taki wóz miałem, a jemu to nie przeszkadzało.

- Szybko upłyniłeś forda.

- Tak, od razu zadzwoniłem do klienta - uśmiechnął się Charlie. - Już od dawna polował na kombi.

Charlie powiedział jeszcze, że kiedy wyszedł obejrzeć forda, ciężarna żona klienta stała przy samochodzie. Widząc, że wysiadła, facet podbiegł i pomógł jej wsiąść do środka. Młoda kobieta bacznie przyglądała się Charliemu, kiedy obchodził samochód. Nawet poczuł się nieco dotknięty, bo zachowywała się, jakby uważała, że zamierzał ukraść wóz z nią w środku.

- Jak wyglądała? - spytał Rich na tyle spokojnie, na ile pozwalał mu na to łamiący się głos.

- Dość ładna. Długie, ciemne włosy. Taka miła żonka. Ale miała brudną sukienkę. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Sukienka nie wyglądała schludnie. Pomyślałem, że kobieta w ciąży powinna, bardziej o siebie dbać.

Wood z trudem skinął głową.

- Nie spytał pan, dlaczego chcą zmienić samochód? - spytał. Agent położył mu rękę na ramieniu i pokręcił głową.

- Żartuje pan? - spytał Charlie ze śmiechem. - Gdybym każdego klienta pytał, dlaczego pozbywa się tej czy tamtej rzeczy, już dawno wypadłbym z interesu. - Znowu się roześmiał. - A ten smarkacz wyglądał lepiej niż większość moich klientów. Miał ładną żonkę. Nie zadaję pytań.

- Dobrze, dziękujemy - powiedział Somerville. - To już wszystko? Rich zauważył, że Charlie zerknął z niepokojem na jego towarzysza, ale potwierdził, że tak, to wszystko.

- Coś jeszcze? - spytał Wood.

- Nie, to wszystko.

- To wszystko - powtórzył Scott, ciągnąc Richa za ramię.

- Nie, coś ukrywa - upierał się ten. - Co jeszcze?

- Nic więcej nie mam do powiedzenia - zapewnił ich pośpiesznie Charlie, ale tym razem agent też się zorientował, że coś nie gra, bo wrócił do kontuaru.

- Nie mam wiele czasu. Porywacz jest blisko i musimy go znaleźć. Co jeszcze?

- Nic, co by wam pomogło w poszukiwaniach - odparł mężczyzna.

- Ale i tak posłuchamy.

- Przed sprzedażą musiałem wyszorować w środku samochód.

- Dlaczego? Charlie nagle jak gdyby stracił mowę.

- Dlaczego? - powtórzył Somerville znacznie głośniej. Mężczyzna drgnął.

- Nie drzyj się tak, facet - powiedział cicho, pochylając się do Scotta. - Rozumiesz, nie chciałem go niepokoić. - Wskazał ręką Wooda.

- Nie chciałeś mnie niepokoić? - powtórzył Rich. Za późno, już się zaniepokoiłem.

- Na fotelu pasażera była krew - wyjaśnił Charlie. - Niedużo, ale zawsze, rozmazana po całym siedzeniu.

Rich miał ochotę coś stłuc.

- Poza tym facet powinien był zmienić tablicę rejestracyjną. Mówił, że to zrobi. Ale guzik, nie zmienił, drań. Jeśli to coś pomoże, podam wam numer toyoty.

Agent zanotował i wyszli ze sklepu. W samochodzie Scott natychmiast rozesłał wiadomość do wszystkich patroli, by uważali na niebieską toyotę, pikapa, rocznik 1984.

- Kierowca jest uzbrojony i niebezpieczny - powtórzył. - Należy zachować szczególną ostrożność.

- Po co ci ten telefon? - spytał Rich. - To zwykła komórka.

- Wiem, ale to wszystko dowody obciążające. Odciski palców, próbka skóry. W razie gdyby doszło do procesu.

Rich przeanalizował jego słowa.

- Po co ci ten cholerny telefon jako dowód? Wystarczy zeznanie mojej żony, że ją uprowadził.

Agent nie odpowiedział, unikał też spojrzenia Wooda, którego ogarniał coraz większy niepokój.

W drodze do Waco, gdy Scott nie patrzył, Rich rozwinął papierową serwetkę i pogładził obrączkę Didi. Podniósł ją do ust i pocałował: złoto, brylant i wnętrze, którego dotykała jej skóra.

18.30

Jesteś głodna? - zwrócił się Lyle do Didi. - Nie - wyszeptała. - Chce mi się tylko pić. Próbowwała siedzieć z zamkniętymi oczami i nie wyglądać przez okno. Od widoku prerii, prześlizgującej się przed nimi, robiło jej się niedobrze. Przypomniała sobie, że ilekroć wybierali się w dłuższą podróż, trzeba było podać Irene lekarstwo przeciw chorobie lokomocyjnej. Mam nadzieję, że jeśli umrę, pomyślała, Rich pochowa mnie blisko domu, żeby Reenie nie robiło się niedobrze, ilekroć będą do mnie zaglądać. Inaczej wizyty na cmentarzu zaczną jej się kojarzyć z mdłościami i nie będzie chciała tam jeździć. Na myśl o tym, że ukochana córeczka nie chciałaby odwiedzać jej grobu, Didi ogarnął niewysłowiony smutek. Pocięchy, pocięchy, modliła się po cichu. Boże, spraw, żebym myślała o czymś innym.

Niewiele mogła znaleźć optymistycznych myśli. W tym momencie w domu siadają do stołu. Didi zastanawiała się, czy dziewczynki dostały kolację, czy Amanda pozwoliła Richowi przyrządzić steki, czy córeczki dawały mu się we znaki, czy też grzecznie się bawiły. Dziś wieczór kąpielowy. Jak mąż sobie poradzi bez Didi? Pewnie skończy się szybkim prysznicem, ale wtedy małe nie umyją włosów...

Rich... O czym teraz myśli? Co może sobie myśleć?

I co teraz? Co robi? Pewnie odchodzi od zmysłów. Najprawdopodobniej od lunchu nic nie miał w ustach.

Didi przypomniawszy sobie o ich umówionym spotkaniu. O, nie. Pewnie nic nie jadł. Chyba że czekając na nią, zamówił sobie kanapkę. Ale nie zrobiłby tego.

Biedny Richie. Głodny, sam z dziewczynkami. Moi rodzice są w Europie, jego matka nie pomoże wiele. Co sobie teraz myśli?

Didi modliła się za Richa, za Mandę i Reenie i błagała Boga, by wszystkich ich podniósł na duchu.

Słońce świeciło im w oczy, czyli nie jadą już na południe, w stronę Meksyku. Zdążają na zachód. Co jest na zachód od Waco? Didi nie mogła sobie przypomnieć. El Paso? Rezerwat Big Bend? Wszystko to bardzo daleko. Nowy Meksyk? Arizona? Kalifornia? Dokąd jedziemy? - spytała znowu, ale w duchu. Trzymając na brzuchu rękę, zastanawiała się, co się dzieje z jej córeczkami.

Zamknęła oczy i zobaczyła Richa. Kosi trawnik, a potem odkręca zraszacz do trawy i wraz z nagą Amandą biega pod prysznicem. „Manda - banda!”, wrzeszczy, a mała piszczy: „Tatek - gnatek!”. To nie o Richu jednak myślała teraz Didi ani nie o Amandzie, tylko o zraszaczu. Przebrała się wtedy w kostium kąpielowy i przyłączyła do nich. Krople wody spadały na jej rozgrzaną od słońca skórę i były takie... takie... wilgotne.

Oblizwała wargi.

Modlitwa nie dawała pociechy, a wspomnienia też jej nie przyniosły. Miesiąc temu, w czerwcu, Leslie, najstarsza i najbliższa przyjaciółka Didi, urodziła dziecko przez cesarskie cięcie. Zszywając ją, lekarze musieli zanieczyścić okrężnicę, bo wytworzył się straszny stan zapalny i Leslie omal nie umarła. W święto niepodległości, czwartego lipca, nadal jeszcze leżała w szpitalu i nie mogła przyjść na przyjęcie do Woodów. Didi wysłała przyjaciółce kwiaty i truskawki w czekoladzie i modliła się za nią, by Leslie już wkrótce mogła wrócić do domu, do malutkiego synka, który czekał na mamusię.

A potem wczoraj - czy naprawdę było to zaledwie wczoraj? Tak, zgadza się - Didi zatelefonowała do innej przyjaciółki, Joan, która spodziewała się dziecka mniej więcej w tym samym terminie, co ona, i dowiedziała się od męża tamtej, że dziecko urodziło się martwe.

Didi nie potrafiła sobie wyobrazić większego nieszczęścia. Joan miała czterdzieści trzy lata i to była jej pierwsza ciąża. Kiedy Didi odłożyła słuchawkę, przez godzinę płakała. Nawet córeczki nie mogły jej pocieszyć.

Właśnie o Joan i Leslie posprzeczała się z mężem. To nie była ich wina. Raczej Didi. A właściwie Richa, bo nie okazał większego zrozumienia dla jej niepokojów. Bowiem Didi miała rację.

To nie była niczyja wina, ale miała rację.

Otworzyła oczy, próbując skupić się na drodze i patrzyła przed siebie. Oślepiało ją słońce, widziała tylko białe cętki. Jeszcze raz przymknęła powieki i oblizała usta. Wargi pozostały suche, białe plamki nie znikwały. Czowała, jak brzuch boleśnie jej się napina. Usiłowała zapomnieć, gdzie teraz jest, przywołać w pamięci Florydę i dom letniskowy rodziców w St. Pete. Przypominała sobie Zatokę Meksykańską i własny basen. Woda. Wróciła myślami do Disneylandu, ale tam znowu przypomniał jej się aquapark. Wspominała wszystkie rodzinne wakacje. Hamptons - woda, Kanada - niezliczone jeziora Quebeku, Hawaje - fantastyczny, błękitny Pacyfik, Canun - cudowny, niebieski Atlantyk, St. Croix - niesamowite Morze Karaibskie. Białe plamki przed oczami zamieniły się w błękitną wodę. Didi zanurkowała w nią i nie wynurzyła się, by zaczerpnąć powietrza. Płynęła, czując na twarzy wodę. Woda. Woda.

*

Wczoraj, po powrocie z pracy Rich zezłościł się, bo nie było obiadu. Ale Didi tak się przejęła losem przyjaciółki, że nie potrafiła niczego ugotować. Upiczyła naprędce makaron, posypała go żółtym serem, do tego podała colę. Dziewczynki nie posiadały się ze szczęścia, lecz mąż narzekał. Kiedy położyli córki spać, zaczęła się sprzeczka.

Didi powiedziała mu o Joan, Richard wyraził swoje współczucie, nic jednak nie rozumiał. Nie słyszał w głosie żony napięcia.

- Rich - powiedziała, kładąc dłoń na sercu i krążąc po sypialni. - Czy nie widzisz, jaka jestem przerażona?

- Czego się boisz?

- Że przydarzy mi się coś strasznego.

- Dlaczego miałyby cię coś takiego spotkać, Didi?

- Coś się przytrafi mnie albo dziecku. Wtedy się wściekł.

- Dlaczego dziecku miałyby się coś stać? Nie mów takich rzeczy!

- Leslie nadal leży w szpitalu - próbowała mu wyjaśnić Didi. - Nawet nie widziała swojego synka, a zakażenie było tak poważne, że długo jeszcze potrwa, nim wróci do zdrowia. Jak często, twoim zdaniem, zdarzają się takie rzeczy? Szalejąca infekcja, której lekarze nie potrafią zatrzymać?

- To się zdarza, Didi, to się zdarza odrzekł zniecierpliwiony mąż. - Ale co Leslie ma wspólnego z tobą?

- Zaraz ci wyjaśnię. Teraz ta historia z Joan. Słyszałeś o większym nieszczęściu?

- Nie - przyznał. - To naprawdę straszne.

- Właśnie. To najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić. Wyobraź sobie, że nas miałyby spotkać takie nieszczęście.

- Nie mów na głos takich rzeczy! - zawołał Rich.

- Ale, na miłość boską, właśnie o to chodzi - odpowiedziała ze łzami. - Pamiętasz, jak w ubiegłym roku miałam tę serię wypadków samochodowych? Najpierw wjechałam w kufer nissana, kilometr od domu. To było przeznaczenie. Tysiące razy zatrzymuję się na tych światłach, a ten jeden raz nie mogłam. To po prostu przeznaczenie. A potem następnego dnia wjechałam samochodem z wypożyczalni na parking przed supermarketem i bum:

wpakowałam się prosto w nieprawidłowo zaparkowaną furgonetkę i załatwiłam jej zderzak. Fakt, stała na drodze pożarowej, w dodatku odwrócona nie w tę stronę. I owszem, było ciemno, a droga jest wąska, ale ilekroć spędzamy urlop na Florydzie, wypożyczamy samochód i nic takiego mi się nie przytrafia.

Rich wzniosł oczy ku niebu.

- To u ciebie uwielbiam, Didi. Potrafisz swoje... jak by to określić?... wypadki za kierownicą zrzucić na przeznaczenie.

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Do czego zmierzasz?

- Do niczego - zapewnił szybko. - Do czego to wszystko prowadzi?

- Richie, przecież wiesz, że nieszczęścia chodzą trójkami.

- Kto ci tego nagadał?

- O tym wszyscy wiedzą. Ludziom przytrafiają się różne rzeczy, ale zawsze po trzy. Na przykład śmierć w okolicach Bożego Narodzenia. Zauważyłeś, że zawsze wtedy umiera nie jedna, ale trzy sławy? Pamiętasz, parę lat temu zmarła Jill Ireland, potem Sammy Davis Jr, a zaraz po nim Jim Henson. Właśnie o coś takiego mi chodzi.

- Kochanie, to szaleństwo. Co ty wygadujesz? Wszedł do łazienki, a Didi za nim.

- To nonsens - powiedział Rich. - Nie zamierzam więcej o tym rozmawiać. Zresztą, z samochodami miałaś tylko dwa niemiłe zdarzenia.

- I tu się mylisz! - zawołała. - Wpadłam w taką paranoję, że szukałam trzeciego i pamiętasz, co się stało?

- Nie - odparł ze znużeniem, wyciskając trochę pasty na szczoteczkę i wsuwając ją pod kran. - Co takiego się stało?

- Jechałam z domu i kiedy skręcałam na światłach w prawo, drzwi się otworzyły i omal nie wypadłam.

Rich mył zęby, a ona stała za nim słuchając, jak płucze sobie usta i wypluwa wodę. Potem zakręcił kran i wytarł twarz.

- Didi, Didi, Didi! Do czego to wszystko zmierza?

- Może ja jestem trzecia w łańcuchu nieszczęść, które wydarzą się we wszechświecie? Nachodzi moja kolej. Coś złego przytrafi się mnie albo dziecku.

- Dobry Boże! - roześmiał się mąż. - Didi, twierdzisz, że dziecku stanie się coś złego, bo w ubiegłym roku miałaś stłuczkę? Nasza składka ubezpieczeniowa wzrosła trzykrotnie, czy to nie wystarczająca kara?

- Bądź poważny.

- Jestem - przerwał jej Rich. - Posłuchaj - dodał, kładąc ręce na jej ramionach i całując ją w nos. - Posłuchaj. Trafia mnie szlag, gdy gadasz takie bzdury. Zgoda, twoje przyjaciółki spotkało nieszczęście i bardzo im współczuję. Ale dlaczego uważasz, że kosmos zamierza skończyć na tobie? Może Leslie stanowiła drugie ogniwo, a Joan trzecie? Co ty sobie myślisz? Że jesteś pępkiem świata?

- Tak - odparła. - Mojego świata. Są moimi przyjaciółkami, spotkało je coś strasznego i teraz czas na mnie.

- Owszem, ale to również moje dziecko. Jaki związek mają z nim twoje przyjaciółki? Dlaczego ich zła karma ma nagle ściągnąć na mnie jakieś nieszczęście? Nie rozumiesz, głuptasku? To nie ma żadnego związku z tobą. Twoje i moje życie toczy się dalej. Ich nieszczęścia nie przytrafiły się tobie, Didi, tylko im. To naprawdę nas nie dotyczy.

- Nieprawda.

- Rozumiem, że jest ci przykro...

- Czuję się strasznie.

- To naturalne. Ale to nie jest żadne fatum, żaden ciąg zła. Ich kosmiczna karma nie ma żadnego związku z nami. Jestem

przyzwoitym człowiekiem i Bóg nie zamknie na mnie kręgu nieszczęść.

- Właśnie tak wszystko się odbywa we wszechświecie: trójkami.

- Na miłość boską! - zawołał Rich.

Wyszedł z sypialni, a Didi, ze swym wydatnym brzuchem, potoczyła się za nim.

- Posłuchaj, kochanie, nic złego nie przytrafi się tobie ani dziecku. Uwierz mi. Poza tym, dwóm moim kolegom z pracy urodziły się dzieci i nic nie dolega ani maluchom, ani ich matkom. Dlatego uważam, że jestem trzeci w tym łańcuchu radosnych wydarzeń.

Didi przez chwilę milczała.

- Cały ty. Uważasz się za pępek świata - oświadczyła w końcu. I poczuła się lepiej.

Didi wspomniała wodę, która przepływała między palcami Richa, gdy mył twarz i płukał usta. Słodką, miękką, czystą wodę. Gdyby mogła wypić choć łyk, od razu na wszystko spojrzalaby pogodniej.

Nieszczęścia nie tylko chodzą trójkami, myślała, ale także mają swą kulminację. Wtedy, z samochodami, wyglądało to nieco inaczej. Kulminacja złej karmy miała miejsce w czasie pierwszej stłuczki, trochę osłabła przy obcierce, a niemal całkowicie wygasła, gdy drzwi same się otworzyły. Tym razem zaś karma sprawiła, że Leslie ciężko zachorowała, potem zaś spowodowała śmierć dziecka Joan i nadal z impetem wirowała wokół, otaczając cieniem świat Didi.

Otworzyła oczy i aż się zachłysnęła. Na poboczu stał radiowóz.

Boże! Proszę, błagam, zaklinam. Zerknęła na szybkościomierz. Cholera. Jechali przepisowo, dziewięćdziesiąt na godzinę na dwupasmowej drodze. Nie odważyła się obejrzeć. Liczyła. Minęło dwadzieścia sekund.

Jeśli taka Twoja wola, zechciej wysłuchać naszych wołań, łaskawy Boże, modliła się Didi.

Spojrzała na Lyle'a, zaszuchanego w muzykę country. Nie patrzył we wsteczne lustro.

Wtedy usłyszała wycie syreny policyjnej.

*

Mężczyzna nie zwalniał. Kiedy Didi na niego spojrzała, nadal wpatrywał się w drogę przed sobą. Powinien się zatrzymać do kontroli.

Lyle - odezwała się cicho. - Lyle?

Wyrwany z zadumy, lekko potrząsnął głową i zamrugał oczami.

- Co się stało?

Policja, Lyle - powiedziała. - Jadą za nami. Przez moment gapił się na nią z mieszanką strachu i gniewu.

- Coś ty zrobiła? - zawołał.

- Nic, Lyle - odparła, licząc, że na jej twarzy nie widać niewysłowionej ulgi. - Siedziałam, pogrążona w myślach. Tak samo jak ty.

- Nie byłaś pogrążona w myślach, tylko się modliłaś - warknął. - A ja też się nie zadumałem, Arizono, lecz prowadziłem samochód.

Z jego twarzy zniknął groźny wyraz, wyglądał, jakby nieco się uspokoił.

- Zobaczmy, czego chcą mili panowie policjanci - powiedział, zwalniając.

Didi zauważyła, że wkłada rękę do kieszeni, wyjmując i odbezpiecza rewolwer. Delikatnie wsunął broń między nogi i zasłonił udami. Potem zjechał na pobocze, puścił sprzęgło i czekał.

Didi również czekała. Słońce świeciło jej w oczy. Stali na poboczu pustej drogi obok wypalonego ugoru. Serce waliło jej jak młotem. Zaczęła dyszeć, położyła dłonie na brzuchu.

- Przestań sapać - powiedział, nie patrząc na nią Lyle.
- Przepraszam. - Zamknęła usta. - Ale inaczej się duszę.
- Gównu mnie to obchodzi. Jak dla mnie, możesz się udusić, bylebyś przestała dyszeć.

Usiłowała go posłuchać i wstrzymała oddech. Pod dłuższej chwili jednak głośno wypuściła powietrze.

Radiowóz zatrzymał się za nimi. Didi nie musiała się oglądać, z poprzednich doświadczeń, gdy ją zatrzymywano za przekroczenie prędkości, wiedziała, że policjant sprawdza teraz przez radio, kto jest właścicielem samochodu. Serce jej się ścisnęło, gdy sobie uświadomiła, że tablica jej porywacza nadal jest przymocowana do taurusa. Ten pikap był zarejestrowany na Smokeya. Didi wołała o tym nie myśleć. Tak, Lyle powinien był postąpić zgodnie z prawem. Nie wolno łamać przepisów.

Siedzieli, czekając. W końcu odkręcił szybę i Didi wciągnęła powietrze, a potem wypuściła je z sykiem. Czuła się, jakby biegła i nie mogła teraz złapać tchu. Dziecino, dziecino, dziecino, myślała.

Do toyoty podszedł policjant.

- Dzień dobry, panie władzo - odezwał się uprzejmie Lyle. - Jakiś problem? Jechałem za szybko?

Policjant zajrzał do środka, wcale nie patrząc na niego, skupiony wyłącznie na Didi.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał z troską. Ma pani zakrwawioną dłoń.

Dwukrotnie odetchnęła głośno, nim udało jej się odpowiedzieć:

- Och, to drobiazg. Niechcący się skaleczyłam. Dziękuję, nic mi nie jest.

Policjant przyjrzał się kierowcy.

- Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy i dowód rejestracyjny?

To był całkiem młody chłopak. Wyglądał, jakby od niedawna zaczął się golić. Kiedy się pochylił do okna, zauważyła na jego lewej ręce obrączkę.

- Jasne, nie ma sprawy - odparł Lyle.

Didi nie odrywała wzroku od policjanta. Chciała szepnąć bezgłośnie: „Ratunku!”, ale bała się, że on nie zrozumie, poprosi, żeby powtórzyła, a wtedy wszystko przypadnie: ten młody chłopak straci życie i ona też. Siedziała bez słowa.

Lyle wiercił się, wyciągając dokumenty z tylnej kieszeni spodni.

- Są - oznajmił triumfalnie z lekkim chichotem. - Wiedziałem, że gdzieś musiałem je schować.

- Jeszcze dowód rejestracyjny i polisę ubezpieczeniową - poprosił cierpliwie policjant.

- Och, dowód rejestracyjny... Dopiero co kupiłem ten wóz i nie zdążyłem go zarejestrować.

- Czy samochód jest ubezpieczony?

- Tak, oczywiście.

Didi wiedziała, że w Teksasie jazda bez ubezpieczenia jest wbrew prawu, ale przecież zatrzymując ich, policjant nie mógł nic wiedzieć o toyocie. Nie mógł wiedzieć, że auto nie jest ubezpieczone.

- Na trzydzieści dni mam ubezpieczenie z mojego poprzedniego samochodu, prawda? - ciągnął Lyle z krzywym uśmiechem.

Didi nie widziała twarzy porywacza, patrzyła na jego rękę, leżącą na udzie.

Lyle odwrócił się do niej, przeszywając ją wzrokiem.

- Kochanie, możesz zajrzeć do schowka, czy nie ma tam polisy? Didi schyliła się, przekręciła zamknięcie i zajrzała do środka.

- Nie ma jej tu - powiedziała.

- Och, widocznie włożyłem do którejś kieszeni. Jeszcze raz sprawdzę.

Policjant czekał.

- Nie mogę znaleźć - powiedział Lyle, wzruszając ramionami. - Wydawało mi się, że była w tylnej kieszeni.

- A może zostawiłeś ją w poprzednim samochodzie, kochanie? - odezwała się Didi. - W tym, który wymieniliśmy na ten?

Mężczyzna wolno odwrócił się w jej stronę. Z niewinną miną wytrzymała jego spojrzenie, dysząc i trzymając się za brzuch.

- Chyba faktycznie tak było - zwrócił się do policjanta. - Wygląda na to, że będzie pan musiał mnie spisać. Przepraszam.

Chłopak odsunął się od drzwi. - Zechce pan wysiąść z samochodu - powiedział. Didi widziała odwróconą głowę porywacza i jego dłoń, spoczywającą na kolanie.

- Dlaczego? - spytał ostro. - Chyba wszystko jest w porządku, panie władzo?

- Oczywiście, że wszystko w porządku, ale zechce pan wysiąść.

- Wysiąść - powtórzył Lyle. - Tak, tak, jasne. Się robi. - Położył lewą rękę na klamce i Didi usłyszała skrzypnięcie zamka. - Oczywiście, panie władzo.

Wtedy podniósł do okna prawą dłoń z rewolwerem i strzelił tamtemu w twarz.

*

Didi miała wrażenie, że policjant przefrunął parę metrów, zanim ciężko upadł na szosę.

Krzyknęła. Widziała jego machające w powietrzu nogi i nie mogła się powstrzymać. Znowu krzyknęła.

- Zamknij się! - warknął Lyle, nawet się nie odwracając i uderzył ją kolbą, głęboko rozcinając Didi brew.

Nie zemdląła. Miała wrażenie, że stoi pod czerwonym wodospadem. A potem przestała widzieć. Wydawało jej się, że traci wzrok. Zapomniała o policjancie.

- Zamknij się! - ryknął znowu Lyle.

Nie wiedziała, że coś mówiła, ale zamknęła pełne krwi usta. Wypluła krew na sukienkę i wytarła twarz. Na nic. Krew wciąż tryskała z łuku brwiowego. Didi poczuła, że Lyle przykładła jej coś do twarzy.

- Wytrzymaj się tym - polecił. - Doprowadź się do porządku, będę potrzebował twojej pomocy.

Wiedziała, o jaką pomoc chodzi. Zabity chłopak leżał na drodze. Wystarczy jeden samochód, żeby go rozjechać na miazgę. Kierowca zatrzyma się i wezwie policję, a ta w ciągu pięciu minut ich dopadnie. Lyle musiał zyskać nad nimi przewagę. Nie mógł zostawić trupa na szosie, Didi nie miała co do tego wątpliwości. Ten wypadek nie został uwzględniony w jego planach i opóźniał je.

Jeśli będzie mogła w jakikolwiek sposób zatrzymać porywacza, zrobi to.

Wycierając się szmatą, którą jej podał, myślała ponuro: teraz nie ma już odwrotu. Zabił glinę. Porwał mnie i zastrzelił policjanta, więc nigdzie już się nie ukryje, nikt go nie wypuści po udzieleniu ostrzeżenia. Teraz już nikt go nie uwolni, żeby mnie uratować. Wszyscy w Teksasie będą pragnęli jego krwi i nie spoczną, póki go nie schwytają.

Poniewczasie zorientowała się, że poprzedni właściciel wykorzystywał ten gałgan do wycierania pręta służącego do sprawdzania poziomu oleju. Zmrużyła zdrowe oko, próbując wypatrzeć jakiś czysty skrawek, lecz na próżno. Szmata cuchnęła. Przykładając ją do brwi, Didi żałowała, że nie leży nieprzytomna.

Wtem poczuła, że dziecko się porusza. Zdumiona i podniesiona na duchu, próbowała wziąć się w garść.

- Co mam zrobić? - spytała.
- Doprowadź się do porządku, zaraz jedziemy dalej - odparł, wyjmując kluczyki ze stacyjki.
- W porządku.
- Wszystko przez te twoje jęki. Widzisz, co na siebie ściągnęłaś.

- Przepraszam - odpowiedziała automatycznie, uświadamiając sobie, że nie tylko nie czuje się skruszona, ale wypowiadając te słowa, myśli równocześnie: Pieprzę cię.

Didi była religijna, tymczasem proszę: przeklina grzesznika! Pieprzę cię - powtórzyła w duchu i ku swemu zdziwieniu poczuła się lepiej.

Zabójca wysiadł z samochodu, szybko podszedł do trupa i przeciągnął go za nogi na pobocze. Ledwo skończył, po drodze przemknął samochód. Lyle zostawił zwłoki i podszedł do radiowozu. Didi widziała we wstecznym lusterku, jak zgasił światła. Na ułamek sekundy w jej serce wstąpiła szaleńcza nadzieja, że może porywacz odjedzie i zostawi ją samą. Boże, spraw...

Lyle podbiegł do martwego policjanta i zaczął wlec ciało głębiej w pole. Didi obserwowała go, zastanawiając się, czy zostawił kluczyki w stacyjce radiowozu i czy zdążyłaby do niego dopaść i odjechać, zanim wróci.

Co mam do stracenia? pomyślała, ale wtedy dziecko znowu kopnęło. Położyła rękę na brzuchu i nie ruszyła się z toyoty.

Skoro mógł zabić policjanta, może zabić i mnie. Za zabójstwo policjanta grozi mu kara śmierci. O ile go złapią.

Ten młody człowiek stanął na przeszkodzie realizacji planu porywacza i dlatego musiał umrzeć. Ale ona - zaczęła sobie uświadamiać Didi - jest niezbędna do realizacji zamiarów Lyle'a. To tłumaczy, dlaczego do tej pory jej nie uśmiercił ani nie porzucił.

Nie miała złudzeń. Zdawała sobie sprawę z tego, że zawsze może ją zabić, na dwa miesiące zaszyć się w Big Bend, a potem zapolować na kolejną kobietę w innym centrum handlowym.

Siedziała, czekając i obserwowała, jak Lyle wlecze ciało policjanta coraz głębiej w pole. Widocznie znalazł jakiś rów, bo nie widziała już trupa, tylko mordercę.

Pomodliła się za duszę młodego chłopaka. Wszechmogący Boże, spójrz na swego sługę i pociesz go obietnicą życia wiecznego. Amen. Ale odklepała to jak formułkę, równocześnie myśląc o innych sprawach. Tak właśnie teraz się czuła. Modliła się za zmarłego, ale myślała o czymś innym.

Potrzebuje kapłana, który by go wprowadził do wieczności, tymczasem ma tylko mnie. A ja się nie nadaję.

W miarę jak dzień zmierzał ku końcowi i zapadał wieczór, a Didi stawiała czoło perspektywie ciemności w towarzystwie Lyle'a, coraz mniej myślała o innych. Coraz mniej troszczyła się o córeczki i męża. On nie walczył, by utrzymać przy życiu nienarodzone dziecko i siebie. Nie odczuwał koszmaru pragnienia.

Znalazłam się w centrum handlowym NorthPark nieodpowiedniego dnia, o nieodpowiedniej porze. I dlatego stracił życie młody chłopak, Johnny zapewne też. Ponieważ ona wybrała się do NorthPark. Czyja teraz kolej? - zastanawiała się Didi. Jaka niewinna istota zginie z mojej winy?

Lyle wrócił w mundurze policjanta. Ogarnęły ją krótkie, intensywne mdłości. Zdarł ubranie z trupa, pomyślała z obrzydzeniem.

- Dobra, bierz swoje bambetle i idziemy.

Ubranie było za duże i za długie, ale podwinął spodnie i mocniej ściągnął pas na rewolwer. Na mundurze zostały ślady

kurzu z szosy i trawy. Kiedy Lyle się odwrócił, Didi zauważyła na jego koszuli świeże ślady krwi, która również zabrudziła mu kark. Zabójca zdjął ze swej ofiary zakrwawione ubranie. Zastanawiała się, czy ten człowiek postradał rozum.

- Znowu zmieniamy samochody? - spytała.

- Owszem, znowu zmieniamy samochody. Musimy być bezpieczni. Didi wolno wyszła z pikapu.

- Nie mogę wyjąć toreb - powiedziała. - Nie dosięgnę. Są nieważne, zostawmy je.

- O, nie, dada Didi - odparł Lyle, spychając ją z drogi. Potknęła się i upadła na pobocze, szmata wysunęła jej się z rąk.

Didi cicho jęknęła i przyłożyła rękę do oka. Z rany trysnęła kolejna struga krwi.

Podczas gdy Lyle wyciągał torby, usiłowała się podnieść. Odwrócił się do niej i powiedział z uśmiechem:

- Masz szczęście, że nie cierpisz na hemofilię.

Masz szczęście, że nie jestem Schwarzeneggerem, pomyślała, idąc za nim do radiowozu. Bo wtedy już dawno byś nie żył, ty skurczybyku.

Nie widziała na prawe oko, a na całej twarzy miała lepłą skorupę krwi.

Wsiedli; Didi ucieszyła się, że nie posłuchała instynktu i nie próbowała ucieczki, kiedy Lyle „grzebał” policjanta, bo właśnie wyciągnął z kieszeni kluczyki. Wiedziała, że był za sprytny, żeby zostawić je na wierzchu.

Ale okazał się na tyle głupi, że próbował sprzedać telefon komórkowy. Na tyle głupi, że w środku lipca nosił kurtkę. Na tyle głupi, że włożył zakrwawiony mundur, który wcale na niego nie pasował. Kto da się nabrać i uzna go za glinę?

Na środku deski rozdzielczej znajdowało się policyjne radio. Didi wpatrywała się w nie tęsknie i widocznie porywacz musiał to dostrzec, bo nim zdążyła cokolwiek powiedzieć,

wyszarpnął je z kasetki, zostawiając tylko dyndające przewody. Potem rzucił je na tylne siedzenie.

- Dobra robota - zwrócił się do niej. - Dzięki, że mi przypomniałaś.

Wrócili na drogę. Stopniowo, ale zdecydowanie nabierali szybkości, przemierzając trasę US 84. Szosa 84 musiała się jednak wydać Lyle'owi zbyt zatłoczona, bo wkrótce zjechali z niej i skierowali się na północ jakąś boczną drogą. Nie było na niej żadnego ruchu, po obu stronach rozciągały się pola. Otworzywszy usta, Didi wdychała powietrze. Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że jest chłodne. Samochód miał klimatyzację. I co z tego? I tak płonęła. Zgarnęła odrobinę wilgoci, która zebrała się na jednym z wywietrzników, i włożyła palce do ust. Czy to coś pomogło? Z sercem niezdolnym już do odczuwania czegokolwiek modliła się za zmarłego policjanta, leżącego teraz na polu, zabitego strzałem w twarz. Jego żona pewnie gotuje właśnie w domu chili i czeka na powrót męża z pracy. Odejdź, chrześcijańska duszo, z tego świata. Obyś dziś zaznała pokoju i znalazła miejsce spoczynku w Niebiosach. Amen.

Lyle przekroczył sto czterdzieści na godzinę.

19.00

Na komisariacie w Waco Rich i Scott siedzieli naprzeciwko siebie przy biurku szeryfa. Agent spytał Wooda, czy chce coś zjeść, ale ten nie był głodny. Lokalna stacja radiowa nadała kolejną informację o porwaniu Didi. Scott natychmiast połączył się z Raulem, po czym przez parę minut gratulowali sobie sukcesu i wysokiej pozycji komunikatu w wiadomościach.

- Nie odpuszczaj im, nadal wywieraj presję - powiedział Somerville, zanim się rozłączył.

- Słuchaj - zwrócił się do Rich, gdy agent skończył rozmowę ze zwierzchnikiem - czy nie za wcześnie na klepanie się po plecach? Przecież jeszcze ich nie znaleźliśmy.

- Wiem, ale znajdziemy. Mówiłem ci. Mam wspaniałe wyniki.

- W czym?

- W tym. W łapaniu sukinsynów. Porywaczy - dodał, widząc pytające spojrzenie Richa.

Ten poczuł, jak zalewa go gorąca fala gniewu.

- Jeszcze go nie znaleźliśmy, Scott.

Rozległo się pukanie do drzwi i agent poszedł otworzyć. Przechodząc obok Richa, poklepał go po ramieniu.

- Nie przejmuj się i zostaw to mnie. Ja się wszystkim zajmę. Rich uchylił się przed kolejnym klepnięciem i bez słowa patrzył, jak tamten bierze kanapkę od Arby'ego.

Powinien zadzwonić do domu i znowu porozmawiać z dziewczynkami. Robiło się późno, lecz nadal nie nastąpił żaden przełom. Przestępca nie skontaktował się z nimi. Rich nie miał matce nic do zakomunikowania. Co jej powie? Od ostatniej rozmowy dowiedział się wyłącznie tego, że Lyle Luft jest nie tylko porywaczem, ale i mordercą. Czy ów fakt podniesie na duchu matkę? Czy pocieszy córeczki? Biedna Manda. Pewnie musiała zjeść kanapkę, jedyne danie, które

babcia jako tako potrafiła przyrządzić. Oby matka pomogła jej w odrobieniu lekcji. Nieważne, najwyżej jutro nie pójdzie do szkoły. Jeśli to nie usprawiedliwi jej nieobecności, to co?

Potem Rich zaczął się zastanawiać, co dzieje się teraz w domu. Siedzą, czekając na telefon, a ja nie dzwonię, bo nie mam nic do zakomunikowania. Zapewne wrócę do domu bez Didi i wtedy będę musiał im coś powiedzieć.

I co powiem? Co mogę im powiedzieć? Czy coś rozumieją? Co nie doprowadzi ich do szaleństwa?

Co mnie nie doprowadzi do szaleństwa?

Pragnął jedynie usłyszeć Didi, zapewniającą go, że jej ani dziecku nic nie grozi. Wtedy mógłby zadzwonić do domu i nie okłamywać dziewczynek. Mógłby powiedzieć, że mama dobrze się czuje. Oczywiście, pojawiłyby się inne problemy, na przykład, skąd wytrzasnąć pieniądze na okup. Ale zdobyłby je. Zwróciłby się do właściciela przedsiębiorstwa i poprosił, żeby ten wyłożył żadaną sumę, a potem drastycznie obciął mu pensję, dopóki Richard nie spłaciłby długu.

Sukinsyn nie dzwoni. Porwał Didi, zabił człowieka, sprzedał samochód i obrączkę, a potem zniknął i teraz jedzie gdzieś sobie, ucieka od Richa, podczas gdy on musi czekać w miejscu. Nie uczestniczył w polowaniu. Jedyne łącznik między Richardem Woodem a Lyle'em Luftem i jego ofiarą stanowiły nerwowe komunikaty, nadawane co kwadrans, ostrzegające mieszkańców Teksasu, że żonę Richa uprowadzono, a jej porywacz jest uzbrojony i niebezpieczny.

Oprócz oczywistego lęku o Didi, coś jeszcze nie dawało Richowi spokoju. Nie tyle ból, ile gniew. I to nie gniew, zwrócony przeciwko żonie czy jej porywaczowi. Rich złościł się na kogoś innego; siedząc teraz i patrząc, jak Scott pochłania kolejną kanapkę z pieczeniową wołową, czuł, że już dłużej nie wytrzyma, nie może dalej milczeć. Wstał.

- Scott, zadzwoń do Raula i każ mu przerwać nadawanie komunikatów o porwaniu Didi.

- Dlaczego? - spytał agent z pełnymi ustami.

- Bo to do niczego nie prowadzi.

- Wierz mi - uśmiechnął się Scott, nie przestając przeżuwać. - To niezawodna metoda. Złapiemy tego drania.

- Widzisz - nie ustępował Rich, podchodząc do biurka - właśnie w tym nie możemy się porozumieć. Nie wątpię w twój profesjonalizm, ale co ty sobie właściwie wyobrażasz, do cholery? - Miał wrażenie, że dostał gorączki, bo cały się trząsał.

- Gównu mnie obchodzi, czy złapiesz tego sukinsyna. Teraz ty mi uwierz: mówię poważnie. To mnie najmniej obchodzi. Dla mnie liczy się wyłącznie, by moja żona z dzieckiem wrócili do mnie cali i zdrowi. A moim zdaniem twój pościg za tym „draniem”, jak go nazywasz, wcale do tego nie zmierza. Wydaje mi się, choć może się myłę, że masz głęboko w dupie, czy Didi wróci żywa, ciebie interesuje wyłącznie schwywanie porywacza. Dlatego mówię ci: natychmiast dzwoń do Raula i powiedz mu, żeby przerwał już nadawanie tych idiotycznych komunikatów. Luft może spanikować i zrobić jej krzywdę. I tylko to powinno cię obchodzić. Nie żarcie tej pieprzonej kanapki, choć na pewno jesteś głodny, ani nie złapanie owego „drania”, choć na pewno bardzo by cię to ucieszyło, ale wyrwanie ciężarnej kobiety z jego rąk - żywej. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Agent na moment przerwał jedzenie, lecz natychmiast do niego wrócił.

- Widzę, że jesteś wzburzony. Pogadamy później, gdy już ochłoniesz.

- Nie. - Podniósł głos. - Pogadamy teraz.

- Posłuchaj, nie będę z tobą dyskutował, gdy jesteś taki...

- Jaki? - wydarł się Rich. - Jaki? Niezrównoważony? Niepoczytalny? Wściekły? Przerażony jak jasna cholera? Jaki,

człowieku? Powiedz mi, jak powinienem reagować? Tak jak ty?

Scott wstał.

- Nasze metody i stacje radiowe to nasi sprzymierzeńcy, nie wrogowie, rozumiesz? Naszym nieprzyjacielem jest Lyle Luft. Wiem, że ogarnia cię gniew na myśl o nim, ale...

- Tu się mylisz! W tym momencie czuję gniew na myśl o tobie! Nic do ciebie nie dociera? Nie rozumiesz, że jeśli usłyszy komunikaty policji, spanikuje? Uzna, że został osaczony.

- Nie - odparł Scott. - Wyłączy radio. A potem ogarnie go przerażenie i to dobrze. Ci dranie nieodmiennie zaczynają się bać. I wtedy popełniają błąd. Będzie musiał zatankować. Albo wejdzie do sklepu, albo twoja żona będzie musiała skorzystać z toalety. Lub też on sam zgłodnieje. Wystarczy jeden telefon od przypadkowego przechodnia, a dorwiemy sukinsyna.

Rich próbował się wtrącić, ale Scott mu przerwał:

- Wiem, że jesteś wzburzony i doskonale to rozumiem...

- Odwal się ode mnie! Gówno rozumiesz!

- Posłuchaj! Musisz sobie uświadomić, że mamy określone metody działania, standardową procedurę i właśnie zgodnie z nią teraz postępujemy.

- Ach, więc dla ciebie to standardowa procedura? - wybuchnął Rich. - Wiesz co? Dla mnie nie. A skoro to standardowa sytuacja, to dlaczego porywacz jeszcze nie zadzwonił? Wy tłumacz, jak to się dzieje, że nie skontaktował się z nami i nie przedstawił swych żądań? Czy to również standardowe zachowanie?

- Nie, odrobinę zaskakujące - przyznał Scott - ale właśnie tak zwykle wyglądają nasze metody pracy przy porwaniach i na ogół okazują się skuteczne.

- Na ogół skuteczne, tak? Chwaliłeś się, ilu porywaczy udaje ci się schwytać, ale nie mówiłeś, ilu zakładników uchodzi z życiem.

Tamten na chwilę umilkł.

- Jak to? - zapytał w końcu.

- Co: jak to? Czego nie zrozumiałeś? Twierdziłeś, że łapiesz dziewięciu na dziesięciu porywaczy. A ile z ich ofiar, przy waszej standardowej procedurze, wraca żywych do domu?

- Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Są różne rodzaje uprowadzeń.

Zaniepokojony, przerażony Rich, przeczuwając najgorsze, obszedł biurko i stanął przed Scottem.

- Przestań mi robić wodę z mózgu. Powiedz, ile.

- Nie wiem. W sytuacjach tego rodzaju...

- Ile? - ryknął Wood.

- Kurwa mać! Dwadzieścia procent, dobra? Wypuścił długi, urywany oddech.

- Dwadzieścia procent? - powtórzył przerażony Richard. - Dwadzieścia procent zakładników nie wraca żywych?

- Nie - odparł tamten, patrząc na swoją niedojedzoną kanapkę i wrzucił ją do kosza. - Odbijamy dwadzieścia procent.

Wood aż się cofnął.

- Więc... tracie osiemdziesiąt procent? - szepnął. Agent nie odpowiedział.

Rich zaczął się trząść. Zacisnął pięści i z całej siły uderzył Scotta w twarz.

- Ty sukinsynu! - wrzeszczał. - To ty jesteś draniem, nie on! Jak mogłeś to przede mną ukryć!

Czarny mężczyzna zachwiał się, lecz nie przewrócił. Schwycił Richa za barki i mocno odepchnął.

- Co ty wyprawiasz?

Ale na jego twarzy malowało się to samo, co czuł Wood: wstyd, poczucie winy, strach. Agent był bezsilny i zdawał sobie z tego sprawę.

- Scott! - krzyczał Rich. - Scott, mówisz mi, że jeśli postępujecie zgodnie z waszymi procedurami, cztery ofiary na pięć giną? Boże! Natychmiast dzwoni do Raula! Już! I zakaz podawania komunikatów! Słyszałeś? Zrozumiałeś? Jeśli na skutek waszych działań moja żona umrze, osobiście cię zabiję.

Pocierając szczękę, agent ruszył do drzwi, ale zatrzymał się i powiedział chrapliwie:

- Nie gniewam się na ciebie. Wiem, że cierpisz.

- Nie wiesz - odparł ostro Rich, odpychając go. - Nawet nie masz pojęcia. Ale to nic takiego, bo ja gniewam się za nas dwóch.

Już stojąc przy drzwiach, Somerville obejrzał się na niego.

- Porozmawiam z naszym ulubionym szeryfem. Chyba jednak już za późno na odwoływanie komunikatów radiowych. Nadają je od dwóch godzin, wszystkie stacje radiowe i telewizyjne znają sprawę, mówi się o niej w wiadomościach. Będą nadawać tę informację, dopóki Lyle Luft nie zostanie schwytany.

Rich milczał, próbując odzyskać oddech.

- Skoro aż tak cię to denerwuje, dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś? - zapytał agent. - Czemu milczałeś o wpół do piątej, kiedy jeszcze można było coś zrobić?

- Mam jedno pytanie - odezwał się Rich drżącym głosem. - Które to twoje porwanie? Pierwsze?

- Skąd! - zaperzył się Scott. - Zajmowałem się już trzynastoma takimi sprawami.

- Ale tej możesz nie wygrać. Dlatego nie unieś się dumą i nie stawiaj. Cóż, dla mnie to dopiero pierwsze porwanie. I oby ostatnie! Nie zajmuję się tym zawodowo, to nie jest mój chleb

powszedni. Dlatego nie pomyślałem o tym o wpół do piątej - zakończył, waląc pięścią w stół.

Uświadomił sobie, że od kiedy uderzył Scotta, nie otworzył zaciśniętych w pięści dłoni i teraz próbował to zrobić. Palce z trudem się wyprostowały.

- W porządku, stary - powiedział cicho agent.

- Ja nie pomyślałem - głośno ciągnął Rich - ale ty powinieneś być na to wpaść. Ponoć jesteś świetny w te klocki.

- Jestem dobry.

- Chyba źle wyznaczyłeś sobie cel. Mój jest jasny. I jeśli po zakończeniu tej sprawy nie trafię do wariatkowa, to przeczytam wszystko, co napisano na temat uprowadzeń, żeby następnym razem lepiej się spisać.

- Nie będzie następnego razu. To zdarza się raz w życiu.

- Na pewno gdzieś w tych waszych durnych podręcznikach FBI jest wzmianka, że najważniejsze to odzyskać zakładnika żywego. Chyba w ramach tego całego szkolenia w Quantico nie ograniczaliście się do włożenia na drzewa, czy co tam jeszcze robicie. A nie pojmuję, jak możecie uwolnić ofiarę żywą, jeśli grozicie porywaczowi. Będzie się czuł schwyty w pułapkę i osaczony. A kiedy uzna, że znalazł się w ślepym zaułku, zabije moją żonę, dziecko, a na końcu siebie. - Rich nawet nie próbował ocierać łez, spływających mu po policzkach. - Ty zaś wrócisz do domu i położysz się spać.

Scott przysiadł na krawędzi biurka, tuż obok niego.

- Przepraszam - powiedział, nie patrząc Woodowi w oczy.

- Rozlicza się nas z ilości ujętych przestępców. Tak samo jak prokuratorów okręgowych ocenia się na podstawie liczby wyroków skazujących. Czasem zapominam, co jest moim podstawowym zadaniem.

- Jak możesz? - słabo zapytał Rich. - Przecież wiesz, o jaką stawkę idzie gra?

- Jeśli na skutek moich decyzji twoja żona zginie, złożę rezygnację. - Agent wyciągnął rękę i mocno uściskał Richowi dłoń.

- Nie składaj rezygnacji, tylko uratuj Didi. Scott wyszedł. Potem wrócił, usiadł i milczał. Czekali.

O wpół do ósmej zadzwonił telefon. Somerville przez chwilę uważnie słuchał, a potem rzucił słuchawkę i zerwał się z krzesła.

- Idziemy - powiedział z napięciem. - Znaleziono pikapa Smokeya.

*

Helikopter ryczał, śmigło już się kręciło na pełnych obrotach. Rich chciał wsiąść, lecz Scott kazał mu poczekać.

Zdjął koszulę oraz krawat i stał teraz na parkingu nagi do pasa, grzebiąc w torbie. Wir powietrza porwał krawat, a Richard w ostatniej chwili uratował koszulę agenta. Ten coś krzyknął, ale Wood nie słyszał, więc przysunął się bliżej.

Scott wyjął z torby czarną koszulę i włożył ją szybko. Rich zauważył, że mężczyzna jest potężnie zbudowany. Całe szczęście, że nie zdenerwował go swoim ciosem. Rich nabrał sympatii do agenta, gdyż wiedział, że ten go rozumie. Teraz działali ramię w ramię.

- Włóż to! - Scott przekrzyczał warkot śmigłowca i podał swemu towarzyszowi czarną kamizelkę.

- Co to jest?

- Kamizelka kuloodporna. Wkładaj! - A ty?

- Mam drugą!

Wyjął większą, czarną, osłaniającą także łądźwie.

- Hola...! - zawołał Rich.

- Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma! Wkładaj tę, którą ci dałem i uważaj, żeby się nie wystawiać na strzał poniżej pasa.

Agent zdjął spodnie koloru khaki i włożył czarny dres, a potem kamizelkę kuloodporną. A na nią kolejny element wyposażenia: jeszcze jedną kamizelkę z nabojami.

Po minucie byli już w powietrzu.

- Co w niej jest? - spytał Rich o wierzchnią kamizelkę.

- Lepiej spytaj, czego nie ma. Mam tu chustkę na głowę, dwie pary kajdanków, metalową pałkę, zapasowe magazynki do kolta i glocka, i jeszcze do H&K, statyw do karabinu maszynowego oraz parę ręcznych granatów.

- Aha. Ale samej broni nie.

- I tu się mylisz.

Scott sięgnął pod fotel i z jednej z czarnych toreb wyciągnął pistolet. Na Richu nie zrobił on większego wrażenia - był jakiś taki lekki, ale okazało się, że to dziesięćmilimetrowy glock 17. Scott wyjaśnił, że to jeden z najlepszych pistoletów automatycznych, standardowe wyposażenie FBI.

- Co znaczy to siedemnaście?

- Że w siedemnastu procentach jest z plastiku.

- Plastikowy pistolet? - spytał zdumiony Rich. - Kule też są z plastiku?

- Spokojna głowa - zapewnił go Scott. - Najważniejsze części są metalowe.

Boże, ależ skwar. Agent bardzo się pocił. Wyjął czarną chustkę, wytarł nią czoło, a potem zawiązał na głowie.

- Wszystko gra - stwierdził. - Czuję się tu jak w klimatyzowanym pomieszczeniu. Gdybym nie mógł wytrzymać odrobiny upału, jaki byłby ze mnie agent FBI?

- Sądziś, że są w tym samochodzie? - spytał Rich, bojąc się odpowiedzi.

- Nie. W raporcie powiedziano: pusty pikap. Przypuszczam, że ponownie zamienili samochody.

- Ale jak? Skąd by wzięli kolejny wóz?

- Nie mam pojęcia. Może komuś skończyło się paliwo albo złapał gumę. Porywacz mógł kogoś sterroryzować, zabić i w ten sposób zdobyć nowy pojazd. Przekonamy się na miejscu. Ale lepiej się przygotować.

Richowi było niedobrze z napięcia. Znaleźli toyotę. Nie powiedzieli, czy była w niej jego żona. Czy to dobrze? A może bardzo źle?

- Wyjaśnij mi - odezwał się chrapliwie do Scotta. Po tym, jak ryczeli do siebie pod śmigłowcem, teraz własny głos wydał mu się słaby. - Dlaczego zmieniłeś też i spodnie? Nie mogłeś włożyć kamizelki kuloodpornej i tej drugiej na tamto ubranie?

- Jest parę powodów - odparł agent. - Po pierwsze... Nie chciałem, żeby zbierało ci się na mdłości, gdybym został postrzelony i widziałbyś, jak krwawię na nieskazitelnie białą koszulę.

Wood już zamierzał go zapewnić, że nic takiego by się nie stało, ale uznał, że to by zabrzmiało jak bufonada.

- A po drugie - ciągnął Scott - te rzeczy są uszyte z BDU, tkaniny ognioodpornej.

- Spodziewasz się pożaru? - spytał Rich.

- Wiesz, jak brzmi moje motto? Zapożyczyłem je od skautów: „Bądź przygotowany”. - Zawiesił głos. - W moim zawodzie to ubiór na każde warunki i każdą sytuację, nie tylko dla Lyle'a Lufta.

Rich myślał. Chciał słuchać Scotta, pragnął, by dalej mówił. Uzbrojenie, gotowość i ten strój trochę podnosiły go na duchu.

- Przepraszam za swoje wcześniejsze zachowanie.

- Nic się nie stało - odparł jego towarzysz. - Poczciwa ze mnie dusza. Inaczej podpadłbyś pod ciężkie paragrafy. Jak to było? „Groźenie śmiercią agentowi federalnemu, napaść z zamiarem poważnego uszkodzenia ciała...”.

- Wcale nie poważnego - odparł lekko Rich. - Na wszelki wypadek nie dam ci broni. Dziś mógłbyś zbyt ochoczo naciskać spust.

- Skoro o broni mowa - jeśli ten Glock stanowi wasze standardowe wyposażenie, dlaczego nie miałeś go przy sobie w Dallas? Dlaczego został w torbie w bagażniku?

Scott wzruszył ramionami.

- Wolę tradycyjne podejście do broni palnej. Uważam, że jeśli ktoś dobrze strzela, nie potrzebuje wielu kul. Dlatego noszę kolta czterdziestkępiątkę. To dobra splota, ale góra uznała, że czyni za małe szkody.

- Czyli? Zostawia za małą dziurę? - spytał drwiąco Rich.

- Owszem - odparł ze śmiertelną powagą Scott.

*

Po kilku minutach znajdowali się na wschód od Goldthwaite na trasie 84, niedaleko Center City, które bynajmniej nie zasługiwało na nazwę miasta, gdyż stanowiło tylko mały punkcik na mapie. Scott polecił lokalnej policji zablokować drogę półtora kilometra na wschód i zachód od miejsca znalezienia toyoty. Śmigłowiec wylądował na szosie tuż obok wozu patrolowego z dwoma policjantami.

- Chryste, a gdzie moi ludzie? - ryczał agent ze śmigłowca. - Dzwoniłem po nich przed kwadrans! Gdzie się podziali?

Jeden z policjantów wzruszył ramionami.

- Pewnie są w drodze. A na razie my możemy pomóc.

Scott machnął do pilota, żeby wyłączył silnik. Kiedy już można było normalnie rozmawiać, zmierzył wzrokiem mówiącego.

- Masz kamizelkę kuloodporną? Mężczyzna przecząco pokręcił głową.

- A twój partner? Też nie.

- Co zamierzacie zrobić? - ryknął Scott. - Powstrzymać kulę własną pierśią? Rich, ściągnij kamizelkę! - Potem dał ją jednemu z policjantów. - Później się pokłócicie, kto będzie ją nosił jako drugi, teraz chodźcie ze mną.

Policjanci zachowywali się, jakby go nie słyszeli. Richard nie był w stanie wysiąść z helikoptera.

- Chodź! - krzyknął agent.

Wood pokręcił głową i nie ujął wyciągniętej dłoni. Czekał w śmigłowcu. Nie chciał zaglądać do pikapu, zaparkowanego na poboczu. Za bardzo się bał tego, co może tam zobaczyć. Odwrócił się w drugą stronę.

Wrócił Scott.

- Chodź! - zawołał znowu. - Nie ma ich tam! Rich wyskoczył i podbiegł do wozu.

- Czekaście! - powiedział Somerville. - Na drodze jest krew. Policjanci dokładniej przyjrzeni się nawierzchni szosy.

- To nie krew - stwierdził jeden z nich.

Wood zauważył przy białej linii pobocza plamę, po której przejechało wiele samochodów.

- To nie krew, tylko jakaś zwykła plama.

- Zwykła plama? - powtórzył Scott. - Nie, nie plama, tylko krew. Policjanci ponownie obejrzeni to miejsce, a jeden z nich pokręcił głową.

- Coś wam wyjaśnię powiedział agent. - Ścigamy niebezpiecznego przestępcę. Zabił już z zimną krwią jednego człowieka. Tu stoi samochód, którym uciekał. - Pokazał toyotę. - W takiej sytuacji jeśli widzę coś, co przypomina plamę krwi, zdrowy rozsądek podpowiada mi, że to rzeczywiście krew. Z pewnością nie jest to sok rozlany na podłodze w kuchni.

Rich podszedł do pikapu. Scott przyjrzał się asfaltowi.

- To nie tylko jedna plama - podjął - ale cały ślad krwi, znikający gdzieś w polu. Wy dwaj idźcie... Nie, czekajcie - zmienił zdanie, spojrzawszy przed siebie.

Rich oderwał wzrok od samochodu.

- Co się stało?

- Lepiej tam się nie zapuszczać. Jest nas za mało. Na Boga, gdzie moi ludzie? A jeśli porywacz ukrył się tam gdzieś z twoją żoną?

Richard pobladł.

- Krew na drodze nie należy do mojej żony - oświadczył.

- Skąd wiesz?

Nie potrafił wyjaśnić, ale powtórzył, że to nie jej krew. Nie, Didi nie umarła w Center City. Ani na drodze, ani na polu. Nie zginęła na szosie, jej ciała nie zawleczono na ugór. Nie, to nie jego żona.

- Chodźmy! - ponaglił ich. - Natychmiast. Nie będę czekał ani minuty dłużej. Może ten łotr gdzieś tam ją przetrzymuje.

- Powoli, momencik - zatrzymał go agent, kręcąc głową. - Ściągnę posiłki. Nic mnie nie obchodzi, mogą mi przysłać bandę gamoni, ale potrzebujemy pomocy. Mamy samochód porywacza, lecz jego samego nie. Gdzie mógł się podziać? Zapewne uciekł z kobietą do tego lasu za polem. Tam się ukrył. Ja też bym się schronił w lesie, z dala od otwartej przestrzeni.

Richard poczuł, że nogi się pod nim uginają, ale wyprostował się i powiedział:

- Ja nie czekam. Idziesz ze mną, czy nie? Scott chwycił go za ramię.

- Wszystko będzie dobrze, Rich. Proszę, pozwól mi wykonywać moją pracę - mitygował go cicho. - Zostań tu.

- Nie.

Wyrwał się z jego chwytu, przeskoczył przez rów i ruszył po śladzie krwi. Agent popędził za nim, przywołując do siebie policjantów.

- Czeka! - wołał za Richem. - Czeka, do diabła! Czyś ty oszalał? Nie odpowiedział. Nie obchodziły go logiczne argumenty. Słyszał za sobą kroki Scotta i dwóch policjantów. We czterech biegli obok pasa wygniecionej trawy.

Rich podążał tym tropem. Nagle zatrzymał się i jęknął. Sądził, że przeżył szok, lecz to nie szok odczuł, tylko ulgę. W rowie, twarzą do góry, leżało na wpół nagie ciało. Ale nie Didi. Wood błagał Boga o wybaczenie, jednak ulga nadal go nie opuszczała. Połowę twarzy mężczyzny rozszarpała kula. Szkliste oczy ślepo wpatrywały się w bezchmurne, upalne niebo. Nie żył.

Scott dogonił Richa i spojrzał na ziemię. - Sukinsyn. O, przeklęty sukinsyn!

Teraz przybiegli policjanci. Jeden z nich spojrzał na zabitego mężczyznę.

- To Ernie! - wykrzyknął. - Boże, to Ernie!

Wszyscy czterej wpatrywali się w rów. Scott położył wstrząśniętemu policjantowi dłoń na ramieniu.

- Współczuję, stary. Wracajmy, ściągniemy karetkę, chociaż on i tak nie żyje. Żonaty?

- Tak. Chryste, rok temu byłem na jego weselu. Żona Erniego, Ellen, spodziewa się dziecka. Co ja jej powiem?

Policjanci zostali przy ciele kolegi, a Rich i Scott wolno wrócili na szosę.

- Dlaczego był nagi? - spytał cicho Wood.

- Bo ten skurwiel zabrał mu ubranie.

- Sądzisz, że gdzieś tu się zaszył?

- Nie. Zniknął wóz patrolowy Erniego. Luft ponownie zmienił samochód.

Kiedy znaleźli się na drodze, agent poszedł do radiowozu i skontaktował się z punktem dowodzenia. Tymczasem Rich otworzył drzwi toyoty. Zdumiewała go własna słabość. Musiał przytrzymać się samochodu. Przeżył moment ulgi, a gorące powietrze niemal ostudziło strach, ale teraz, gdy otworzył drzwiczki i zobaczył wewnątrz pikapu, zebrało mu się na mdłości.

Toyota pachniała balsamem Didi.

Innymi rzeczami też. Potem, wymiocinami i jeszcze czymś, bardziej drażniącym. Brudem, smarem... Ale mimo tego wszystkiego Rich Wood wyczuwał woń żony. Jej perfumowane mleczko kosmetyczne dominowało nad smrodem starego samochodu.

Na siedzeniu pasażera i drzwiczkach oraz rączce z tamtej strony zostały ślady krwi. Rich dotknął ich - jeszcze nie zaschła i pobrudziła mu palce. Odsunął się od samochodu. Na trawie leżała szmata. Podniósł ją - była wilgotna od krwi. Czy to mojej żony? - pomyślał. Zanurzył twarz w zaplamiony, wysmarowany olejem gałgan, na którym pozostał ślad życia Didi.

- Didi - wyszeptał, z trudem powstrzymując się od krzyku
- gdzie jesteś? Gdzie?

Pole było puste, wypalone. Porastała je tylko szarozielona, niska trawa, bez żadnych kwiatów. W tym upalnym krajobrazie, pod rozpalonym słońcem nie poruszało się nic z wyjątkiem dłoni Richa, przytulających szmatę do twarzy i piersi.

Podszedł do niego Scott.

- Co to jest? - spytał, patrząc na brudny gałgan, a potem na Wooda. - Co ty wyprawiasz?

Nie odpowiedział.

- Gdzie moja żona? - szepnął. - Co powiem córkom, jeśli umrze, jeśli on ją zabije? Co?

Agent delikatnie pociągnął go za rękę.

- Chodź, stary, musimy iść. Porozmawiamy w helikopterze. Rich wolno ruszył za nim.

- Dokąd lecimy?

- Nie wiem. Na zachód stąd.

Pilot zapytał o kierunek lotu, Scott zaś spytał, gdzie jest najbliższe duże miasto. Lotnik odparł, że albo San Angelo, albo Abilene, oba ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- Dobra - zdecydował Scott. - Lecimy do San Angelo.

*

Kiedy już byli w powietrzu, agent powiedział:

- To musiało wyglądać tak: policjant ich zatrzymał, Luft go zabił, zaciągnął ciało na pole i przebrał się w mundur. Zabrał radiowóz. Teraz trudniej go zidentyfikować, a przy tym jest lepiej uzbrojony.

Rich milczał, gdyż nadal dręczyły go wyrzuty sumienia, że na widok zabitego mężczyzny odczuł tylko ulgę. Martwił się jednak. A krew na ścierce? Może należała do zabitego gliny? Ale jakim cudem? Luft pewnie zabił go, gdy ten stanął przy oknie od strony kierowcy, a Rich znalazł gałgan przy drzwiach pasażera. Czyli była to szmata Didi. Ściskając kawałek brudnego materiału, Rich myślał: strasznie dużo tej krwi. Czyżby porywacz ją postrzelił? A może zaczęła rodzić? Obie myśli napełniły go przerażeniem i nie znalazł żadnej pociechy.

Scott, znowu wisząc na telefonie, wydawał rozkazy i wydzierał się na policjantów z Waco, że nie przysłali wsparcia, kiedy go potrzebował. Teraz rozmawiał z agencją FBI w Abilene - w San Angelo nie było filii - wydając polecenie, by jak najliczniejsze grupy szybkiego reagowania czekały w pełnej gotowości. Zadzwoił też do Raula i poprosił o przetrzucenie ludzi z Dallas do Abilene. Następnie skontaktował się z komendą policji w San Angelo. Potem

znowu połączył się z Waco, żądając, by wszystkie śmigłowce patrolowały główne trasy od Center City po El Paso w poszukiwaniu zabranego radiowozu.

Rich spytał, jak oddział szybkiego reagowania dostanie się do San Angelo. Samolotem?

- Oni? Nie, tylko prezydent lata samolotem. Oni mają sprzęt w bagażnikach. Tak samo jak ja. Jadą samochodami.

- Boże miłosierny! Równie dobrze moglibyście ich posłać na rowerach albo pieszo! Za nic nie zdążą na czas.

- Rich, oni będą w San Angelo za godzinę. Odczekał, aż agent skończy rozmawiać.

- Nie macie odrzutowca albo czegoś w tym rodzaju?

- Owszem, w Quantico. Jest tam oddział ratowników ofiar porwania i w każdej chwili mogą wyruszyć na pomoc. Ale szczerze powiedziawszy... jeśli nie wystarczą nam trzy setki agentów, stacjonujących w Teksasie, to chyba nic już nie pomoże. W końcu ścigamy jednego człowieka... Naprawdę...

Umilkli i przez dziesięć minut słyhać było tylko ogłuszający warkot śmigłowca.

- Więc co zrobimy? - spytał wreszcie Rich. Scott milczał.

Rich pochylił głowę.

- Jesteśmy zupełnie bezradni - ciągnął. - Poruszamy się po omacku. Gdybyśmy mieli o nim więcej informacji, pewnie łatwiej byłoby nam odgadnąć, dokąd jedzie i co zamierza. Niedługo zapadnie zmrok i wtedy już w żaden sposób go nie odnajdziemy. - W jego głosie zabrzmiała nieskrywana rozpacz. - Skoro ma jakiś plan, zyska całą noc na jego wykonanie. A nawet jeśli nie ma planu, to zyskuje dziewięć godzin jazdy. Ponad dziewięćset kilometrów. Tym radiowozem może dojechać nawet do Arizony.

- Nie - odparł Scott. - Nie tym radiowozem. To samochód patrolowy. Nie wyjedzie nim poza Teksas. A gdyby to zrobił, będzie się rzucał w oczy zupełnie jak palma w Kanadzie.

Rich umilkł. Agent otworzył usta, ale natychmiast je zamknął.

- Co? Co chciałeś powiedzieć? - spytał Rich. Tamten jednak milczał.

- Sądzisz, że nie zamierza wyjechać poza granice stanu? Agent wolno pokręcił głową.

- Sądzę, że nie zamierza wyjechać tym samochodem poza granice stanu.

- Czy to dobrze, czy źle?

Rich bacznie przyglądał się Scottowi. Nie podobał mu się wyraz jego twarzy, więc odwrócił wzrok.

Somerville nic nie mówił, a on już dalej nie nalegał.

- Musimy dowiedzieć się o nim czegoś więcej - odezwał się Rich po kolejnych hałaśliwych dziesięciu minutach. - Co na razie mamy? Że mieszkał w Garland i nigdzie nie pracował. To cholernie mało. Skąd pochodzi? Czy odsiadywał jakiś wyrok...?

- Nie przypuszczam, bo nie był notowany. Nie mamy w archiwach jego odcisków palców. Nigdy nie wypełniał zeznania podatkowego.

- Nigdy? - Richowi nie mieściło się to w głowie.

- Urząd skarbowy nie ma o nim żadnych informacji. Podejrzewam, że pracował tylko dorywczo i dostawał wypłatę gotówką. Nigdy nie podpisał umowy o pracę.

- Może - zastanawiał się Rich - pomylił moją żonę z kimś innym, bogatym?

- Niewykluczone - przyznał Scott. - Ale wiemy, że nie zachowuje się jak typowy porywacz, pragnący okupu. Nie zaszył się w jednym miejscu. Podróżuje, jakby podążał do jakiegoś celu. Zastanów się, gdyby mu chodziło o pieniądze, po tym, jak zastrzelił właściciela stacji benzynowej, mógł się zatrzymać w dowolnym motelu i zadzwonić z budki albo użyć waszego telefonu komórkowego. Nie próbowałby się go

pozbyć. Wykorzystałby go do skontaktowania się z tobą i zażądania okupu.

- Skoro nie chodzi mu o forszę, to o co? Możemy spróbować dać mu wszystko, czego zażąda. - Głos mu drżał.

Scott patrzył na krwistoczerwone słońce.

- Moim zdaniem - odparł zamyślony - już ma to, czego chciał.

19.15

Didi i Lyle jechali w milczeniu wozem patrolowym. Didi bolała brew i czuła, jak puchnie jej twarz. Jeszcze trochę, a całe oko zniknie pod opuchlizną, pomyślała. Ten ból sprawiał, że nie widziała wyraźnie. Krwawienie ustało, ale to wcale nie poprawiło jej stanu. Wcześniej, gdy z rany lała się krew, nie bolało. Teraz utworzył się strup i Didi miała wrażenie, że setki igieł przeszywają prądem jej łuk brwiowy. Nie mogła otworzyć powieki. Grzbietem prawej dłoni przyciskała skroń, próbując zmniejszyć ból, ale to nic nie pomagało.

Cienie się wydłużały, słońce płonęło coraz głębszą czerwienią. W pewnym momencie Lyle zawrócił i skierował się na południe. Dotarłszy znowu do trasy 84, skręcił w prawo i trzymał się jej, dopóki szosa się nie rozdzieliła w prawo i lewo. Wtedy nie skręcił, tylko ruszył prosto w niewidoczny, praktycznie nieubity, polny trakt. Wokół majaczyły pola i jakaś opuszczona droga - Didi nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Nie potrafiła nawet określić, czy to jeszcze Teksas. Nawierzchnia była z ciemnego, a nie jasnego piasku, czyli nie ujechali daleko na zachód. Prawdopodobnie znajdują się gdzieś w rejonie Wielkich Równin. Kolory Teksasu to brąz sepii i blask słońca na nieruchomych polach. Didi otworzyła usta, by złapać powietrze w nadziei, że jakaś zabłąkana kropelka wody osiadzie jej na języku.

Nadal podążali na zachód. Zdawała sobie sprawę, że po zmroku jeszcze trudniej będzie jej określić położenie. Nie widziała żadnych znaków drogowych.

Dziecko kopnęło.

Zbliżam się do piekła, pomyślała.

Najpierw jechała do piekła zniszczonym fordem kombi i było to straszne.

Potem jechała do piekła zniszczoną toyotą półciężarówką i było to okropne.

Teraz zaś pędziła prosto do piekła nowiusieńkim wozem policyjnym. To właściwie bez znaczenia. Z jednym wyjątkiem: radiowóz ma klimatyzację.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś piła. Oto jej piekło: mieć w nieskończoność wysuszone usta. Czubkami palców prawej ręki musnęła wargi. Były nabrzmiałe i popękane, zaschła na nich krew, a w kącikach czuła otwarte rany. Oblizywała usta, ale nie miała ani odrobiny śliny. Próbowwała ją przełknąć, lecz nie było czego. Gdyby tylko mogła zmniejszyć ból, który na dobre zagościł w gardle. Ból pragnienia, ból strachu, ból nadchodzącego kresu życia. Nic.

W domu była to pora kładzenia dziewczynek spać. Didi myślała o tym, jak siedzi w obszernym, kremowym fotelu przy Reenie, czyta jej książkę, a na końcu każdej bajki przytyka córeczce od ust kubeczek i pyta: „Mleka”, a Irene odpowiada: „Tylko nie mleko. Wykluczone. Nie chcę”.

Teraz Didi mówiła: tak, mleko, tak, błagam, tak, dla mnie.

Zerknęła na Lyle'a. Nie odlatywał, oczy nie błyszczały mu nienaturalnie. Na jego twarzy malowała się determinacja. Obiema rękami ścisnął kierownicę. W za luźnym mundurze policyjnym budził przerażenie.

Ciekawe, jak wygląda jego piekło. Czego najbardziej się lęka jej dręczyciel? Co go najbardziej boli?

Czego ode mnie chce? Co mogę mu dać? Może gdybym wiedziała... już bym nie żyła. I moje dziecko również.

Lewą ręką rozmasowała napięty brzuch. Była za bardzo obolała, by zwracać uwagę na niewielki skurcz. Ale teraz go poczuła i pomyślała: mój biedny brzuszku. Potrzebujesz wody i chłodnego prysznica - jak ja cała.

- Dokąd jedziemy, Lyle?

- Tylko bez pogaduszek. Skończyły się rozmowy. Muszę dojechać do celu. Muszę się skupić.

- Lyle - ostrożnie spróbowała Didi. - Nic nie jedliśmy. Może byśmy się zatrzymali, żeby coś przekąsić?

Wybuchnął śmiechem.

- Chyba sobie żartujesz, laluniu.

- Albo chociaż coś do picia dla mnie, Lyle? Od południa niczego nie miałam w ustach, bardzo chce mi się pić.

- Trzeba było o tym pomyśleć, kiedy się mizdrzyłaś do tego gliny. „Och, panie władzo” - naśladował jej piskliwy głos - „to tylko skaleczenie, nic takiego”. Albo: „Kochanie, może zostawiłeś polisę w poprzednim samochodzie”. Dzięki tobie on teraz nie żyje, sobie zawdzięczasz to, że nie dostaniesz wody.

Odwróciła się i wbiła wzrok w drogę.

- Nigdzie nie możemy się zatrzymać - ciągnął. - Wcześniej mogliśmy, a teraz, spójrz na siebie. Widzisz, co musiałem przez ciebie zrobić? - Zerknął na nią. - Nie możemy się zatrzymać. Ale to nic. Niedługo będziemy na miejscu.

Didi milczała, wiercąc się w fotelu.

- Na miejscu? A czy tam będzie coś do picia?

- Nie myślałem o napojach - burknął. - Nie przypuszczałem, że podróż aż tyle potrwa. Sprawy nie potoczyły się tak gładko, jak zakładałem.

- Cokolwiek - szeptała. - Chociaż jeden łyk. Może bimbru? uśmiechnął się z ironią.

- Nawet.

- Dalej. Bądź dzielna. - Poklepał ją po brzuchu. Nawet nie drgnęła. - Musisz być silna ze względu na dziecko.

- To prawda. Dlatego pomóż mi. Zdobądź mi trochę wody. Wtedy od razu lepiej się poczuję.

- Nie mam tu wody i nie możemy się zatrzymać - oznajmił surowo. - Musisz gdzie indziej poszukać siły.

- Nie mam gdzie.

- Nosisz życie. Z tego czerp siłę.

Didi poczuła skurcz macicy - nie tyle nieprzyjemny i rozpraszający, ile alarmujący. Co to jest? - pomyślała. Z zaciśniętymi rękami czekała, aż skurcz minie. Zaczął się spokojnie, zupełnie jak kolejny skurcz przepowiadający, tyle że... jego kulminacyjny punkt, ściskający brzuch jak obręcz, wcale go nie przypominał. To nie był też ból żołądka ani gazy, tylko zimny, stalowy pręt, który skręcał jej wnętrzności, jakby były mokrym, wyżymanym ręcznikiem. A gdy już zakończył swe dzieło, ciskał je - bezwładną kupkę - na ziemię i czekał.

- Nic ci nie jest? - spytał Lyle.

Co za bezsensowne pytanie, pomyślała Didi, próbując odzyskać oddech. Czy coś może być jak należy w tym koszmarnym świecie, jaki stworzyłeś? W świecie, gdzie młody, miły policjant nie żyje, a ja podążam wprost do piekła?

- Nie - odparła przez zaciśnięte zęby, żeby nie jęknąć z bólu. - Wszystko jest w porządku. - Boli mnie twarz - dodała po chwili.

- A czyja to wina, dada Didi? - spytał Lyle.

- Moja. Ale to nie umniejsza bólu. Skupił się na prowadzeniu samochodu.

- Opowiedz mi o swojej żonie.

- Nie ma o czym - odrzekł po chwili.

- Na pewno coś się znajdzie. Spotkamy się z nią?

- Może.

Spuściła głowę i spróbowała od innej strony.

- A twoje dziecko?

- Wystarczy, Arizono, koniec gadania.

Umilkła, ale nie mogła wytrzymać biernego oczekiwania, czy skurcz się powtórzy.

- Czego chcesz się o mnie dowiedzieć? - zaczęła. - Jestem środkowym dzieckiem dwojga nauczycieli z prywatnej szkoły episkopalnej.

- Ja zaś jedynym synem gospodyni domowej i robotnika kolejowego.

- Moi rodzice są małżeństwem od trzydziestu siedmiu lat - ciągnęła.

- A moi od prawie trzydziestu. - Zawiesił głos. - Niezbyt udane małżeństwo.

- Tata dwa lata temu przeszedł na emeryturę.

- Mój nadal pracuje.

- A ty, Lyle? - spytała. - Masz pracę? Zacisnął wargi.

- Chwilowo nie.

- Czym zajmowałeś się wcześniej?

- Tym i owym. A gdzie ty przedtem pracowałaś?

Didi poczuła dreszcz na owo „przedtem”. Odpowiedziała, jakby nie rozumiała podtekstu.

- Przed ślubem z Richem pracowałam jako jego sekretarka. Tak się poznaliśmy. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata.

Lyle milczał; Didi okrągłymi, spokojnymi ruchami masowała brzuch.

- Jak poznałeś swoją żonę?

- Znudziła mi się rozmowa - warknął. - Jak chcesz, możesz włączyć muzykę.

- Nie chcę muzyki - odpowiedziała.

Jaka szkoda, że policyjne radio leży, wyszarpnięte, na tylnym siedzeniu. Nie powinien był tego robić. Tak samo jak nie powinien próbować sprzedać jej telefonu komórkowego.

Nieważne, dokąd jada, powinni byli wsiąść do autobusu.

- Autobus nie wchodził w rachubę - rozległ się jego głos. Didi spojrzała zaskoczona, a Lyle oświadczył: - Słyszę twoje słodkie myśli.

- A moje bezlitosne myśli?

- Nie masz takich. Czuję to. Jesteś dobrą kobietą. Próbowalaś mnie uratować swoją modlitwą. To był gest

prawdziwego męstwa. Czuję z tobą więź. Czuję twoje zmęczenie, ciężę, pragnienie. Wiem, co myślisz. Odczuwam to samo, co ty.

Delikatnie, żeby nie pogłębić bólu, pokręciła głową.

- Nie sądzę, Lyle. Gdybyś odczuwał to, co ja, nie zrobiłbyś tego wszystkiego. Znaleźliśmy się tutaj właśnie dlatego, że nie potrafisz odczuwać tego, co ja.

- Czyżby?

Porywacz roześmiał się, a gdy uśmiech rozluźnił mięśnie jego twarzy, Lyle wyglądał niemal jak normalny człowiek.

- Czyżby? - powtórzył. - A za czym powinienem teraz tęsknić? Za zakupami?

- Za Bogiem.

- Za zakupami - powtarzał.

- Skoro tak nienawidzisz zakupów, to co robiłeś w NorthPark?

- Szukałem cię.

W głowie miała pustkę.

- Nie, na pewno nie mnie szukałeś.

- Właśnie że tak. - Zerknął na nią. - Zaskoczona?

- Przecież mnie nie znałeś - odparła zdumiona.

- Miałem przeczucie. Od pierwszej chwili, gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że odegrasz jakąś rolę w moim życiu.

Dziwne, pomyślała, próbując uspokoić dziecko i poklepując się po klatce piersiowej. Takie samo przeczucie miałam, gdy cię zobaczyłam przy stoisku z preclami. Nie wiedziałam czemu, ale chciałam jak najszybciej przed tobą uciec. Nawymyślałam sobie od wariatek i udawałam, że wszystko gra. To cała ja, paranoiczna, ciężarna Didi.

Wpatrywała się w niego. Spojrzenie Lyle'a pociemniało.

- Trzeba było posłuchać instynktu, Desdemono - powiedział.

- Próbowałam, Lyle. Bóg mi świadkiem, że próbowałam. Umilkli. Wokół nich rozciągały się smutne, wypalone równiny.

- Lyle, czy już za późno, by jeszcze raz prosić, żebyś mnie wypuścił? Przysięgam, przysięgam na moje życie...

- Warte jakieś sześć tysięcy dolarów, tak? - przerwał.

- Przysięgam na życie moich dzieci.

- Nie rób tego. Nie przysięgaj na dzieci. To bezbożność. Didi nie wierzyła własnym uszom.

- A czy nie jest bezbożnością porwanie mnie? Chyba zdajesz sobie sprawę, że łamiesz Boże prawa?

- I co z tego? - odwarknął. - Nic mnie On nie obchodzi.

- Masz w sobie dobroć - przekonywała Didi, kręcąc głową. - Możesz stać się bardzo dobrym człowiekiem. Krowy nie są dobre ani złe, podobnie jak psy czy delfiny. Tylko my, ludzie, mamy taki wybór. Przeciętny człowiek może być dobry albo zły. Dobry człowiek może stać się jeszcze lepszy albo gorszy. Geniusz może być wspaniałym człowiekiem albo potworem.

- Cóż, nie jestem geniuszem, Didi.

- Nie. Ale możesz być dobry. Bardzo dobry. Nawet wspaniały. Masz w sobie taką zdolność.

- Niby skąd o tym wiesz? Starannie dobierała słowa.

- Ponieważ... widziałam, jak postępujesz bardzo źle. Przez chwilę milczał.

- Wcale nie postępowałem bardzo źle, Desdemono - odrzekł wreszcie. - Ja tylko skutecznie działałem.

Potrząsnęła głową.

- Nie, Lyle. Nie ulega wątpliwości, że pozwoliłeś, by szatan owładnął twoim sercem. Wiem, że jesteś chrześcijaninem. Możemy wzajemnie sobie pomóc...

- W to nie wątpię.

- Jeszcze możesz się uratować. Zaśmiał się gorzko.

- Kpisz czy o drogę pytasz? Sądzisz, że teraz gliniarze mi odpuszczą? Spojrzała na niego zdumiona.

- Policja? Nie, chodzi mi o Boga. Bóg może ci jeszcze odpuścić. Zwiesił głowę i pokręcił nią przecząco.

- Nie trafiasz do mnie, Didi. Nic a nic. Nie potrzebuję Bożego zbawienia. Nienawidzę Boga. Poza tym On nie istnieje.

- Sam sobie zaprzeczasz - powiedziała cicho. - Nie możesz nienawidzić czegoś, co nie istnieje.

- Już ci wspominałem, żebyś przestała tak się przejmować moim zbawieniem... - Na jego twarzy zamajaczyło znów coś w rodzaju uśmiechu. - Lepiej martw się, jak uratować siebie.

- To jedno i to samo.

- Wybij to sobie z głowy, Didi. Ja chcę budować nowe życie, a ty nudzisz mnie jakimiś pierdołami.

Popatrzyła na niego w zadumie. Przez chwilę nie odczuwała żadnego bólu, umysł jej znieruchomiał, próbując przeniknąć tego człowieka. Nie poradziła sobie jednak z tym zadaniem, i jej ciało ponownie zaczął nękać ból.

- Co ty wygadujesz, Lyle? Porwałś kobietę, zabiłeś policjanta i tego staruszka, Johnny'ego, pewnie też. Jesteś w Teksasie. Zapomniałeś, jaka tu obowiązuje kara za zabicie policjanta? O jakim nowym życiu myślisz? O życiu w oczekiwaniu na śmierć?

- Trudno to nazwać życiem - odrzekł.

Didi poczuła, że całkowicie opuszcza ją nadzieja.

- Czy to... czy to twoje pierwsze porwanie? - spytała. Lyle parsknął śmiechem.

- Tak, Barcelono. To moje pierwsze porwanie. A twoje? Też pierwsze?

Jej macica znowu się napięła. Boże wszechmogący, jęknęła Didi, zamykając jedyne otwarte oko i mocno ściskając brzuch. Och, Boże, usłysz mnie, gdy do Ciebie wołam.

Wiedziała, że nie ma już wiele czasu.

19.45

Kiedy dotarli do San Angelo, Scott uświadomił sobie, że mają szczęście: sprawdzane miasta leżą blisko siebie, dzięki temu wystarczyło im paliwa. Dotarli najdalej, jak się dało.

- Helikoptery nie mają rewelacyjnego zasięgu - zauważył.

Czy zawióźliby ich do El Paso? - zastanawiał się Rich. A do Nowego Meksyku lub Arizony? Albo jeszcze do Meksyku? Czy śledziliby Lyle'a Lufta aż poza granice kraju w tej żłopiącej paliwo, hałaśliwej beczce na płozach, umożliwiających lądowanie?

Posterunek w San Angelo był mniejszy i gorzej wyposażony, za to policjanci okazali się bardziej przyjacielscy niż w Waco. W miarę możliwości starali się pomagać agentowi. Sam szeryf wyskoczył do ulubionej meksykańskiej restauracji i przyniósł stamtąd jedzenie dla nich obu. Scott znowu się posilił.

Wood nawet nie tknął jedzenia.

- Chyba nie wyjedzie poza Teksas, Rich. Zjedz coś - zachęcał, podsuwając mu enchiladas. - Czuję, że jest blisko. Nie zostało mu już zbyt wiele miejscowości.

- Spokojna głowa, nie zabraknie ich. Drobne czterysta pięćdziesiąt kilometrów do El Paso.

- Zaledwie dwieście trzydzieści - poprawił Scott. - W śmigłowcu traci się wyczucie odległości.

Rich wiedział, że to nie tylko przez helikopter traci wszelkie wyczucie.

- Czemu uważasz, że nie wyjedzie poza granice stanu?

- Zjedz, to ci powiem.

- Nie mogę - wymawiał się zniecierpliwiony. - Sądziś, że karmi moją żonę?

- Przypuszczam, że tak. Nie chce, żeby umarła. Rich, nie na wiele jej się przydasz, jeśli będziesz wygłodzony i spragniony.

- I tak niewiele jej pomogłem - odparł. - Co robię, aby jej pomóc? - Spojrzał na agenta. - A co ty robisz?

Scott przerwał jedzenie.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Jedzie radiowozem. Każ nadawać komunikat, że nie będziesz go ścigał, jeśli uwolni Didi.

- Następny komunikat? Liczysz, że da się nabrać? Zabił glinę. Kapnie się, że to podstęp. To najstarsza sztuczka pod słońcem.

- Może dla ciebie. On nie jest zawodowcem. A w ogóle to czubek. Może boi się o własne życie. Człowiek osaczony nie działa racjonalnie.

- Od samego początku nie działał racjonalnie.

- Nieprawda - sprzeciwił się Rich. - Postępował według własnej logiki. My możemy ją uważać za pokrętną, ale dla niego wszystko układa się w klarowną całość.

- Oto definicja szaleństwa, Rich. Robisz całkowicie porąbane rzeczy i twierdzisz, że to zupełnie normalne.

- Powiedz mu to. - Wood zawiesił głos. - Obiecuj, że nie będziesz go ścigał, jeżeli wypuści Didi. Wy tłumacz, że gdy przekroczy granicę stanu, wymknie się spod twojej jurysdykcji...

- Kiedy to kłamstwo. Właśnie wtedy zaczyna się nasza jurysdykcja.

- I co z tego? - warknął Rich. - Wkrótce się ściemni. Wymknie się nam. Nie mamy wiele czasu. Albo go znajdziemy, albo...

- Nie opuści Teksasu. Zostanie tutaj. A w okolicy nie ma wielu miast. Jestem przekonany, że go już wyprzedziliśmy. Pamiętaj, że jedzie teraz ostrożnie. Nigdzie się stąd nie ruszy. Możliwe, że pochodzi z El Paso. Albo stąd, albo z Abilene. Nie, nasz porywacz wraca do domu.

- Czemu uważasz, że nie wyjedzie poza Teksas?

- Bo numer jego ubezpieczenia społecznego - odparł z pełnymi ustami Scott - jest z Teksasu.

- I co z tego? A mój z Illinois. Co ci to daje?

- Gdybyś dokonał porwania, nie zamierzając uzyskać okupu, właśnie tam byś się udał.

- Illinois to duży stan.

- Owszem. - Scott dalej jadł ryż z fasolą. - Przede wszystkim sprawdziłbym Chicago, a potem resztę. Daruj, że się objadam, ale lepiej mi się pracuje z pełnym żołądkiem. Wracając do rzeczy - większość informacji zdobywamy dzięki naszym bazom danych. A mamy dostęp do wszelkich możliwych rejestrów. Na przykład wiele dowiadujemy się na podstawie historii kredytowej.

- Czego dowiedziałeś się o jego kredytach?

- Że ich nie ma. Jediną rzeczą, którą posiada, jest honda. Zapłacił za nią gotówką, ale nie potrafimy ustalić, skąd wzięł tę forszę. Nie mamy żadnych przesłanek.

Rich pokręcił głową.

- Jak to możliwe? Dwudziestosiedmiolatek, który nie brał żadnego kredytu?

- A jednak możliwe. Wiem, wiem, to prawdziwy szok. - Scott się uśmiechnął. - Wyobraź sobie świat, w którym nie zaciągaliśmy kredytów.

- Taki po prostu nie istnieje. - Rich na moment się rozluźnił. Potem zaświtała mu pewna myśl. - Zaraz... Scott, Scott, posłuchaj. Gdybyś przejrzał moją historię kredytową, zdobyłbyś mnóstwo informacji na mój temat.

- No i...?

- Ale o mojej żonie prawie nic. Założę się, że ma minimalną kartotekę - o ile w ogóle ją posiada. Większość pożyczek zaciągaliśmy na mnie.

- Do czego zmierzasz?

- Może wszystkie kredyty były na nazwisko jego żony?

- Rozmawialiśmy z właścicielem mieszkania, które wynajmował w Garland. Był samotny.

- Tak, w Garland - upierał się rozgorączkowany Rich. - Tylko że nie udał się do Garland. Podąża na zachód od Waco. Może gdzieś tam ma żonę?

Somerville odsunął talerz i wstał.

- Może. Ale mamy tylko jego nazwisko, Luft. Niewykluczone, że żona nosi inne nazwisko. Nawet nie znamy jej imienia - o ile w ogóle miał żonę. Ani daty urodzenia. Ani numeru ubezpieczenia społecznego. W jakich rejestrach należałoby szukać?

- Przecież macie kartoteki notowanych? Ową słynną bazę danych FBI!

- Masz na myśli NCIC, Krajowy Kryminalny Ośrodek Informacyjny - poprawił agent. - Jeśli porywacz albo jego żona posiadali kradzioną broń albo popełnili przestępstwo, na przykład ukradli samochód i zostały pobrane ich odciski palców, to owszem. Ale, Rich, Lyle Luft nie figurował w rejestrze NCIC.

- Może jego żona tak?

- Nawet nie wiemy, czy w ogóle był żonaty. - Scott tracił cierpliwość.

- Proszę, sprawdź. Sam wiesz, że niemal każdy zaciąga pożyczkę.

- Chyba że z trudem wiąże koniec z końcem, nigdy nie miał karty kredytowej ani nigdy nie pożyczał forsy.

- Znasz kogoś takiego?

- Nie. Ale najwyraźniej jeden taki facet chodzi po świecie i właśnie porwał Didi.

- Cholera - mruknął Rich. Agent objął go ramieniem.

- Wróćmy do telefonowania. Ja zadzwonię do filii FBI w Abilene oraz El Paso, dowiedzieć się, czy nie mają czegoś na temat Lyle'a Lufta.

Każdej osoby o tym nazwisku. Szukamy domniemanej żony.

- Twoja żona nie jest domniemana.
- Nie chodzi teraz o moją - odrzekł Rich, kręcąc głową - tylko o jego.

*

Od wyjazdu z Dallas Rich unikał telefonowania do domu. Teraz dochodziła ósma i musiał zadzwonić do matki. Z ciężkim sercem wystukał numer.

- Mamo?
- O, Boże! Odnaleźliście ją?
- Mamo, nie rób alarmu przy dzieciach! Na miłość boską!
- Siedzą w wannie, wsadziłam je razem. Co za parka!
Zwykle to rodzice Didi zajmowali się Mandą i Reenie. Matka Richa była zbyt wytworna, by brudzić sobie tym ręce.
- Nie wątpię. Jak się czują?
- Dobrze. Odnaleźliście ją?
- Jeszcze nie, mamo.
- Dobry Boże. Czego chce porywacz? Pieniądzy?
- Nie wiemy. Ale przypuszczamy, że nie.
- Richardzie, czy policja ci pomaga? Skąd dzwonisz?
- Tak, mamo - odparł ze znużeniem. - Policja robi, co w jej mocy. Nie martw się...

- Jak mam się nie martwić? Zastanów się, co mówisz!
- Nie, rozumiem. Proszę tylko... Trzymaj się. I pamiętaj: Reenie lubi ciepłe mleko.

- Richardzie, gdzie jesteś? Musisz wracać do domu. Reenie oświadczyła, że się nie położy, dopóki mamusia nie przeczyta jej bajki. Chce czytać całego „Piotrusia Pana”. Wszystko już przygotowała.

Wrócił Scott, Rich zniżył głos i próbował mówić spokojnie, opanowując lęk i niepohamowany, paskudny gniew.

- Mamo, ty będziesz musiała jej przeczytać „Piotrusia”. Ja nie mogę wrócić do domu. Jestem w San Angelo.

- A gdzie to?

- Daleko.

- Jest tam Didi?

- Nie wiemy.

Był skonany. Nie winił matki, ale to nie zmieniało faktu, że miał już dość.

- Powiedz dziewczynkom, że wszystko będzie dobrze i niedługo wrócimy do domu.

- A wróćcie?

- Nie wiem.

- Richardzie, musisz częściej do mnie dzwonić. Godzinami się nie odzywałeś i wprost szalałam z niepokoju.

- Rozumiem, ale nie było żadnych nowin, mamo. I nadal nie ma.

- Trzeba było zatelefonować wcześniej.

- Dobrze. Słuchaj, muszę kończyć. Ucałuj ode mnie małe. Powiedz, że tatuś je kocha.

- Reenie histeryzuje i czeka na matkę - odrzekła ostrym tonem, rozłączając się.

Przez parę sekund Rich nie mógł podnieść wzroku na Scotta. W końcu odłożył słuchawkę na widełki.

- To niełatwe, stary - odezwał się agent, siadając za biurkiem. - Rozmowy z rodziną są bardzo trudne.

- Nie. Tylko rozmowy z moją matką.

20.00

Didi odtwarzała w pamięci narodziny obu córek. Amanda pojawiła się na świecie pięć lat temu, a poród był trudny. Didi niewiele z niego zapamiętała, jedynie ból odczuwany w rzadkich chwilach przytomności. W końcu lekarz powiedział: „śliczna dziewczynka” i Rich się rozplakał, Didi też próbowała wycisnąć parę łez, ale nadal była półprzytomna. Wreszcie zasnęła - miała wrażenie, że na parę tygodni - potem wróciła do domu, znowu spała i oto nagle dziecko skończyło pierwszy miesiąc, a ona wreszcie odzyskała przytomność.

Pojawienie się na świecie Irene, trzy lata temu, było dość podobne, tyle że poród się spóźniał i lekarze musieli go wywołać. Błyskawiczne skurcze stały się nie do zniesienia. Potem zrobiono jej znieczulenie i natychmiast przestała cokolwiek czuć. Ktoś krzychał: „Przyj, przyj!”, a później z całej siły naciskano jej na brzuch, żeby wypchnąć dziecko, wreszcie pojawiła się główka i położna powiedziała: „Spójrz, Didi, już widać główkę. Dotknij, zobacz, jeszcze trochę poprzyj i zaraz się urodzi”. Ale ona nie mogła już ani patrzeć, ani dotykać. Kiedy dziecko się urodziło, Rich się rozplakał, możliwe że tym razem Didi również; bardzo żałowała, że nie dotknęła główki dziecka. Ów żal jednak pojawił się później. Wtedy nic by jej nie zmusiło do otwarcia powiek.

Pytana, jak przebiegały porody, odpowiadała, że nie pamięta. Albo mówiła, że przez większość czasu była nieprzytomna. A czy pamiętasz, jak się zaczęło? Tak, brzmiała jej odpowiedź. Z Amandą właśnie szykowałam marynatę do kurczaka, a z Irene oglądałam koncert zespołu Queen.

A co odpowie na pytanie o Adama albo Evelyn? Jak się zaczął poród, Didi? Och, siedziałam w kradzionym radiowozie obok zupełnie obcego mężczyzny. Nic nie widziałam na prawe oko. Od ośmiu godzin nie piłam. Gdyby tak mogła to gdzieś zapisać. Kiedy była młodsza, jeszcze zanim wyszła za

mąż, prowadziła pamiętnik. Opisywała przyjaciół, zwierzała się ze swych tęsknot nastolatki oraz prawdziwych i wymaginowanych krzywd. Ale potem wciągnął ją nurt wygodnego, łatwego życia i brakowało już czasu na notatki.

Żałowała, że nie może przelać na kartkę papieru dzisiejszych myśli.

To byłaby krótka notatka. Drogi pamiętniczku, proszę, spraw, by moje dziecko wyszło z tego żywe. Pragnę tylko, aby żyło.

Zdrowym okiem wyglądała przez okno, a Lyle nadal pędził wąską, boczną drogą z prędkością prawie stu piętnastu kilometrów na godzinę. Didi czuła każdy wybój.

Dokąd zmierzają?

Jej brzuch opasała kolejna obręcz bólu. Didi usiłowała nie oddychać, nie dyszeć, nie zdradzić się najmniejszym ruchem. Zamknęła oczy i ścisnęła dłonie, by lepiej nad sobą panować. Bezskutecznie usiłowała sobie przypomnieć modlitwę na czas rozwiązania; na myśl przychodziło jej tylko wołanie psalmisty: „Wzywam Cię za dnia, ale nie odpowiadasz. Wołam nocą, lecz nie znajduję odpoczynku”.

To nie była karma, pomyślała Didi ze straszną goryczą. To nie kara. Ani nie zemsta kosmosu. To po prostu... To po prostu Bóg zapomniał o czterdziestotrzyletniej przyjaciółce Didi i dopuścił, by jej dziecko zmarło. I Bóg podczas operacji cesarskiego cięcia zahaczył o okrężnicę Leslie. Po prostu Bóg znajdował się na innej autostradzie, pilnując kogoś innego. Cóż, w końcu nie może się rozerwać, podobnie jak Rich. Może jakieś dzieci w Bośni czy Afryce potrzebują Go bardziej niż Didi. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że Bóg dozwolił, by zaczęła rodzić w samochodzie, prowadzonym przez Lyle'a?

W tym momencie Didi bardziej wierzyła w męża niż w Boga, ponieważ wiedziała, że Rich jej szuka. Bóg, który

potrafiłby w mgnieniu oka ją zlokalizować, patrzył gdzie indziej.

Czy to kara za zakupy? Za przyjemność kupowania? Wiesz co? - pomyślała ze złością. Jeśli wyjdę z tego cało, to będę kupować jeszcze więcej, będę kupować jak szalona - ale z katalogów.

Znowu próbowała się modlić, lecz przyszedł kolejny skurcz i przestała. Boga nie było na tej wiejskiej drodze, nie jechał do...

- Eden - odezwał się Lyle. - Dwadzieścia pięć kilometrów.

I przyśpieszył.

Eden? - powtórzyła w myślach. Co ma na myśli?

Wkrótce zobaczyła zieloną tablicę z napisem: „Eden 25 km”.

Czy jedziemy do Edenu? - zastanawiała się Didi.

- Co to za Eden? - spytała.

- Tam jest Mel - wyjaśnił Lyle.

- Och. Czyli złożymy jej wizytę?

- Tak - odparł krótko.

Jedną ręką przytrzymała pulsującą z bólu ranę, drugą brzuch i czuła, jak jej strach przybiera na sile. Po co zabiera mnie do żony? Może są zboczeni? Didi słyszała o takich parach. Małżeństwo porywało nastoletnie dziewczęta, zaciągało do domu, uprawiało z nimi sadystyczny seks, a potem zabijało ofiary i cięło na kawałki ich ciała. Czytała o tym, wcale nie tak dawno temu. Ale to się wydarzyło w Anglii. Pomyślała sobie wtedy: no cóż, w Anglii mogą się zdarzać takie makabreski, w końcu to zagranica.

Ale nie w tak bogobojnym kraju. Nie w Teksasie. My żyjemy po Bożemu.

Serce łomotało jej w pustej, wysuszonej klatce piersiowej.

Na horyzoncie rysowała się cienka, półokrągła linia zachodzącego słońca. Nadal podążali na zachód, do Edenu.

W myślach przebiegła ostatnie godziny spędzone z porywaczem. Czy mogła uciec? Wskoczyć z samochodu? I dokąd biec? Na drogę, żeby zabił ją nadjeżdżający wóz albo zastrzelił Lyle?

Położyła ręce na brzuchu. Były szorstkie i brunatne od krwi. Przestała ją boleć brew. Bolał tylko brzuch. I serce.

Didi się nie bała. Czuła jedynie smutek. Przejmujący smutek, że Bóg opuścił ją w najtrudniejszych chwilach życia, gdy nosiła w sobie dziecko. Nie wyobrażała sobie, że umrze i stanie się nicością, za to doskonale potrafiła sobie wyobrazić, że zostanie sama. Pomyślała: skoro teraz - kiedy jeszcze żyję - Bóg mnie porzucił, to kto zajmie się mną, gdy umrzemy ja i dziecko? Kto zatroszczy się o Richa i dziewczynki? Skoro nie ma Boga, to dokąd zmierzamy? Co jest naszym celem?

Wtedy Lyle się odezwał:

- Po Edenie - Mazatlan.

Didi poczuła w sobie pustkę, melancholię głębszą niż najgłębszy smutek.

Widocznie pojękiwała, bo mężczyzna zerknął na nią z uwagą.

- Co się stało? - zapytał.

Otarła twarz, ale to nic nie dało.

- Co ja takiego ci zrobiłam? - szepnęła. - Przecież cię nie dotknęłam ani nie zraniłam. Nigdy nie wyrządziłam nikomu krzywdy.

- Dziwne, dada Didi, bo ja też nie. Aż do dziś - odrzekł niewzruszony.

- Za to teraz nadrobiłeś wszystko zawiązką. Co jeszcze możesz zrobić?

- Nadal całkiem sporo. Didi pożałowała, że spytała. Porywacz wybuchnął śmiechem.

Gdyby nie to, że miał na sumieniu dwóch ludzi, a oprócz tego zagrażał życiu jej i dziecka, można by ten śmiech uważać za całkiem miły. W ogóle Lyle sprawiał wrażenie miłego młodego człowieka. Schludnego, spokojnego, dobrze wychowanego.

Nie był jednak taki. A słysząc jego śmiech, Didi zadrżała.

- Wiem, że lękasz się o swoje życie, Lyle. Na pewno tak jest - powiedziała. Wierz mi, że nadal jeszcze możesz naprawić to, co zrobiłeś. Zastanów się. Policji ani mojemu mężowi nie zależy na tobie, Lyle, chodzi im wyłącznie o mnie. Zawrzyj z nimi układ. Obiecuj, że mnie oddasz, a puszcza cię wolno.

Mężczyzna wybuchnął donośnym śmiechem.

- Desdemono, moja optymistko, a co, twoim zdaniem, dostanę w zamian?

- Życie doczesne - oświadczyła spokojnie. Wolą nie wspominać o jego nieśmiertelnej duszy.

- Gdyby mi zależało, by policja puściła mnie wolno, mógłbym po prostu w ogóle nie brać cię na przejażdżkę.

- Sprawy nie ułożyły się po twojej myśli. Nie spodziewałeś się...

- Wszystko jeszcze będzie na medal.

- Nie. Odnajdą cię. Wyglądał na ubawionego.

- Lubię tę twoją niewinność. Co za niewyobrażalna naiwność, Arizono - mówił, beztrąsco stukając palcami po kierownicy. - Przede wszystkim nie odnajdą nas. Przekonasz się. Po drugie, czy naprawdę uważasz, że gliny aż tak cenią twoje życie, że puszcza mnie wolno, byle cię odzyskać? W końcu nie jesteś prezydentem, tylko zwykłą kobietą w ciąży, ważną tylko dla męża, o ile w ogóle coś dla niego znaczysz. Wyobraź sobie, Didi... Wyobraź sobie, że wrócił do domu i siedzi naburmuszony, ponieważ nadal szwendasz się gdzieś po sklepach, przepuszczając jego ciężko zarobione pieniądze u

Estee Lauder. Tkwi przed telewizorem i myśli sobie: „Niech no tylko wróci do domu!” - zarechotał.

Didi milczała. Nie dlatego że Lyle mówił od rzeczy, tylko dlatego że wszystkie siły skupiła na powstrzymaniu głośnego jęku. Minęło trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt sekund, wreszcie skurcz się skończył. Ile minut upłynęło od ostatniego? Piętnaście? Dziesięć?

Mniej?

Wolała o tym nie myśleć.

- Co ty wygadujesz, Lyle? Gdyby nie mój mąż, nie mówiono by o mnie w wiadomościach, nie nadawano komunikatu radiowego. Kto inny miałby mnie szukać, jeśli nie on!

Richard jej nie opuścił. Nie, Rich nie zostawiłby żony na pastwę losu i nie tkwił przed telewizorem. Ta świadomość dodała jej sił.

- Nie rozumiesz, że naprawdę ich nie obchodzisz, Lyle? Zależy im wyłącznie na mnie. Puściliby cię wolno, byle mnie odzyskać.

W zapadającym zmierzchu z trudem odróżniała zarys jego głowy, ale zauważyła, że przestał beztrząsco bębnić w kierownicę.

- Nie - oświadczył zdecydowanie. - Na pewno obiecywaliby, że mnie wypuszczą, jeśli cię uwolnię, ale oboje wiemy, że to tylko czcza gadanina. Kiedy by cię odzyskali, natychmiast odwołaliby wszelkie obietnice. Nie.

Wiedziała, że nie zamierza jej uwolnić. Nie będzie więcej go o to prosić.

- W takim razie możesz mi zdradzić swoje plany? Dotyczące nas dwojga?

- Wkrótce sama się przekonasz.

Minęli tablicę z napisem: „Pfluger Park”. Nazwa nic Didi nie mówiła, ale przykuła jej uwagę dziwną pisownią.

- Cierpliwości, Didi. Cierpliwości. Jesteśmy prawie na miejscu. A w ogóle nie powinnaś tak się śpieszyć - dodał.

Nagle poczuła kolejny skurcz, ale mimo to słowa porywacza wzbudziły w niej grozę.

- Wcale... się... nie śpieszę - wykrztusiła.

Powinna jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Potrzebowała Richa, natychmiast. Błyskawicznie musi uciec Lyle'owi. Ale bynajmniej nie śpieszyło jej się, by dotrzeć z nim w jakieś miejsce.

Mignęła jej tablica: „Witamy w Edenie, 1597 mieszk”.

Lyle przyhamował, dalej jechali prosto, a potem skręcili w prawo. Didi bacznie obserwowała drogę. Chciała zapamiętać adres, ale nie wyglądało na to, że wybierają się do gęsto zaludnionej dzielnicy. W pobliżu nie było żadnych domów. Może Lyle i Mel mieszkali na farmie.

Potem minęli tablicę: „Do cmentarza w Edenie, następna w lewo”.

Kolejny skurcz zagłuszył strach Didi, ale po chwili lęk znowu się odezwał i ścisnął jej trzewia. W przeciwieństwie do skurczu nie trwał tylko trzydziestu sekund ani nawet minuty. Nie zamierzał w ogóle się kończyć.

- O Boże, po co tu jedziemy? - spytała słabym głosem.

- Odwiedzić moją żonę - wyjaśnił Lyle.

Zatrzymał samochód, nie wyłączając silnika. Od policyjnego paska odpiął kajdanki.

- Twoja żona nie żyje? - wykrztusiła Didi.

Nie rozumiała czemu, ale ten nieoczekiwany zwrot akcji sprawił, że wydarzenia całego dnia stały się niejako surrealistyczne.

- Wyciągnij ręce - rozkazał. Powrót do rzeczywistości był bolesny.

- Lyle, przecież jestem niegroźna - błagała Didi, nie ruszając się i nie zbliżając do metalowych kajdanków, w

których widziała kres swego życia. - Pójdę z tobą. Zresztą, dokąd miałabym uciec? Nawet nie byłabym w stanie biec.

Lyle z ponurą miną schwycił jej dłonie.

- Nie zadzieraj ze mną, Barcelono.

Zatrzaskał metalowe obręcze wokół jej nadgarstków. Didi jęknęła. Teraz była naprawdę w niewoli. Skuta kajdankami.

Ledwo się odwrócił, żeby wysiąść, zaczęła szarpać rękami, aż metalowe obręcze boleśnie wrzynały jej się w nadgarstki. Nie zwracała na to uwagi. Nie cofnęłaby się nawet przed wybiciem sobie kciuków, byle się uwolnić.

20.05

Zgnębiony Rich przyglądał się, jak Scott z telefonem komórkowym przy uchu krąży po gabinecie. - Ile nazwisk figuruje w kartotekach NCIC? - spytał po chwili.

- Czterdzieści milionów.

- A ile macie odcisków palców?

- Jakieś sto siedemdziesiąt trzy miliony. Richowi opadła szczęka.

- I twierdzisz, że mimo czterdziestu milionów nazwisk oraz stu siedemdziesięciu trzech milionów odcisków palców nadal nie potraficie zlokalizować żadnego Lufta?

- Jakiegoś Lufta, owszem. Ale nie Lyle'a Lufta. Ani... Wood wstał.

- Mogę o coś spytać, Scott? Czy sprawdzaliście w książce telefonicznej?

- Co? Siadaj, denerwujesz mnie, gdy tak krążysz. Richard nie słuchał.

- Książka telefoniczna. Szukaliście w niej?

- Kogo?

- Nazwiska Luft. Czemu nie spróbować? W końcu twierdziłeś, że szukałeś już wszędzie.

Jego towarzysz pokręcił głową, ale wezwał szeryfa i poprosił o książkę telefoniczną. W San Angelo nie mieszkał żaden Lyle Luft, lecz były dwie osoby o tym nazwisku. Po pięciu minutach rozmów Scott dowiedział się, że żadna z nich nie miała krewnego imieniem Lyle.

Widocznie Rich wyglądał na pokonanego, bo agent powiedział:

- Nie miej takiej smutnej miny, to był niezły pomysł. Wyobraź sobie, że amatorom też przychodzą one do głowy.

- Dobre sugestie?

- Ni mniej ni więcej - odparł Scott, siadając na krawędzi biurka. Nie przestając krążyć po gabinecie, Wood machnął ręką. Nagle się zatrzymał.

- Zaraz. A czy masz nakaz rewizji jego pokoju?

Agent łagodnie położył mu rękę na ramieniu. Mężczyźni popatrzyli na siebie, jeden spokojnie, drugi bezradnie. Rich się odsunął.

- Litości, stary. Zrobiliśmy to już trzy godziny temu, jeszcze w Dallas. Pamiętasz, jak Lopez i komendant Murphy wysłali ludzi, aby sprawdzili, co się da?

- Co znaleźli? - niecierpliwie zapytał Rich.

- Nic. Zupełnie nic. Luft wynajmował pokój w piętrowym budynku. Gospodyni mówiła, że był spokojny, zamknięty w sobie, nigdy nie przyjmował gości, płacił pięćdziesiąt dolarów tygodniowo gotówką, nigdy się nie spóźniał z czynszem i nie podpisał żadnej umowy. W mieszkaniu nie było kuchni, tylko lodówka. Meble należały do gospodyni. Policja niewiele tam znalazła: parę pism, drugi zestaw kluczyków do samochodów, zniszczoną walizkę z ubraniami i kilka ręczników.

- Jak się o tym wszystkim dowiedziałeś?

- A co twoim zdaniem robię, rozmawiając przez telefon? Gawędzę z mamusią?

Wood myślał przez chwilę.

- Czy znaleźli hondę? Agent pokręcił głową.

- Jak przypuszczasz? - spytał Rich, próbując opanować napięcie. - Czy Lyle będzie tam, gdzie jego honda?

- Właśnie tak uważam.

Wood nadal czegoś nie rozumiał.

- Jaki człowiek nie ma praktycznie żadnej własności?

- Taki, który przed czymś ucieka albo dokądś podąża, albo stracił cel w życiu. Człowiek, który nigdy w życiu nie miał karty kredytowej, nie wypełnił zeznania podatkowego... - Scott umilkł. - Zaraz, coś mi wpadło do głowy. Zadzwoń do

regionalnego biura ubezpieczeń społecznych dla zachodniego wybrzeża. Dowiem się, czy Lyle kiedykolwiek płacił składki na ubezpieczenie. Może będą mieli listę jego pracodawców.

Rich wzruszył ramionami.

- Nie figuruje w rejestrach urzędu podatkowego, jakim więc cudem miałby się znaleźć w kartotekach ubezpieczeń społecznych? Może całe życie pracował na czarno? Albo w ogóle nie miał się pracy. Ale zadzwoń, nie mamy nic do stracenia.

- To jedyne, co nam zostało. Bo chyba nie przypuszczasz, by którakolwiek z instytucji kredytowych w kraju przedstawiła nam listę wszystkich kobiet o nazwisku Luft?

- Tylko z Teksasu - uściślił ponuro Rich, zdając sobie sprawę, że to strzał w ciemno, który pewnie nic nie da.

Przez następne dziesięć minut Scott rozmawiał przez telefon. Połączył się z pilotami śmigłowców, które krążyły nad Teksasem w poszukiwaniu radiowozu numer 538, a potem zadzwonił do biura ubezpieczeń społecznych i do TRW. Miał znajomości. Mógł rozmawiać z najwyższymi postawionymi, najbardziej wpływowymi ludźmi w każdej instytucji, a wszyscy pracownicy FBI w Teksasie tylko czekali na jego rozkazy.

Problem leżał w tym, że Lyle Luft i Didi podróżowali radiowozem, który zniknął z powierzchni ziemi, FBI zaś nie miało pojęcia ani dokąd podąża mężczyzna, ani jakie kierują nim motywy. Po kilku godzinach poszukiwań Rich nie uważał, że są coraz bliżej odnalezienia jego żony. Gnębiła go świadomość, iż utknęli w martwym punkcie, a słońce zachodzi. Spojrzał na zegarek. Ósma piętnaście.

*

Scott odłożył telefon i wyprostował się nagle.

- Coś mamy.

- Znaleźliście samochód? - wykrzyknął Rich.

- Nie, ale wyjeżdżamy. Chodź! - Dopił colę i wrzucił puszkę do kosza.

- Dokąd jedziemy?

- Do Abilene.

Wybiegli na parking, mieszczący się za posterunkiem, gdzie czekał na nich śmigłowiec. Śmigła rozcinały powietrze na drobne cząsteczki kurzu.

- Co takiego jest w Abilene?

- Wskakuj, to ci powiem.

- Najlepsze rozmowy odbywamy ściśnięci w tej maszynie, w drodze donikąd - odezwał się Wood, gdy już wystartowali.

- Nasze rozmowy wcale nie są takie dobre. Przyznał agentowi rację.

- Co jest w Abilene?

- Przeszłość Lyle' a Lufta. A całkiem niewykluczone, że również on sam.

Skąd wiesz?

- Bo w biurze ubezpieczeń społecznych dowiedziałem się, że od 1964 roku aż do dziś ośmiu pracodawców w Abilene odprowadzało składki na ubezpieczenie Lyle'a Lufta.

- Od 1964 roku? - Wood usiłował policzyć, ile to da, ale nic mu się nie zgadzało. - Czy nasz Lyle w ogóle wtedy był na świecie?

- Nie. Przypuszczam, że chodzi o jego ojca. Richa ogarnęło podniecenie, aż mu ręce drżały.

- Czy Lyle Luft senior ma jakiś adres w Abilene?

- Jasne, że tak. Właśnie tam jedziemy.

- Wszystko to można było znaleźć w książce telefonicznej - zauważył Rich.

- Masz rację - uśmiechnął się smutno Scott. - Ale ile trwałoby szukanie w książkach telefonicznych Teksasu Lyle'a Lufta?

- Jakieś pięć minut. Przeczesać wszystkie numery abonentów w Teksasie, wypatrując tylko Lyle'a Lufta.

Nie chciał, by to brzmiało jak wyrzut. Wszystko sprowadzało się do tego samego: był amatorem i nie powinien znać się na tym. Oni zaś pracowali w FBI i powinni odnaleźć jego żonę. A potem przypomniał sobie, że agenci mają jedynie obowiązek dopaść Lyle'a, życie Didi Wood to kwestia drugorzędna. Na moment Richard poczuł dawną wrogość do Scotta, lecz ten człowiek był teraz jego jedynym sprzymierzeńcem.

Wyjrzał przez szybę.

- Scott? - odezwał się po chwili. - Jak długo pracujesz w tej branży?

- Od dwunastu lat. Wstąpiłem do FBI zaraz po ukończeniu studiów prawniczych. To moje jedyne miejsce zatrudnienia.

- Masz żonę? Dzieci?

- Mam byłą żonę. I syna. - Jego towarzysz się zamyślił. - Mieszkają w Oklahomie. Widuję syna raz w miesiącu, czasem spędzamy razem część wakacji. O ile nie pracuję.

- FBI to twoje życie. Agent skinął głową.

- FBI to moje życie.

- To dlaczego nie potrafisz odpowiedzieć na moje pytania?

- A jakiej odpowiedzi oczekujesz, Rich?

- Powiedz, że wszystko dobrze się skończy. Somerville przez chwilę milczał.

- Wszystko dobrze się skończy - obiecał wreszcie.

- Kłamiesz.

Wood opadł na siedzenie. Ramieniem dotykał Scotta. Nie mógł na niego patrzeć.

Drogi Boże - modlił się w duchu Rich. Obiecuję, że nigdy już nie będę traktował Didi jak czegoś, co jest mi dane raz na

zawsze. Nigdy więcej nie będzie musiała narzekać: „za rzadko dotykasz mojego ciężarnego brzucha”. Jeśli ją wydostaniesz z tych opałów, ani na moment nie oderwę rąk od jej brzucha. Będę jej dotykał, będę ją głaskał, będę czuł, jak porusza się moje dziecko. Będę ją całował po piersiach, po brzuchu, będę przykładał ucho do pępka, by posłuchać maleństwa. Już nigdy więcej nie będzie musiała mnie o to prosić. Uważam się za dobrego męża, ale ona jest wspaniałą żoną i nigdy więcej nie będę jej lekceważył, jeśli tylko...

Odwrócił się, by tamten nie widział jego twarzy. Ani oczu.

Didi ma coraz mniej czasu. Słońce ustępuje miejsca zmierzchowi.

- Scott - odezwał się znowu Rich zdławionym głosem. - Wyjaśnij mi, dlaczego ktoś mógł chcieć uprowadzić moją żonę.

Agent nie odpowiadał.

- Znasz najróżniejsze rodzaje uprowadzeń. Wiemy, że nie chodzi mu o pieniądze, prawda?

- Zgadza się. Chociaż opylił jej obrączkę z brylantem.

- Tak - odparł Rich. - Ale to byłoby zupełnie żałosne. Nie uprowadziłby mojej żony dla tysiąca pięciuset dolarów.

- Owszem. - Scott zawiesił głos. - To byłoby żałosne.

- Chyba możemy też wykluczyć, że jest międzynarodowym terrorystą i nie porwał jej, by zażądać uwolnienia Libijczyków albo Turków?

- Tak, możemy to wykluczyć.

- Wiemy także, że nie jest jej byłym mężem ani chłopakiem, więc nie porwał jej, by się zemścić.

- Tak, możemy założyć, że to zupełnie obcy jej człowiek.

- W takim razie jakie wytłumaczenia jeszcze znajdziesz?

- Rokrocznie mamy do czynienia z kilkunastoma uprowadzeniami dokonanymi przez kobiety, które pragną

mieć małe dzieci. Przebierają się za pielęgniarki i porywają noworodki ze szpitali.

Rich poczuł się bardzo niewyraźnie.

- Tak. Owszem. Ale nie jesteśmy w szpitalu. Co jeszcze zostało?

- Niewiele.

- To znaczy?

- Daj spokój, Rich - odezwał się agent po chwili, patrząc w chmury. - Pozostało już tylko jedno wytłumaczenie: że to czubek i porwał twoją żonę z sobie tylko znanych powodów.

20.40

Didi wysiadła z samochodu, tak jak polecił jej Lyle. Zapadł zmrok, lecz wyraźnie widziała ścieżkę i nagrobki. Za cmentarzem rozciągał się niewielki las. Lyle wyłączył silnik, ale zostawił włączone światła, które teraz rozjaśniały im zwirowaną alejkę.

- Twoja żona nie żyje? - wyszeptała z trudem Didi. Schwycił ją kolejny skurcz i walczyła, by nie osunąć się na ziemię.

- Jesteś taka mądra, Didi. Taka mądra.

Lyle wziął ją pod ramię. Sięgając pod skutymi rękami, pogładził jej brzuch. Przeszył ją dreszcz. Dziwne, że potrafiła się nie ruszać w czasie skurczów, a wystarczył jeden dotyk tego mężczyzny, by odskoczyła. Budził w niej odrazę i wyczuwała, że zdawał sobie z tego sprawę.

Nie wypuścił ramienia Didi, choć próbowała się wyrwać, i popchnął ją na trawę, między nagrobki. Reflektory samochodu świeciły jej w plecy. Mężczyzna szedł za szybko i potykała się, gdy ciągnął ją za sobą.

Stanęli przed niewielkim grobem. Lyle odsunął Didi, żeby nie zasłaniała światła samochodu. Przeczytała napis na tablicy: „Melanie Luft, żona Lyle'a, matka Lyle'a, 1971 - 1998”.

Obok znajdowała się mniejsza płyta nagrobna z napisem: „Lyle Luft III, syn Melanie i Lyle'a, 14 maja 1998 - 17 maja 1998”.

Didi aż się zachłysnęła i omal nie zgięła się wpół. Mocniej zacisnęła skute dłonie i zszokowana wyszeptała krótką modlitwę za biedną duszyczkę, której ciało spoczywało w ziemi.

Biedny Lyle, pomyślała.

Milczeli. Kolejny skurcz wytrzymała w milczeniu, a potem stała z pochyłą głową, zamknawszy zdrowe oko. Słyszała obok szloch mężczyzny.

Lyle miał w sercu ciężar. Ale nie dźwigał go w ciszy. Ani samotnie.

- Opowiem ci, co się stało.

- Nie trzeba, Lyle - szepnęła. - Nic nie musisz mówić. Piekące łzy spływały jej po policzkach.

- Nie, chcę to zrobić. W lipcu miało się urodzić nasze dziecko, ale w maju już zaczęło być źle. Ciągłe powtarzałem Mel, żeby nie paliła w ciąży, ona jednak wiedziała lepiej. Gdy kazałem jej pić więcej mleka, mówiła: „Po co mi przetwory mleczne? Szkodzą na zdrowie. Lepszy jest szpinak”. I tego rodzaju bzdury. Zaczęła rodzić trzy miesiące przed terminem. Nikt nie wiedział, dlaczego. - Głośno pociągnął nosem. Didi pragnęła wytrzeć mu twarz. - Zrobili jej cesarkę. Dziecko przeżyło, ale coś się stało Mel, lekarze nie mogli zatrzymać krwotoku. Wykrwawiła się na śmierć, a ci kurewscy wielcy medycy nie potrafili jej pomóc. Zupełnie. Wyobrażasz sobie? Tyle lat zmitręzonych na studiach i nic.

- Bardzo ci współczuję, Lyle - powiedziała, nie patrząc na niego. Jej własny ból na chwilę poszedł w zapomnienie.

- Zmarła.

Jaka szkoda. Biedna Melanie, pomyślała Didi. I ja też jestem biedna.

Jakaś zupełnie mi nieznana kobieta umarła setki kilometrów od mojego rodzinnego miasta. Zmarła, a dziwnym zrządzeniem losu stoję tu teraz, przed jej grobem.

- Wykrwawiła się na śmierć - podjął mężczyzna. - Po sekcji zwłok okazało się, że miała coś, co się nazywało chyba hemofilia poporodowa albo inne gówno. Zdaje się, że w Stanach Zjednoczonych odnotowano tylko trzy takie przypadki.

Zawodził.

Cztery, pomyślała Didi. Mnie też to spotkało. Ja nie paliłam, piłam mleko, a teraz mnie również to spotyka.

Zabrakło jej odwagi, by spytać o dziecko. Zresztą nie musiała.

- Dziecko... nie mogło... nie mógł... nie mógł... ssss - samodzielnie funkcjonować - wyjąkał urywanym, pełnym bólu głosem.

- Bardzo ci współczuję, Lyle. Tylko na tyle było ją stać.

- Urodził się zzzza wcześniej. Twierdzili, że był za mały, by go uratować. Ważył niecałe pół kilo. Mierzył dwadzieścia siedem centymetrów. Mój maleńki synek. Nawet nie miał trzydziestu centymetrów.

- Współczuję, Lyle - powtórzyła ochryplym głosem Didi. Odwrócił do niej wykrzywioną z bólu twarz.

- Trzymałem go w rękach. Trzymałem ciało mojego zmarłego synka, zanim go zabrali.

- Najłaskawszy Boże, którego mądrość przekracza nasze rozumienie - powiedziała cicho - okaż miłosierdzie pogrążonemu w bólu Lyle'owi, otocz go swoją miłością, by nie zapamiętał się w żałobie...

- Za późno - przerwał jej mężczyzna. Przestała się modlić.

- Pochowaliśmy go tutaj - ciągnął. - Potem przeprowadziłem się do Dallas. Nikogo tam nie znałem. Chciałem tylko zniknąć. Umrzeć.

Stała z pochyloną głową, zastanawiając się, dlaczego tego nie zrobił. Wtedy siedziałyby teraz w domu, czytając dzieciom bajki, a nie znalazłaby się wraz z nim na cmentarzu w miejscowości Eden w Teksasie.

- Ale to do mnie nie pasuje - kontynuował porywacz. - Nie jestem typem samobójcy.

- Nie? - spytała z żalem Didi.

Stali ramię w ramię, oboje zdruzgotani. Didi przygniatały rozterki moralne, Lyle'a rozpacz.

Szarpnęła kajdankami i jedna obręcz prawie zsunęła jej się z ręki. W głowie kołatały jej się fragmenty z Księgi Hioba:

„Otaczają mnie młode buhaje, otwierają paszczę, niczym rozwścieczony, ryczący lew. Okrzyły mnie stada psów. Zacieśniły krąg, kłapią moje nagie dłonie i stopy. Mogę policzyć wszystkie moje kości”.

Czego nie można „prawie”? Prawie wylecieć w powietrze i prawie być w ciąży. Tutaj też „prawie” się nie liczy. Ale uwolni rękę. Uwolni ją, nawet gdyby musiała zedrzyć sobie skórę z całej dłoni. Wysunie rękę z kajdanków.

A potem?

Potem ucieknie, co sił w nogach.

Dobrze.

Pobiegnie. Do wozu patrolowego, bez radia policyjnego, a potem? Może wtedy odsunie szybę i zawoła: „Szybciej, Lyle, jedziemy!”.

Albo kajdankami zdzieli go w głowę.

Nie chciała robić mu krzywdy. I tak już cierpiał.

Zamierzała się uwolnić. Tylko tego pragnęła. Musi znaleźć się w szpitalu - a przynajmniej dotrzeć na posterunek, gdzie policjant odbierze poród. Musi uciec z dzieckiem z cmentarza.

Didi z trudem trzymała się na nogach. Ciało jej przeszywał kolejny skurcz.

Jasne, uciec.

Czy skurcze ustaną, bo ciężarna postanowiła biec? Czy dziecko powie: „W porządku, jeszcze nie wychodzę. Mama biegnie, a przecież nie mogę się urodzić teraz, gdy w środku nocy pędzi przez cmentarz”.

Może Lyle odbierze poród, pomyślała Didi.

Zastanawiała się, czy gdyby się przyznała, że rodzi, czy wtedy... Może by się nad nią zlitował. Podniesiona na duchu wiarą, że obudzą się w nim ludzkie uczucia, Didi odezwała się ostrożnie, gdy już minął skurcz:

- Lyle, bardzo ci współczuję z powodu twojej straty. Naprawdę. Bardzo mi cię żal. Serce mi pęka na myśl o tym, co się stało. - Mówiła szczerze.

- Opowiadałem ci o Mazatlan, Didi? - odezwał się porywacz. - Wybraliśmy się tam z Mel. Jechaliśmy do Acapulco, ale samochód się zepsuł.

Czy naprawdę muszę tego słuchać? - pomyślała.

- Wysłuchaj mnie, Didi. To ważne. Najpierw wydawało się nam, że prześladuje nas pech. Ale to wcale nie był pech. Bo wystarczył jeden dzień w Mazatlan, a zapomnieliśmy o planach wyjazdu do Acapulco, a potem na Jukatan, żeby obejrzeć piramidy. Po jednym dniu w Mazatlan nie chcieliśmy już niczego oglądać. - Stał odwrócony plecami do Didi. Osunął się na kolana. - Siedzieliśmy na plaży i zajadaliśmy się świeżymi rybami. Kupiliśmy na straganie owoce, a wieczorem raczyliśmy się kawą, kurczakiem w ostrym, meksykańskim sosie i sopapillas.

Didi cofała się wolno. Lyle wpadł w trans. Jeśli dalej będzie mówił, uda jej się dotrzeć aż do samochodu.

A co wtedy? Jak go uruchomi? Splunie na przewody i potrze je rękami? A może powinna rzucić urok? Gdyby potrafiła czarować, na pewno nie wykorzystałaby tej umiejętności tylko do uruchomienia jakiegoś durnego samochodu.

- Następnego dnia wóz naprawiono - opowiadał mężczyzna - ale nie wyjechaliśmy. Chyba nawet nie zajrzeliśmy do warsztatu, dopóki nie nadszedł czas powrotu do Teksasu. - Mówił do płyty nagrobnej, a nie do Didi, cofającej się o kolejne parę kroków. - Pamiętam, jak

przyglądałem się starcowi, który wyplatał kapelusze z trawy. - Zaśmiał się cicho i obejrzał na nią; znieruchomiała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - Dokąd się wybierasz, Didi?

- Donikąd, Lyle.

- Właśnie. Donikąd.

Mierzył ją wzrokiem, ale się nie zbliżał.

- Wydaje mi się, że stoisz dalej niż parę minut temu. A może to tylko mój wzrok płata mi figle?

Didi przysunęła się parę kroków.

- Co się stało? Nie podoba ci się moja historia?

- Bardzo mi się podoba. Powiedz, czy w Mazatlan było ładnie?

- Ładnie? Wyjechaliśmy w naszą podróż poślubną. Wtedy wydawało mi się, że moja żona jest ładna. I słońce. I ocean. Pewnie Mazatlan też. To wspaniałe miejsce dla dzieci, mają tam fantastyczne plaże, a woda jest ciepła. Widzieliśmy dużo bawiących się maluchów.

- Sądząc z opisu, to miłe miejsce.

- Nie chciałabyś tam się wybrać?

Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć.

Tak?

Nie?

Wśród myśli, przebiegających jej teraz przez głowę, Mazatlan zajmowało akurat ostatnie miejsce.

Nie odważyła się poruszyć, choć mężczyzna ponownie odwrócił się w stronę grobu.

- Pamiętam, jak poznałem Mel. Siedziała w barze w Abilene z jakimś facetem. Wpadła mi w oko. Wyjątkowa laska. Tego wieczoru wyszła z baru ze mną - mówił dumnie. - Pobitem się z tamtym typkiem. A bez przednich zębów już się nie podobał Mel. - Umilkł. Didi modliła się, by się nie

odwrócił i nie zobaczył jej wykrzywionej twarzy. - Pamiętasz, jak poznałaś męża? - spytał.

- Aaa... Tak - wyjąkała.

Gdybym mogła ponownie przeżyć jakiś dzień, wybrałabym właśnie ten, kiedy poznałam Richarda. Był moim nowym szefem, zaprosił mnie na lunch. Spędziliśmy razem całe popołudnie i już wtedy wiedziałam, że nigdy nie umówię się z nikim innym. Właśnie to pragnęłabym odzyskać. Początek naszego wspólnego życia.

- W Mazatlan piasek jest chłodny - zwrócił się Lyle do płyty nagrobnej. - Prawda, Mel? Dzięki temu maluchy nie parzą sobie stóp, gdy biegają bosy. Byliśmy tam tacy szczęśliwi.

Didi czekała. Boże.

Nagle przyszło jej do głowy, że może właśnie tego chciał porywacz - zabrać ją do Mazatlan. Na samą myśl o tym ścisnął jej się brzuch. Dobry Boże, pomóż mi. Czy zawiózłby mnie tam siłą? Co on sobie wyobraża?

- Marzę, by na zawsze zostać w Mazatlan - ciągnął ze smutkiem Lyle. - I żeby wiecznie trwał zachód słońca i było ciepło. Pragnę, byśmy chodzili po ulicach w koszulkach....

„Byśmy”? - pomyślała Didi.

- ...i w szortach. Nie mieć samochodu, zajadać się tortillą, opijać margaritą, wstawić się tequillą i chodzić, chodzić, chodzić... czuć pod nogami Mazatlan. Moje życie tam się zatrzymało. Pragnę to odzyskać.

Ja zaś pragnę odzyskać moje życie. To, które wiodłam, zanim cię poznałam.

- Teraz wszystko się zmieniło - ciągnął Lyle. Didi skinęła głową, ale się nie obejrzała.

- Nic nie wróci do dawnego stanu. Zgadzała się z nim.

- To robota śmierci. Miażdży ci życie tak, że na podłodze zostają tylko bebechy.

- Pochyl się - powiedziała cicho Didi - i pozbieraj te bebechy, włóż do środka, zaszyj i idź dalej.

- Łatwo ci radzić, dada Didi. Żyłas jak w bajce.

To wariat, czyż nie? Oto, co z nim jest nie tak, a ja nie potrafię tego naprawić. Wszystko może się zdarzyć.

I już się wydarzyło. Została porwana w środku zupełnie normalnego, pogodnego dnia. A po wielu godzinach, kiedy wysłuchiwała opowieści o Mazatlan, dopiero do niej dotarło, że ten facet zwariował. Chyba faktycznie nie jestem szczególnie bystra, pomyślała Didi.

- Nie jestem wariatem - pokręcił głową Lyle. - Nawet jeśli takie sprawiam wrażenie. To tylko ból odbiera mi rozum.

- Oczywiście - zapewniła pośpiesznie. - Nic takiego nie twierdzę.

- Sądzisz, że musisz coś powiedzieć na głos, żebym to usłyszał?

Odwrócił się i w gasnącym świetle dnia Didi przysięgłaby, że wyciągnął rękę po broń. Miała wrażenie, że w piersi rozprysnęła jej się szyba. Zachwiała się nagle.

Ale nie sięgnął po rewolwer. Nie zabił jej.

- Była dobrą żoną, Didi - mówił Lyle, chwytając się za serce. - Lepszą niż ty. - Wpatrywała się w niego zdumiona. - Tak. Była lepszą żoną, wartą dziesięć takich jak ty - ciągnął bezlitośnie. - Nigdy nie dźwigałaby ciężkich toreb.

- Toreb... - powtórzyła tępo.

- Nigdy nie mieliśmy forsy, ale nie narzekała. Ani razu. Oczywiście, chciała, byśmy mieli trochę więcej, lecz się nie skarżyła. A już na pewno nie włóczyła się po sklepach i nie wydawała pieniędzy przeznaczonych na jedzenie na kosmetyki, bieliznę czy inne gówno... - Przerwał, jakby nagle coś sobie uświadomił.

- Bo cała forsa szła na alkohol i pety - mruknęła Didi.

- Co mówiłaś?

- Nic, nic - odrzekła szybko. - Mówiłam tylko, że pewnie pochłaniały ją zakupy dla dziecka.

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Za daleko stoisz. Przysuń się bliżej. Niechętnie posłuchała.

- Co kupowałaś w sklepie Victoria's Secret?

Didi już nie pamiętała wydarzeń sprzed południa, więc milczała. Musi usiąść. Musi wrócić do samochodu.

- Co tam kupiłaś? - nalegał porywacz.

- Nie wiem, Lyle. Pewnie coś do szpitala.

- Do szpitala? - powtórzył nie rozumiejąc.

- Na okres po porodzie - wyjaśniła słabo.

Czy to odpowiednia chwila, by powiedzieć, że lada moment może to się stać? Czy to kolejny dobry moment, żeby poprosić o uwolnienie? Och, Lyle, błagam, puść mnie wolno, dam słowo, że nikomu nie powiem, będę dobra. Przysięgam. Zaklinam, uwolnij mnie, bo rodzę.

Czy w jego nędznym sercu nagle zrodziłoby się współczucie? Nie przejmował się stanem Didi na tyle, by dać jej choć kroplę wody. Nie obchodziło go, że całą twarz zalała jej krew, a teraz nagle miałyby się w nim odezwać wyrzuty sumienia, bo zaczęła rodzić?

Wiara Didi w człowieczeństwo drastycznie zmaląła.

Nagle Lyle uśmiechnął się do niej.

Z serdecznym, pogodnym wyrazem twarzy, jakby była gościem przekraczającym jego próg w dzień Bożego Narodzenia, powiedział spokojnie:

- Nie pojedziesz do szpitala, śliczna Barcelono, kwitnąca Arizono, ciężarna Desdemono. Nie dla ciebie szpital.

Cofnęła się przed nim i upadła. Nawet nie wyciągnął ręki, by ją podtrzymać.

Gdy leżała przed nim skulona, przyglądał się jej z lekkim uśmiechem. Patrząc na mężczyznę, stojącego w świetle

reflektorów radiowozu, Didi pomyślała: więc to tak? Tu dobiegnie końca moje życie?

Krzyknęła.

Ból w brzuchu stał się nie do zniesienia, klęczała teraz z rękami na piersi, patrząc na porywacza i krzyczała. Podeszedł i zmusił ją do wstania, ale nadal wrzeszczała. Zaczął nią potrząsać, a wtedy nadszedł kolejny skurcz. Właściwie zaczął się w dobrej chwili; mogła się szarpać i krzyczeć Lyle'owi prosto w twarz.

Uciszył ją jednym policzkiem - zupełnie jakby wcisnął wyłącznik. Pstryk! Zamknij się. I już nie słychać było żadnego odgłosu, tylko świerszcze i jej oddech.

W końcu ją puścił. Osunęła się na ziemię.

- Drzyj się do woli - powiedział, klękając przed nią. - Tu i tak są sami nieboszczycy.

I roześmiał się głośno. Didi aż się cofnęła przed tym gwałtownym chichotem. Mężczyzna nie odrywał od niej wzroku.

- Możesz się drzeć, możesz wrzeszczeć, rzucać się na mnie, bić, wzywać Boga, ale nikt się nie zjawi.

Wyprostował się i rozpoczął szaleńczy taniec dookoła grobu. Didi pomyślała, że wygląda to, jakby tańczył na grobie żony i dziecka.

- Całe życie człowiek jest dobry - zawodził, wykonując konwulsyjne skoki. - Nie kradnie, nie kłamie, nikomu nie robi krzywdy, aż pewnego dnia, kiedy modli się o pomoc, kiedy zwraca się o pomoc w zamian za wszystkie dobre uczynki, które spełnił... Raz w całym kurewskim życiu naprawdę potrzebuje pomocy, bo sytuacja go przerosła, to jej nie otrzymuje. A wiesz, dlaczego? Wiesz, dlaczego nikt wtedy ci nie pomaga, dada Didi?

- Nie. - Sama nie słyszała własnego głosu. - Dlaczego?

- Bo wszystkich gównu to obchodzi! Wszyscy mają cię gdzieś. Bo czasem dobrych ludzi spotykają złe rzeczy i nikt nawet nie ruszy palcem, żeby to naprawić.

Zgięła się wół i przysiadła na piętach. Wreszcie nie musiała stać. Zamroczyło ją z bólu, kolejny skurcz był taki silny, że na chwilę zagłuszył przerażenie, które ścisnęło jej serce. Dziękowała za to losowi, lecz to również szybko minęło.

Nie zauważyła, kiedy zmierzch przeszedł w mrok.

Przywarła do ziemi. Prawie nic nie widziała, bo jedno oko zakleiła jej krew, a drugie z trudem mogła otworzyć, jednak szukała wokół siebie jakiegoś kamienia albo chociaż gałęzi.

Nic, tylko ziemia i żwir. Zgarnęła garść piasku.

Kiedy podszedł do niej Lyle, spróbowała dźwignąć się na nogi. Piasek po trochu przesypywał się przez jej palce, aż w końcu miała już pustą dłoń.

- Dlaczego klęczysz, Didi? - zapytał spokojnie. - Modlisz się za moją żonę?

Próbowała wstać.

- Nie. Już nie. Teraz modlę się za siebie. Kucnął przed nią.

- Nikt cię nie słyszy, Desdemono - powiedział niemal czule. - Nie smuć się tak, mnie też nikt nie wysłuchał. Ani mojej żony. Ani mojego synka.

Dzieliło ich zaledwie parę kroków. Pozostała na klęczkach; nie mogła się dźwignąć bez jego pomocy. Lyle, przykucnięty, spoglądał na nią bacznie. Didi oderwała wzrok od ziemi, nadal ściskając w dłoni resztki piasku i popatrzyła mu prosto w oczy. Były przejrzyste i smutne. Usta miał lekko rozchylone, płytko oddychał.

Noc nie przyniosła chłodu, a reflektory samochodu jeszcze bardziej rozgrzewały powietrze.

Machnęła skutymi rękami i rzuciła piaskiem w mężczyznę. Lyle odsunął się i wypluł ziemię, a potem na klęczkach zbliżył się do Didi, pochylił się, chwycił jej twarz i z całej siły pocałował w usta. Odchylała się najdalej jak mogła - przewróciłaby się na plecy, gdyby jej nie trzymał - nie mogła jednak odsunąć głowy.

Wreszcie trochę się cofnął, lecz nadal dzieliło ich zaledwie parę centymetrów.

- Gdzie jest Bóg? - spytał, patrząc na rozgwieżdżone niebo i księżyc. - Jesteśmy na otwartej przestrzeni, na cmentarzu. Krzycz, wzywaj Go. Gdzie się podział? Skoro nie ma Go wśród umarłych, to gdzie jest?

- Nie potrzebuję pomocy Boga, tylko twojej, Lyle. Pomóż mi wstać, wsadź mnie do samochodu, odwieź do najbliższej głównej drogi i tam mnie zostaw...

- Żywą czy umarłą? - przerwał jej z uśmiechem,

- Żywą, Lyle, żywą! Musisz zobaczyć we mnie żywą istotę. Musisz we mnie dostrzec człowieka i przestać mnie krzywdzić.

Nie przerwał jej, więc mówiła dalej. Coraz bardziej podnosiła głos, a potem jęczała i zawodziła, ściskając się za brzuch. Rozdzierał ją ból, ale nie chciała, by porywacz to zauważył.

- Nie zrobiłam ci nic złego, ani razu. Nie odwróciłam się od ciebie, gdy mnie potrzebowałeś. Nie wyrządziłam krzywdy twojej żonie, ani twojemu dziecku...

- Za to szkodziłaś własnemu, dźwigając te cholerne torby.

- Nie szkodziłam mu! - ryknęła z całej siły. Skurcz minął.

- Nie wyrządziłam mu żadnej krzywdy - tłumaczyła spokojniej. - Tak samo jak nie szkodziłam mu, spacerując czy biegając. Nie dźwigałam cegieł, tylko zabawki dla dzieci. Nic mi nie dolegało, Lyle. Mojemu dziecku też nie. - Umilkła. - Doskonale się czuliśmy, dopóki ty się nie zjawiłeś.

- Tylko ci się tak wydawało, Didi. Sądziłaś, że wszystko jest dobrze i tak będzie. Tyle że w jednej sekundzie to się zmieniło. Właśnie na tym polega życie i przeznaczenie. Są nieprzewidywalne, nie rozumiesz?

- Lyle, wcale nie są nieprzewidywalne, to ty jesteś taki. Gdybyś nie wkroczył w moje życie, przeżyłabym przyjemny dzień.

- Ale wkroczyłem w nie. Zjawiłem się w twoim życiu, podobnie jak ty w moim, z tym swoim wielkim brzuchem. - Próbowałem zapanować nad drzeniem głosu. - Śmierć przyszła do mojej rodziny. Nie zapraszałem jej, nie chciałem, by nas odwiedzała. Moja żona zawsze starała się uczestniczyć w niedzielnym nabożeństwie...

Pod warunkiem, że nie leczyła kaca po sobotniej balandze - dodała w duchu Didi.

- Oddałaby cuchnącemu bezdomnemu ostatni kawałek chleba. Nigdy w niczym mi się nie sprzeciwiała, a mimo to śmierć wkroczyła w jej życie i w moje. - Nie krył już łez.

Wbrew sobie - a może właśnie dlatego, że taka była - Didi znowu zaczęła mu współczuć. Coś rosnęło jej w gardle i zmaterializowało się w postaci pełnego żalu westchnienia.

Porywacz runął przed nią na ziemię. Wyprostowała się i uklękła na piętach. Mężczyzna szlochał: załamany, cierpiący, pogrążony w żałobie. Wydał jej się taki osamotniony, zagubiony, niegroźny.

Delikatnie pogładziła go po głowie poranionymi rękami w kajdankach.

- Wszystko będzie dobrze, Lyle - szepnęła. - Poradzisz sobie.

A potem cofnęła się na kolanach. To dusza stojąca przed Bogiem. Dusza pogrążona w mroku.

- Lyle - odezwała się cicho naprawdę sądzisz, że nie rozumiem tego, co czujesz?

Spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Nie, nie rozumiesz, Didi. Nigdy w życiu niczego nie straciłaś.

- Nieprawda, Lyle - skłamała.

Faktycznie, nigdy w życiu nie straciła niczego ani nikogo tak drogiego jak współmałżonek czy dziecko. Mężczyzna pokręcił głową.

- Prawda, Didi. Wystarczyło na ciebie spojrzeć. Byłaś taka radosna, gdy kręciłaś się po sklepach i oglądałaś wystawy. Ani chmurki na horyzoncie, uśmiechałaś się do chłopaka, który sprzedawał precle, gawędziłaś z ekspedientkami. Promieniałaś szczęściem. Twój mąż pewnie też jest szczęśliwy. Zgadza się?

- Nie teraz.

- I nigdy więcej nie będzie - dodał Lyle.

Gdyby nie zaciskała zębów, by wytrzymać kolejny skurcz, wybuchłaby oburzeniem. Jak mogła w ogóle go żałować, gdy się załamał!

- Jeśli... - z trudem dobywała słowa - jeśli będziesz błagał... Boga... o przebaczenie... zachowasz życie wieczne.

Ból stawał się nie do zniesienia. Didi zaczęła płakać. Zdaje się, że skurcz trwał dłużej niż sześćdziesiąt sekund.

- To Bóg powinien błagać mnie o przebaczenie - oświadczył zimno Lyle, wstając.

- Pomóż mi się podnieść - poprosiła. - Nogi mi zdrętwiały. Nie podał jej ręki.

- Radź sobie sama.

Wyciągnęła do niego ramiona. Mój brzuch jest taki wielki - chciała powiedzieć. Noszę w sobie piętnaście kilogramów dodatkowego ciężaru, który przygniata mnie do ziemi. Potrzebuję twojej pomocy. Nagle jednak pomyślała, że zwracając się do niego o pomoc, zwraca się do samego diabła. Jeśli wyciągnie rękę, będzie to oznaczać, że sama go do siebie

zaprosiła, a gdy już wejdzie, nic go nie wygoni - w każdym razie nie ona i nie teraz, kiedy jest taka słaba. Zabraknie jej siły woli, by wypędzić złego ducha. Didi opuściła ręce.

Zmagała się, by wstać i w końcu jej się udało. Teraz było znacznie lepiej. Popatrzyła na Lyle'a. Był o wiele za silny dla ciężarnej kobiety.

Rodzanej kobiety. Patrząc, jak porywacz podchodzi do grobu żony, poczuła kolejny skurcz. Mężczyzna uklęknął i pocałował kamień.

- Zegnaj, Mel. Już tu nie wrócę. Na pewno zrozumiesz. Ale wszystko dobrze się ułoży. Czuję to. - Po dłuższej chwili wstał. - Idziemy, Didi. Wracamy do samochodu.

Poruszała się wolno, udając, że przygląda się cmentarzowi.

- Możesz mi otworzyć drzwiczki? - spytała. Otworzył i wepchnął ją do środka.

Jeśli natychmiast się czegoś nie napiję, umrę. Znowu przypomniła sobie Hioba:

„Jestem niczym wysuszone źródło, usta mam niczym opróżniony dzban, język przysechł mi do podniebienia, złożyłeś moje ciało w prochu grobu”.

Tak jakby był to teraz mój największy problem! Odchyliła głowę i zamknęła oczy.

Słyszała, jak Lyle włącza silnik, i ruszyli.

- Usunęłaś kiedyś ciężę, Didi? - spytał.

- Co? - spytała cicho i nagle...

Miarka się przebrała.

Podniosła ręce i z całej siły uderzyła go w głowę metalowymi kajdankami.

Wydawało jej się, że rozdarła mu skórę. Jęk porywacza sprawił jej nieklamana satysfakcję. Nie odsunęła się, tylko jeszcze raz się zamachnęła, mocniej.

Lyle wyciągnął prawe ramię, żeby ją powstrzymać, ale uderzyła go, nacisnęła klamkę, otworzyła drzwiczki i wyskoczyła z samochodu.

Potworny ból rozsadzał jej klatkę piersiową. Samochód toczył się wolno, lecz ziemia była twarda - Didi odnotowała to tylko umysłem. Natychmiast się poderwała i zaczęła uciekać w mrok. Usłyszała krzyk porywacza: „Didi!”, ale się nie obejrzała. Pędziła w ciemności, między groby i drzewa. Wpadła na płytę nagrobną, rozcięła sobie nogę w kolanie, jednak mimo bólu ominęła tablicę i dalej biegła z wyciągniętymi rękami, by nie zahaczyć o drzewo albo gałąź. Nie słyszała za sobą Lyle'a, nie słyszała jego kroków, nawet swoich nie słyszała.

W świetle księżycy zauważyła jedno, a potem liczne drzewa. Skierowała się w tamtą stronę. Wiedziała, że porusza się wolno. Napięty brzuch jeszcze bardziej spowalniał jej kroki. Jeszcze trochę, jeszcze... - szeptała do siebie. Padła na ziemię i czołgała się, dopóki nie znalazła płytkiego rowka za drzewem. Wtoczyła się do niego, ułożyła na boku i próbowała nie oddychać.

21.00

Śmigłowiec wylądował na skrzyżowaniu podmiejskiej ulicy, zaledwie przecznicę od domu Luftów w Abilene. Czekwały już tu trzy czarne furgonetki. Tylne drzwi były otwarte, a w środku siedzieli „agenci specjalni” - jak ich nazywał Scott - czekając na instrukcje. Ubrani byli podobnie jak on, choć tylko paru zawiązało na głowach czarne chustki. W głębi ulicy Rich zauważył co najmniej dziesięć radiowozów z wyłączonymi syrenami, ale z migającymi światłami.

Somerville wyskoczył ze śmigłowca i z karabinem w ręce podszedł do mężczyzn w furgonetce.

- Przywieźliście mapę okolicy, o którą prosiłem?

Jeden z agentów przyniósł mapę i Scott przez chwilę ją studiował.

- Maski przeciwigazowe raczej nie będą potrzebne, ale zabierzcie statywy na karabiny, licho wie, kiedy zjawi się porywacz. I weźcie race dymne. Jeśli jest w domu, wykurzymy go.

- A potem zabijemy - szepnął Wood.

- Spokojnie... Masz, nie zapomnij o kamizelce. I dopilnuj, żeby porządnie ją zapiąć. Wiem, że jest gorąco, ale zapnij się należycie, dobrze?

Rich pokręcił głową. To nie jest jego życie. To nie on stoi teraz na spokojnej uliczce, obsadzonej drzewami, i zapina kamizelkę kuloodporną.

- Dasz mi broń?

- Spokojnie... - mitygował go towarzysz, zerkając na mężczyzn w czarnej furgonetce. - Nie mogę ci dać broni. To wbrew regulaminowi.

- Pieprz go.

- Gdybym dał ci broń, a ktoś by się dowiedział, byłoby już po mnie.

- Rozumiem z tego, że odmawiasz? Znam się na broni. W dzieciństwie polowałem z ojcem.

- A, krwawe rozrywki. Świetnie. To prawie niczym się nie różni od polowania. Na szczęście, nie będziesz w tym uczestniczył.

- A szkoda. - Rich popatrzył nad głową Scotta na agentów. - Czy naprawdę są potrzebni?

- Owszem, są. Na miłość boską, przecież my dwaj nie jesteśmy Butchem Cassidym i Sundance'em Kidem. Sami sobie nie poradzimy. Co byśmy bez nich zrobili? Przekonali porywacza siłą naszych argumentów?

- A co tu macie?

- Bo ja wiem? To co zawsze: gaz łzawiący, strzelby, bomby. - Och!

- A czego się spodziewałeś? Na przykład haubicy nie przywieźliśmy.

- Dlaczego? - spytał Wood, patrząc na spoconego Scotta.

- Dlaczego nie moglibyśmy sami iść do domu Luftów? Chodzi nam przecież tylko o informacje. Chyba nie sądzisz, że Lyle Luft przywiózł tu moją żonę, by ją przedstawić rodzicom.

Somerville zerknął na niego, a potem odwrócił wzrok. Rich był za bardzo oszołomiony, by czuć strach.

- Co? - spytał ze znużeniem. - Uważasz, że już ją zabił i wpadł do mamusi na małą kolacyjkę? Nie przypuszczam.

- Oczywiście, masz rację.

Scott popchnął go i ruchem ręki wezwał pozostałych mężczyzn.

- Dobra - zwrócił się do nich, idąc tyłem. - Słuchajcie i to uważnie. Możliwe, że w środku ukrywa się porywacz z zakładniczką, ciężarną kobietą. Facet chętnie sięga po spluwę i ma przynajmniej dwa rodzaje broni palnej. Dlatego zachowujcie się ze szczególną ostrożnością i rozwagą. Każde okno i drzwi ma obstawić co najmniej jeden człowiek.

Lokalna policja potrafi zorganizować blokadę? Nie chcę, żeby w czasie gdy my będziemy ustawiać sprzęt, nasz przyjaciel Lyle odjechał hondą z żoną tego człowieka. Teraz idziemy razem, a potem się rozpraszacie. Chcę podejść do domu zupełnie sam. Ale przyda mi się dwóch ludzi, którzy będą mnie osłaniali. Rich, ty tu zostajesz.

- Wykluczone.

Scott wyglądał na zaskoczonego. Agenci przestępowali z nogi na nogę.

- W środku może być moja żona - powiedział Richard tonem nie dopuszczającym żadnej dyskusji. - Ja też idę.

Jego towarzysz ciężko westchnął.

- I jeszcze dwóch ludzi do osłaniania pana Wooda. Wszystko jasne? Nadmiar ostrożności nigdy nie zawadzi - zwrócił się do niego, gdy ruszyli w stronę domu.

Oddał swój karabin jednemu z podwładnych. Chustka nie powstrzymywała strużek potu, spływających po twarzy Scotta.

- Nie wiem, jakim cudem w ogóle możesz się poruszać z tym całym towarem - odezwał się Rich.

- Przyznaję, że jest mi trochę ciepło. A stukając do obcych ludzi, wolę mieć na sobie garnitur i koszulę. Zawszeć to sprawia lepsze wrażenie.

- Zwłaszcza jeśli potem strzela się komuś w głowę?

- Właśnie.

- Rozumiem.

Ludzie z brygady specjalnej rozproszyli się między domami. Niektórzy wyprzedzili Richa i Scotta, a potem zniknęli między drzewami. Część szła za nimi. Czterech ich otoczyło.

Zanim skręcili w Washington Street, Scott zwrócił się do swych aniołów stróżów:

- Może by tak bardziej ostentacyjnie? Tamci tylko spojrzeli zdumieni.

- W porządku, miałem na myśli: mniej ostentacyjnie - wyjaśnił. - Macie być blisko, ale to nie znaczy siedzieć na nas, jasne? Nie chcemy, żeby otworzył ogień, jeśli tam się ukrywa.

Rich przyglądał się, jak agenci specjalni zajmują stanowiska. Lepiej się czuł ze świadomością, że go osłaniają. Rozpiął guzik u koszuli i szedł dalej. Podkoszulek miał mokry od potu, włosy też wilgotne. Wtedy zerknął na Scotta i zawstydził się, że w duchu narzekał na upał.

- Te zabawki chyba muszą sporo ważyć, co?

- W sumie tylko szesnaście .i pół kilo. To lekki ładunek. Zresztą trzeba odjąć pięć kilogramów, bo nie wziąłem karabinu. - Scott wyciągnął glocka 17 i upewnił się, że jest naładowany. Sprawdzał też w kamizelce, czy nie zapomniał magazynków. - Osłaniaj mnie, gdybym miał kłopoty - wydał polecenie.

- Mówisz do mnie? - zdziwił się Rich.

- Nie - odrzekł agent, ruchem głowy wskazując uzbrojonego kolegę po fachu.

- No cóż - odezwał się Rich, idąc razem z nim energicznym krokiem - ja mógłbym tylko sprzedać ci naprawdę świetną półkę wystawową, na której doskonale prezentuje się dwanaście najnowszych tytułów. Na tym kończą się moje talenty.

Szli przez starą, zadbaną dzielnicę. Niewielkie, na ogół parterowe domki stały wśród dużych drzew. Ze względu na późną porę tylko nieliczni mieszkańcy siedzieli w wygodnych fotelach na gankach - spoglądali teraz na ulicę zaintrygowani i lekko zaniepokojeni. Większość jednak spędzała wieczór w domu. Rich widział tych ludzi przez otwarte okna: oglądali telewizję.

Mężowie i żony oglądali razem telewizję.

Jedyne, na co go było w tej chwili stać, to iść dalej.

Jego towarzysz maszerował skupiony, bez uśmiechu.

- Nie spieprzymy roboty, prawda, Scott?

Agent nawet nie zwolnił; poklepał Richa po plecach ciężką ręką.

- Czas pogawędzić z szanownymi rodzicami Lyle'a.

Dom Luftów okazał się niewielkim, płaskim, brązowym budyneczkiem z długim gankiem. Scottowi nie podobał się ten długi ganek i Wood wiedział, czemu. Jeśli w środku jest Lyle, może bez trudu wysunąć broń przez jedno z frontowych okien i zastrzelić agenta, gdy ten będzie zmierzał do drzwi.

- Twoi ludzie cię osłonią, tak? - upewnił się Rich. Somerville skinął głową.

- Jeśli do mnie strzeli z drugiego końca ganku, moi ludzie mnie osłonią i zabiorą stąd, zanim wyciągnę kopyta. Ruszamy.

- Kolbą pistoletu załomotał do drzwi.

- Nie ma czasu na zabawę w uprzejmość - skomentował Rich.

- Nic a nic.

Drzwi otworzył chudy, łysy mężczyzna.

- Musieliście pomylić domy - odezwał się na powitanie. - Widziałem na podwórku waszych ludzi. To jakaś pomyłka.

- FBI - przedstawił się Scott. - Możemy wejść?

- Jeśli nie macie nakazu...

Agent pchnął drzwi i wdarł się do środka.

- Niech pan to sobie daruje, to dobrze brzmi w filmie albo na procesie jakiejś gwiazdy, my zaś ścigamy porywacza. Podejrzewamy, że mógł się ukryć w państwa domu. Nie potrzebujemy nakazu rewizji, żeby go szukać. Działamy w stanie wyższej konieczności. Ale skoro pan już był łaskaw o tym wspomnieć, dodam, że posiadamy za to nakaz aresztowania pańskiego syna. Gdzie się ukrył?

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza - odrzekł pan Luft.

- Proszę się wynosić z mojego domu... - Ale znieruchomiał,

gdy trzech ludzi wyważyło tylne drzwi i wpadło do salonu, popychając przed sobą siwowłosą kobietę. - Doris?

- Czego oni tu szukają, Lyle? - spytała piskliwie.

- Pani syna, pani Luft - wyjaśnił Scott. - Lyle'a Lufta. Musimy go ująć.

- Tu go nie ma - zaperzyła się kobieta. - A co w ogóle zrobił?

- Uprowadził żonę tego mężczyzny odrzekł Scott.

Oszołomiony Rich obserwował całą tę scenę. Agentom specjalnym wystarczyło dziesięć sekund, żeby wpaść do mieszkania i rozbiec się po wszystkich pokojach. Ubrani w czarne stroje i uzbrojeni, zdawali się rozsadzać niewielki domek. Wszędzie słyhać było ich tupot i pokrzykiwanie. W ciągu pół minuty przeszukali wszystkie kąty.

- Nie ma go tu - oświadczył któryś, wychodząc z łazienki.

- Oczywiście, że nie - warknął pan Luft. - Doris już wam to powiedziała.

- Lyle! - jęczała jego żona. - O co tu chodzi? Lyle nikogo nie porwał.

- Skąd pani wie? - zapytał Scott.

- Znam swojego syna. Nie skrzywdziłby muchy.

- Nie? - powtórzył Scott. - Otóż z zimną krwią zabił dwóch ludzi i uprowadził ciężarną kobietę.

Rich zauważył, że na obliczu matki Lyle'a - do tej pory pozbawionym emocji - coś drgnęło. Morderstwo i porwanie nie zrobiły na Doris wrażenia, natomiast na dźwięk słowa „ciężarna” wyraz jej twarzy gwałtownie się zmienił.

- Państwa syn jest poszukiwany za morderstwo pierwszego stopnia oraz uprowadzenie - tłumaczył niecierpliwie Scott. - Jeśli wiedzą państwo, gdzie się znajduje, i zatają tę informację, zostaną państwo aresztowani i skazani. Przy dużym szczęściu dadzą wam za to dziesięć lat. Przy mniejszym szczęściu, zostanieie uznani za współwinnych

zbrodni, za co dostaje się dwadzieścia pięć lat więzienia. Pytam po raz ostatni, gdzie jest państwa syn?

Rich uspokajająco położył Scottowi rękę na ramieniu, wysunął się naprzód i zapytał panią Luft:

- Dobrze się pani czuje? Wyglądała pani na nieco... wstrząśniętą, gdy agent Somerville wspomniał...

- Ciężarna? Powiedział pan: ciężarna? - zaskrzeczała.

- Milcz, kobieto - odezwał się pan Luft. - Na miłość boską, przestań histeryzować. Mówiliśmy panu: tu go nie ma - zwrócił się do Scotta.

- To zdążyliśmy już sprawdzić. A gdzie jest?

- Nie mamy pojęcia. Od trzech tygodni nie dawał znaku życia. To prawda.

- Ale pamiętasz, Lyle, jak się dziwiłam, że nie zadzwonił? Parę dni temu wypadały jego urodziny - wyjaśniła Doris Richowi - i nie udało nam się z nim skontaktować.

- Zamknij się, kobieto! - ponownie interweniował pan Luft. - Boże, co za baba!

Rich i Scott wymienili spojrzenia.

- Dobra - odezwał się agent. - Kawa na ławę. Gdzie teraz jest Lyle?

- Nie wiemy. Przeprowadził się do Dallas.

- To już zdążyliśmy sprawdzić - stwierdził Scott. - Odzywał się dzisiaj do państwa?

- Nie - odpowiedział Lyle senior.

- Czy widzieli go dziś państwo? - nie ustępował Somerville.

- Na to też odpowiedź brzmi: nie. Scott podszedł do pana Lufta.

- Niech pan nie będzie taki mądry. Nie ze mną takie numery. Starszy mężczyzna cofnął się parę kroków.

- Czy to już wszystko, panowie? Przykro nam, ale nie możemy wam pomóc.

Rich i Scott popatrzyli na Doris, która cicho płakała w kącie.

- Co się stało? - zwrócił się do niej Richard. - Dlaczego pani płacze?

- Och, jak zwykle histeryzuje bez powodu - bagatelizował mąż. - Doris, nie słyszałaś, co mówiłem?

Kobieta bezskutecznie próbowała zapanować nad szlochem.

- Oby tylko mojemu chłopcu nic się nie stało - płakała. Scott pokręcił głową, Rich spuścił wzrok. Matki... - pomyślał.

- Czy pani syn jest żonaty? - zapytał kobietę. - Czy jego żona spodziewa się dziecka?

- Mój syn... mój syn już nie...

- Doris! - uciszył ją małżonek.

- Panie Luft! - warknął Scott. - Proszę się nie wtrącać. - Zmrużył oczy i najpierw przyjrzał się Richowi, a potem pani Luft. - Czyżby pani syn już nie był żonaty? - zwrócił się do kobiety.

- Tak, tak - płakała Doris. - Co za tragedia, potworne nieszczęście... Och, Boże, Boże najłaskawszy, ulituj się nad moim synkiem... Och, to po prostu straszne...

- Co się stało? - drażył Scott. - Żona go rzuciła?

- Nie, zmarła - odpowiedziała matka Lyle'a. - Dziecko urodziło się przed terminem i wykrwawiła się na śmierć albo coś w tym rodzaju. Nie dało się jej uratować. - Kobieta zaplotła palce i nie patrzyła ani na Richa, ani na Scotta. - Urodził się chłopczyk i po śmierci Melanie Lyle wszystkie swe nadzieje skupił na synku. Gdyby mały przeżył, chłopak na pewno by się pozbierał.

- Dziecko umarło? - spytał Wood ze spopieloną twarzą.

- Był jeszcze za malutki. Bóg zabrał go tam, gdzie jego duszyczka nie potrzebuje płuc. - Chlipnęła.

Richard spuścił głowę. Nie mógł już patrzeć na kobietę.

- Dopóki nie doszło do tej tragedii, Lyle był takim dobrym chłopcem...

- Nie bądź naiwna! - zawołał pan Luft. - Wcale nie był dobrym chłopcem. Choć raz w życiu przestań go kryć!

- Nie kryję go - oświadczyła zdecydowanie. - To mój syn i był dobrym chłopcem...

- Tak? To dlaczego nigdy nie znalazł sobie porządnej roboty? Jak to się stało? Dlaczego nieustannie wracał do domu z podbitym okiem lub ukruszonym zębem, dlaczego nieustannie interesowała się nim policja? Dlaczego ktoś nieustannie wybijał nam szyby i niszczył samochody? Od najmłodszych lat ściągał na naszą rodzinę wyłącznie nieszczęścia.

- To nieprawda - szepnęła Richowi Doris, nie przestając kręcić głową. - Nie notowano go. Po prostu był zagubiony. Nie wiedział, czego chce. Ale dzięki Mel wyszedłby na prostą, a dziecko... Tak strasznie go pragnął.

Pan Luft z rezygnacją odwrócił się od żony.

- Nadal twierdzisz, że jest jedynie zagubiony, Doris? Porwanie, morderstwo? Czy to świadczy tylko o zagubieniu?

- Śmierć dziecka i Mel go załamały - szeptała dalej. - Poradziłyby sobie, gdyby dziecko przeżyło.

- Litości, kobieto! - huknął jej mąż. - Śmierć dziecka tylko potwierdziła prawdę o nim: to gamoń i nieudacznik.

- To twój syn! - podniosła głos Doris, nadal płacząc. - Jak możesz tak go nazywać? To twój syn!

- Mój jedynak - powiedział cicho mężczyzna, opadając na fotel. - Jedyne dziecko.

Rich myślał o milionie mieszkańców Dallas i o tym, że Lyle Luft wybrał właśnie jego żonę. Brakowało mu słów. Wszyscy milczeli.

- Bardzo pani współczuję - odezwał się wreszcie Scott. - Gdzie mieszkają rodzice dziewczyny? Chcemy z nimi porozmawiać.

- Chodzi o Berniego i Maureen Blecków? Nie mieszkają tu, tylko aż w Edenie - wyjaśniła. - Stamtąd pochodziła Melanie.

- Eden, Eden... - powtórzył agent. - Nie kojarzę.

- Niewielka miejscina na południe od... Rich już ciągnął go za rękaw w stronę drzwi.

- Dziękuję! - zawołał jeszcze Scott.

- Jedziemy - powiedział Wood, gdy już wyszli na ulicę. - Założę się, że właśnie tam stoi honda. W Edenie.

21.00

Na cmentarzu w Edenie Didi leżała cicho na boku, skrajnie wyczerpana. Marzyła o wodzie. To jedyne miejsce, gdzie mogę się ukryć, myślała. Więc na pewno Lyle będzie mnie tu szukał.

Myślała o własnej przemijalności. Aż do dziś wszelkie rozważania o śmierci odbywały się na płaszczyźnie teoretycznej. Czy kiedy dziś rano ten biedny policjant wychodził do pracy, w ogóle zaświtało mu w głowie, że to ostatni dzień jego życia? Ani jemu, ani mnie. Żegnając się rano z Richem, powiedziałam: „Nie zapomnij wypełnić formularzy szpitalnych i wpadnij do Tom Thumb po banany”. Między pocałunki wcisnęłam też parę kuksańców. Gdybym pomyślała, że to może być ostatni dzień mojego życia, zostawiłabym bardziej szczegółowe instrukcje. Zostawiłabym też przepis na kotlety mielone.

Szuka mnie, prawda? Lada chwila tu się zjawi. Didi zamknęła oczy i ponownie je otworzyła. Wydawało jej się, że dostrzega księżyc nad drzewami i błyskawicznie zacisnęła powieki. Skoro widzi księżyc, to zauważy także mężczyznę. Nie chciała go zobaczyć. Może jeśli zamknie oczy, porwacz pójdzie sobie, a ona obudzi się i znowu będzie w domu.

Chciało jej się płakać, ale w wysuszonym organizmie została jedynie woda ochraniająca dziecko. Didi dziwiła się, że pęcherz płodowy nie pękł, gdy upadła, wyskoczywszy z samochodu.

Ścisnęła obolały brzuch, skutymi rękami wodziła w górę i w dół. Gdyby tak mogła zanurzyć dłonie w ciepłych mydlinach. To by wystarczyło. Trochę wody z mydłem, odrobina gimnastyki kciuków i pozbyłaby się kajdanków.

Oczywiście, gdyby znalazła nawet odrobinę wody, w pierwszej kolejności wcale nie pomyślałaby o zdjęciu

kajdanków. Przeciągnęła suchym językiem po spękanych wargach.

Świadomość, że Lyle jej szuka, budziła w Didi przeraźliwy strach i gniew. Zawsze była dobrą córką i przyzwoicie traktowała swoje dwie siostry. Skończyła szkołę, nauczyła się pisać na maszynie, znalazła pracę w niewielkim wydawnictwie i poznała Richa. Była przykładną żoną i matką. Dlatego chciała się dowiedzieć, czemu nagle, w samym środku życia, spotkała ją taka kara?

*

Poczuła znajomą woń, która przywodziła na myśl młodsze lata, jakieś wspomnienia wieku dojrzewania. Didi nie potrafiła dokładnie jej określić i nawet nie chciała tego robić, ale mimo wszystko...

Wiedziała, co to za zapach: dawnego ogniska.

I co najdziwniejsze, ten zapach wygasłego popiołu był ważny. Dlaczego ktoś palił tu ognisko?

Zmordowany umysł nie chciał pracować. Dobięły ją ciche kroki i głos. Z dudniącym sercem Didi skupiła się na ognisku. Co? Co? Zamknęła oczy, myśląc o ognisku.

Dzieci... Tak, o to chodziło. Prawie ją rozśmieszyła ich krnąbrność. Przychodzą nocą na cmentarz i rozpalają ognisko, by pokazać, iż nie lękają się najgłębszych ciemności i udowodnić, że nie boją się duchów. Przychodziły tu nastolatki i rozpalały ognisko.

Przychodziły tu nastolatki i rozpalały ognisko. Ta myśl przeszła umysł Didi niczym prąd elektryczny. Chryste Panie, tak, oczywiście! Właśnie tego potrzebowała.

Rozważała za i przeciw. Jeśli wstanie, Lyle natychmiast ją zauważy. Tutaj jednak, w tym dołku, właściwie już może pożegnać się z życiem. Nie trzeba geniusza, żeby na to wpaść.

Uklękła na czworaki i z nadludzkim wysiłkiem dźwignęła się z ziemi. Możliwe, że nawet jęknęła. Wydawało jej się, że

czuje kolejny skurcz, ale starała się nie zwracać na to uwagi, bo musiała iść. Zaciskając zęby, zrobiła parę kroków i nagle sobie uświadomiła, że stojąc, nie czuje zapachu dymu. Uklękła znowu i czołgała się z twarzą przy ziemi. Znowu poczuła dym, lecz zwolniła, a potem się zatrzymała. Oczy przesłoniły jej łzy rozpacz. Do diaska, pomóż mi choć trochę, odrobinę.

I w tym momencie usłyszała wołanie:

- Desdemonooooo, gdzie jesteś, kochanie?

Didi stłumiła krzyk przerażenia. Wysunąwszy przed siebie dłonie, czołgała się na czworakach, podparta na łokciach. Kierowała się w stronę zapachu dymu.

- Desdemonooooo, moja Sharonooooo, moja Arizonooooo, gdzie jesteś?

Skóra na łokciach zdarta jej się do żywego mięsa, ale Didi nie zwracała na to uwagi. Z nosem przy ziemi wolno poruszała się w ciemnościach. Łomotanie serca prawie zagłuszało głos mężczyzny, słyszała go jednak. Nie zbliżał się, lecz coraz częściej ją wzywał. Gdybym tylko znalazła ognisko, na pewno znajdę tam to, czego potrzebuję...

- Desdemonooooo, wyjdź, przestań się ukrywać. - I po chwili: - Znajdę cię, Desdemonooooo, nie ukryjesz się przede mną. Odnajdę cię.

Jego śmiech odbijał się echem wśród nagrobków.

Potworny strach sprawiał, że zamiast brzucha czuła próżnię. Koszmarna, wielka pustka obijała jej się o żebra, kaleczyła od środka. Didi prawie się nie posuwała. Budziła w niej odrazę własna powolność. Gdyby tak była sprawniejsza i szczupła, gdyby mogła biec, a nie wlec się tylko, szorując brzuchem po ziemi. Ale mimo wszystko coraz wyraźniej czuła zapach ogniska.

Rzuciła się na ziemię i rozpaczliwie szukała butelki po piwie.

Usłyszała ogłuszający śmiech Lyle'a - . Nim zdążyła się podnieść albo odwrócić, poczuła, jak mężczyzna na nią pada.

*

- Didi, dziwię ci się. Jak mogłaś ode mnie uciec? - powiedział.

Dyszała ciężko, leżąc twarzą do ziemi. Przygniatał ją i nie pozwalał się odwrócić. Nacisk leżącego na niej Lyle'a to było za dużo dla jej brzucha. Próbowwała się podnieść, zrzucić z siebie ten ciężar. Nadaremnie.

- Boli - szepnęła. - Złaż ze mnie.

Chciała to wykrzyczeć, ale nawet nie mogła zaczerpnąć tchu. Porywacz ani drgnął.

- Zejść z ciebie, he? Zejść? Nie licz na to. Nie można ci ufać. Zaraz byś mnie zaatakowała, kiedy najmniej bym się tego spodziewał.

- Zejdz ze mnie - powtórzyła głośnie. - Robisz krzywdę dziecku. Nie usłyszał albo zignorował jej prośbę, bo dalej na nią napierał.

- Powiedz, dlaczego się na mnie rzuciłaś? No, czemu? Czemu? Czemu? - Nie czekając na odpowiedź, wgniótł jej twarz w ziemię i ciągnął: - Nadal próbujesz uciec. Cholerna, uparta baba. Nie rozumiesz, że to niemożliwe? Nie zdajesz sobie sprawy, że to twoje przeznaczenie? - mówił w jej splątane włosy. - Jezus Chrystus umarł za nasze grzechy, Didi. Czy jesteś gotowa umrzeć?

- Złaż ze mnie, do cholery! - powtórzyła z ustami w piasku. Chrystus umierając, nie nosił w sobie dziecka! - chciała zawołać.

- Bóg cię przeklnie, Lyle. Przeklnie cię. A teraz zachowaj się jak mężczyzna i zejdz ze mnie.

Muskał ustami jej kark i lekko uniósł biodra. Mogła lżej oddychać.

- Sprawiasz wrażenie wzburzonej, bardzo przepraszam - odezwał się drwiąco. - Nie chciałem cię urazić. Zaczniemy od początku. Nie będziesz przede mną uciekać, prawda? A może chcesz, żebym skuł ci też i nogi? W bagażniku zostały drugie kajdanki. Zastanawiałem się, czy je ze sobą brać. Są dość ciężkie. Na pewno niełatwo by się w nich uciekało.

Przestała go słuchać. Coś zraniło ją w policzek. To mógł być patyk, węgiel albo szczapa.

Albo też kawałek szkła.

Czuła to klucie, tymczasem Lyle dalej na niej leżał i szeptał - niemal miłośnie - w jej włosy.

- Desdemono, Desdemono... nie chcę cię skrzywdzić. Ale nie zamierzam też się z tobą zмагаć. To jak będzie? Czy wolisz, bym obszedł się z tobą surowo? Wcale nie muszę tego robić, wszystko może pójść gładko. I bezboleśnie. Które rozwiązanie wybierasz?

Rozdarta kolejnym skurczem Didi milczała, drapiąc paznokciami ziemię. Głos odzyskała dopiero, gdy skurcz minął.

- To bezbolesne.

Położyła skute dłonie przy twarzy i z całej siły chwyciła złamaną szyjkę od butelki.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu.

Kiedy otworzyła usta, by coś powiedzieć, natykała się piachu. Nie przejęła się tym, kiedy znalazła to, czego szukała. Och, ale gdyby tak móc zetrzeć ten piach z ust. Wszystko to zetrzeć. Czy ma zamknięte oczy? Nie wiedziała. Mrugnęła. Nic. Ciemność. Muszę zachować trzeźwość umysłu. Muszę być czujna. Nie mogę stracić przytomności.

Ale traciła ją. Docierał do niej tylko koniec zdań. Albo początek. A potem traciła przytomność. I odzyskiwała.

Traciła i odzyskiwała.

*

Nagle Lyle wstał. Przekreśliła się na bok, dysząc, chwytając się za brzuch i nie wypuszczając z zaciśniętej dłoni szyjki od butelki. To...

Kolejny skurcz.

Szybko idzie. Za szybko.

O Boże!

Zacisnęła palce na szkle i jęknęła. Mężczyzna nie zareagował. Pewnie sądził, że dyszy, wyrównując oddech.

- Chcę pić. Chcę do męża - odezwała się Didi, gdy skurcz minął. Najpierw picie, dodała w duchu. Potem Rich.

Przysięgłaby, że Lyle uśmiecha się do niej w ciemnościach. Wyciągnął do niej rękę, ale nie zamierzała mu podać dłoni, by nie dotknął butelki. Wysunęła łokieć i chwycił go, pomagając jej się dźwignąć.

- Daj mi żyć - powiedział. - Nie mogę co chwila sprawdzać, czy nie zamierzasz uciec albo rzucić się na mnie. To źle na mnie wpływa. Bądź grzeczna. W ciemnościach poprawiał jej sukienkę i strzepywał piach. - Dobrze się czujesz? Zapomniałem, że położyłem się na dziecku.

- Nic mi nie jest - odparła, odsuwając się od niego. Dostrzegła błysk zębów porywacza.

- Znam cię, Desdemono. Wiem, co sobie myślisz. Ale ciągle jeszcze nie załatwiliśmy najważniejszego. Nie mieliśmy okazji usiąść i pogadać. Czołgałaś się do ogniska? Chcesz rozpaść ognisko, Didi? Czy to by ci poprawiło nastrój?

Mnie? - pomyślała. Rozpalanie ogniska z tobą, na cmentarzu, w trakcie porodu?

- Jasne, bardzo - powiedziała na głos.

- W takim razie chodź. Ale nie zostaniemy tutaj. Tu nie jesteśmy bezpieczni. Jak na patelni - dodał. - Zawiozę cię gdzie indziej. Tam, gdzie oświadczyłem się mojej żonie. Gdzie mi powiedziała, że spodziewa się dziecka.

Nie chciała się nigdzie ruszać.

- A co jest złego w tym miejscu?

- Nie lubię cementarzy, wolę nie przesiadywać tu za długo. A jeśli Bóg uzna, że skoro znaleźliśmy się tak blisko Niego, to nie należy nas stąd wypuścić?

Didi zachwiała się i omal nie upadła. Między nogami czuła napięcie i ból, które zagłuszały wszystkie pozostałe cierpienia.

- Twierdziłeś przecież, że nie ma Boga, Lyle?

- Nie twierdziłem, że Go nie ma - odparł sucho w ciemnościach. - Powiedziałem, że Bóg istnieje, tylko nie patrzy na mnie. Na ciebie też nie - dodał po chwili.

- Masz prawdziwe szczęście - odparta złowróźnie Didi - że nie patrzy na mnie.

Lyle przysunął się bliżej. W świetle księżycy widziała jego twarz: nienaturalnie błyszczące oczy, rozchylone usta.

- Nawet Bóg ci już teraz nie pomoże, Desdemono.

Gdzie jest kluczyk od kajdanków? Kto wie? A zresztą, jakie to ma znaczenie?

Jest tu Lyle. Kluczyk nie przydałby się na wiele.

„Nawet Bóg już ci teraz nie pomoże” - dźwięczało jej w uszach. Wcale nie była tak daleko od Niego, stojąc tutaj wśród Jego aniołów i grzeszników, a także obok Lyle'a, i widząc nad głową rozgwieżdżone niebo Teksasu.

Nie chciała już stać. Miała za sobą przeraźliwie długi dzień, za długo była pozbawiona wody i nadziei. Marzyła, by się położyć. Córeczki, mąż i nowe życie - wszystko to już odeszło. Stojąc przed porywaczem, kołysała się z boku na bok i zaciskała w ręce stłuczoną szyjkę butelki.

Właśnie znalazłam się na samym dnie.

Czy na tym polega umieranie? - zastanawiała się Didi, chwiejąc się i słabnąc. Każdy z trudem chwytny oddech uważam za ostatni, przede mną stoi śmierć, patrzy na mnie

błyszczącymi oczami i myśli, jak by tu najlepiej odebrać mi życie. Jak najlepiej wyrwać mi serce.

- Dokąd się wybieramy, Lyle? - zapytała słabo. - Jestem bardzo zmęczona. Muszę usiąść.

- Przyznasz, że daleko temu do NorthPark, prawda, Didi?

- Owszem, bardzo daleko.

Odsunęła się od porywacza, mocniej ściskając w ręce butelkę. Lyle wyprowadził ją z zagajnika.

- Może w Pfluger Park pokażesz mi te ładne ciuszki, które kupiłaś w Victoria's Secret - zaproponował, ściskając ją za ramię.

Posłusznie ruszyła za nim do radiowozu. Zresztą, nie miała wyboru. A może w parku będą ludzie? Jakież nastolatki?

Przez całą drogę powrotną mężczyzna ją prowadził. Księżyc słabo rozjaśniał ciemności i gdyby nie pomoc Lyle'a, Didi potknęłaby się o liczne nagrobki. Szedł tuż przed nią, wskazując przejście i z troską ją podtrzymywał.

Na moment zapomniała o wszystkim i w poszukiwaniu pomocy oparła się na ramieniu porywacza.

Uratuj mnie, modliła się. Wyrwij moje życie z rąk złego ducha.

Była taka szczęśliwa, mogąc wreszcie usiąść, że w samochodzie położyła głowę na oparciu i szybko odpłynęła w niebyt. Na krótko zapomniała o swym dręczycielu, ale kolejny, gwałtowny skurcz przywrócił ją do rzeczywistości.

Spod kół prysnął żwir i samochód pomknął w kierunku Pfluger Park.

21.20

Znowu lecieli i Rich z trudem wytrzymawał na miejscu. Marzył, by móc wstać i pochodzić. Scott też siedział jak na szpilkach. Zdjął kamizelkę z wyposażeniem i nerwowo rozmawiał przez telefon z policją w San Angelo oraz z szeryfem Edenu, prosząc, by skierowali swych ludzi do domu Blecków przy Wyona Street. Już wcześniej polecił agentom specjalnym z Abilene, żeby pojechali do tej miejsciny.

- Rich, stary, mamy go. Mamy go! - odezwał się, skończywszy rozmowy i włożył do ust gumę.

- Nikogo nie mamy.

- Nie, dobrze zgadłeś. Właśnie tam pojechał. Do Edenu.

- Pojechał - owszem. Tylko czy został? Przecież nie będzie sobie ucinął pogawędki z teściami.

- Racja, lecz nasz Lyle ma obsesję na punkcie tej miejscowości. Wystarczy się zastanowić. Za nic nie zmienił kursu. Ucieka, wie, że go ścigamy, zdaje sobie też sprawę, że nie zostało mu wiele czasu. I co robi? Nic. Zmienia samochody. Ale nie kierunek. Dlaczego? Bo w Edenie jest coś, czego pragnie.

Owszem, pomyślał Rich. Tam właśnie zamierza zabić moją żonę. Nie potrafił jednak tego powiedzieć.

- Już ciemno - odezwał się za to. - Jak ich znajdziemy?

- Najpierw porozmawiajmy z Bleckami - odrzekł Scott. - Może oni nam powiedzą.

Rich usiłował przeniknąć ciemności. Czy latanie śmigłowcem nocą nie jest niebezpieczne? A jeśli w coś uderzą? Miał to gdzieś, niech uderzą. Gdzie jego Didi?

- A może tym razem uprzedzilibyśmy ich o wizycie? - zaproponował.

- Żartujesz sobie?

- Żebyś wiedział.

- To chyba niezła myśl.

Zaskoczony Rich przyglądał się, jak jego towarzysz pyta w informacji o numer Blecków.

- Sygnał. Co mam im powiedzieć? Wood wyrwał agentowi telefon.

- Czyś ty postradał rozum? Może jeszcze im powiedz, ilu agentów obstawi dom. Tak przy okazji.

Scott z kolei zabrał aparat jemu.

- Dlaczego uważasz, że ty jeden jesteś tu genialny? - Przyłożył słuchawkę do ucha. - Cholera. Automatyczna sekretarka.

- Świetnie, to zostaw wiadomość - poradził Rich, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Halo? - mówił agent. - Mówi Scott Somerville z Federal Express. Mamy dla państwa przesyłkę i chcielibyśmy się dowiedzieć, kiedy najlepiej ją dostarczyć. Można się z nami skontaktować pod numerem...

Kiedy Scott się rozłączył, Rich przez dłuższą chwilę tylko mu się przyglądał.

- Czy to kiedykolwiek skutkuje?

Somerville uśmiechnął się i wystukał kolejny numer.

- Wkrótce się przekonany, prawda?

- A jeśli Lyle tam jest? Uśmiech zniknął z twarzy agenta.

- Wkrótce się przekonamy, prawda?

21.30

W drodze z cmentarza Didi dostrzegła, że dolną wargę Lyle'a wygina w kąciku tik. Wcześniej go nie zauważyła, ale teraz był na tyle wyraźny, że zwróciła na niego uwagę mimo ciemności panujących w samochodzie.

- Nie przejmuj się, Didi - odezwał się uspokajającym tonem porywacz. - Nie przejmuj się. Wszystko idzie dobrze. Chyba będziesz zadowolona z końcowego rozwiązania.

Prawie go nie słuchała.

W porządku, myślała. Pan Bóg może mi w każdej chwili dać znać, jakie są Jego plany, jestem gotowa. Otwieram drzwiczki na autostradzie I - 75. Krzyczę do Richa. Dzwonię pod 911. Wyskakuję z samochodu Lyle'a. Uderzam porywacza w głowę - i nic. Zupełnie jakbym...

Jakbym...

Nawet w myślach nie potrafiła dokończyć tego zdania.

Jakbym miała umrzeć.

Jak blisko mam się otrzeć o śmierć? Siedzę w samochodzie, Lyle jest obok mnie. Czy to wystarczająco blisko? Spojrzała na mężczyznę. Przypomniała sobie, jak w ciągu dnia - wieczność temu - modliła się za niego. Stopniowo przestała modlić się za porywacza i zaczęła polecać Bogu siebie. Teraz - po całym dniu z Lyle'em - nie chciała powierzać Bogu ani jego, ani siebie.

Chciała zabić swego dręczyciela.

Ściskając w skutych kajdankami rękach kawałek szkła, czuła, jak ogarnia ją żądza mordy. Chodź no tu, Lyle. Zbliź się, jeszcze trochę, żebym mogła cię zabić. Ile dasz mi szans? A jeśli tylko jedną, to czy ją wykorzystam? Jęknęła, przygnieciona ciężarem własnej bezradności.

Jestem silna w gębie, ale co będzie, gdy przyjdzie do czynu? Na cmentarzu, kiedy leżał na ziemi, szlochając, zlitowałam się nad nim - i co mi to dało? Mocniej ścisnęła

ostre szkło. Albo powołajmy się na wcześniejszą sytuację: kiedy wreszcie go uderzyłam, prawie nie poczuł.

Czy w ogóle jestem zdolna do zabójstwa? Czy dotarłam do takiego etapu, że mogłabym odebrać życie drugiemu człowiekowi? Wzdrygnęła się z odrazą.

Nie.

Za późno, by o tym myśleć. Zaczął się kolejny skurcz. Straciła rachubę czasu. To trzeci skurcz od powrotu do samochodu. Ile minut upłynęło?

Lyle coś powiedział, ale nie usłyszała.

- Co? - spytała słabo.

- Nie mówiłem ci? Dobrych ludzi spotyka zło, często bez powodu.

- To nieprawda! - zawołała. - Zło nie spotyka mnie bez powodu. Dotknęło mnie przez ciebie. - Zamyśliła się i dodała: - Pewnie uważasz, że to ciebie zło spotyka bez powodu.

- Uważam? oburzył się Lyle. Tak się stało! Nie patrzył na Didi. - Zawsze byłem samotny, nigdy nie mogłem dogadać się z ojcem. Kiedy poznałem Mel, wydawało mi się, że wreszcie wszystko nabrało sensu. Żyliśmy sobie normalnie: przyjemnie, spokojnie. Jak sądzisz, Desdemono, co byś zrobiła, gdyby zabito ci męża i dzieci, a ty zostałąbyś sama na świecie?

- Na pewno nie mściłabym się na tobie za doznane cierpienia! - zawołała. - Nie. Może targnęłabym się na własne życie...

- Nie zrobiłabyś tego. Bogobojni ludzie tego nie czynią.

Ja nie boję się Boga, tylko Jego milczenia, pomyślała Didi. I ciebie, łotrze.

Zaczął się następny skurcz.

- Może bym zwariowała albo coś w tym stylu! - powiedziała piskliwie, podnosząc głos, w miarę jak ból stawał się coraz dotkliwszy. - Aaa! Aaa! Ale po co miałabym

krzywdzić ciebie? - To było bardziej zawodzenie, błaganie, jęk niż słowa. - Nic złego mi nie zrobiłeś. Nie chciałabym zadać ci bólu.

- Tylko ci się tak wydaje - odparł, skręcając w lewo z ciemnej, głównej szosy w jeszcze ciemniejszą drogę. - Skąd ta pewność? Twoje życie było takie łatwe... - Zawiesił głos. - Aż do tej pory. Skąd wiesz, jak byś zareagowała?

Didi obejmowała rękami brzuch i słuchała półuchem, równocześnie zmagając się z własnym strachem.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Chcesz, żebym pojechała z tobą do Mazatlan?

Nie odpowiedział. Po chwili zatrzymał samochód. Didi zerknęła na drzewa, oświetlone przez reflektory. Miejsce wyglądało na równie opuszczone jak cmentarz. Zamienił stryjek siekierkę na kijek!

- Wsiadaj, Didi.

Zatrzymali się przy niewielkim miejscu, przeznaczonym na pikniki.

- Czy jesteśmy w Pfluger Park? - spytała, ukrywając w dłoniach szkło.

- Tak.

Szybko obszedł placyk - zapewne sprawdzając, czy nikogo nie ma. W każdej ręce trzymał broń. Niech Bóg ma w swej opiece tego biedaka, który by się tu zaplątał, pomyślała Didi.

Czy mnie zastrzeli? Nawet nie zdążyłam się do niego przysunąć. Przerazona, że nie będzie jej dany cień szansy, ruszyła jego śladem. Odwrócił się gwałtownie.

- Co ty wyprawiasz? - spytał ostro.

- Nic, Lyle. Podchodzę do ciebie.

- To nie podchodź. Już ci nie ufam. Przez ciebie łeb mi pęka. - Przysunął się do niej. - Na co wtedy liczyłaś? Chciałaś mnie zabić?

- Nie. Tylko unieruchomić, żebym mogła dojść do drogi.
- To dlaczego uciekłaś do zagajnika?
- Bo nie udało mi się ciebie unieruchomić, a do drogi było za daleko.

Wziął ją pod brodę. Didi zmusiła się do bezruchu. Jej brzuch znowu się napiął. Kolejny skurcz.

- Chyba nie jesteś głupia, Didi?
- Nie - odrzekła słabym głosem.
- Ani ja. Ja też nie jestem głupi. Mimo twoich idiotycznych desdemonowych podpowiedzi. Wszystko przemyślałem. Wszystko zaplanowałem. Tylko jednego nie przewidziałem: tego cholernego gliniarza. Gdyby nie to, wszystko poszłoby jak z płatka.

Didi wiała się z bólu. Dzięki Bogu, że po tej stronie samochodu jest ciemno i Lyle nie widzi jej wykrzywionej twarzy.

- Lyle? Nie czuję się najlepiej.
- A ja jak się czułem, kiedy przywaliałaś mi kajdankami? - odparował złośliwie. - Zasłużyłaś sobie na coś o wiele gorszego.

- Już to dostałam - jęknęła głośno. Lyle przyjrzał jej się zaskoczony.

- Co się z tobą dzieje?
Zbliżyła się do niego o krok, poprawiając w dłoni butelkę.
- Jestem taka ociężała, spodziewam się dziecka - dyszała.
- Co mogę ci zrobić?

Cofnął się o krok.
- Zastanawiałem się, czy nie przywiązać cię do drzewa. Czy to bardziej by ci odpowiadało?

Didi pokręciła głową i odparła, że znacznie bardziej by jej odpowiadała łazienka.

Wiedziała, że nie ma tu żadnej łazienki. Marzyła, by się położyć. Leżeć na dnie czystego jeziora. Napić się, urodzić, umrzeć.

Na myśl o śmierci suchość w ustach jakby zelżała.

- Usiądę tam na ławce, dobrze? - spytała, odwracając się i wracając do stołu niedaleko samochodu.

Za sobą słyszała kroki mężczyzny.

- Kulejesz - odezwał się z namysłem. - Jakoś dziwnie chodzisz. Coś z tobą nie tak?

- Jestem po prostu zmęczona, Lyle. Bardzo zmęczona, a do tego w dziewiątym miesiącu ciąży.

Didi usiadła, Lyle był jakiś metr od niej.

- Zmarzłaś? Rozpalę ognisko.

- Przecież panuje duchota, nie ma czym oddychać. Wcale mi nie jest zimno. Skąd ci to przyszło do głowy?

Czubkami palców dotknął jej czoła.

- Jesteś lepka. Pokryta zimnym potem.

Siedziała bez ruchu, nie cofając się przed jego dłonią. Doskonale, cisnęło jej się na usta. Świetnie. O to chodziło. Jeszcze trochę bliżej.

Mocniej ścisnęła szyjkę od butelki. Jeszcze odrobinę bliżej, Lyle. Zabrał rękę.

- Rozpalę ognisko.

Wzruszyła ramionami, próbując przyzwycząić wzrok do ciemności. Reflektory były zapalone, ale samochód stał zwrócony przodem w przeciwną stronę, oświetlając drzewa. Gdyby było jaśniej, Didi dostrzegłaby może zarys drogi oraz inne drzewa, tymczasem wszystko tonęło w mroku. Rozpalanie ogniska w taki upał uważała za skrajną głupotę, ale za to może ktoś dostrzeże płomień. Ktoś przyjdzie i spyta, co im odbiło, że palą ogień. Lyle wrócił i usiadł obok niej.

- Wiesz, kiedy pierwszy raz przyszedłem tu z Mel, rozpaliliśmy ognisko. Było lato i zrobiło się ciemno, zupełnie

jak teraz. Wokoło skwar, ale my się nie przejmowaliśmy. Długo pamiętaliśmy tamtą noc.

Didi nie odpowiedziała. Zauważyła, że Lyle nastawia uszu, bacznie patrząc na drzewa.

- Czego nasłuchujesz? - spytała.

- Cii... Chcę się upewnić, czy nas nie znaleźli. Nie odzywaj się.

Didi skuliła się przy rogu stołu, Lyle zaś siedział na blacie, położywszy nogi na ławce. Załadował kolta, wymierzył z obu luf i nasłuchiwał. Po chwili przeładował broń i odłożył na stół policyjny rewolwer.

- Cisza. To najbardziej mnie tu zachwyca. Człowiek wszystko słyszy. Świerszcze, samochody, syreny policyjne. Nie ma ich tu. Poczekamy jeszcze trochę i pojedziemy. To niedaleko stąd.

- Co jest niedaleko stąd?

- Niecały kilometr przez las, ale trzeba znać skrót. - Uważnie przyglądał się Didi, pochylił się nad nią i dotknął jej twarzy. - Lubiłem dotykać twarzy Mel.

Ciekawe, co ona na to? - zastanawiała się w myślach.

- Jak sądzisz, co teraz czuje twój mąż?

- Pewnie boi się jak cholera - odparła bez wahania. - Mniej więcej tak jak ja.

- A co by poczuł, gdybyś umarła?

Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć. A w każdym razie nie tak, jak tego oczekiwał Lyle. Nie snuli teoretycznych rozważań. Rozmawiali o jej śmierci.

- Może tak naprawdę - mówił wolno porywacz - chcę, by poczuł się tak samo jak ja, gdy straciłem Mel.

- Ale dlaczego? Przecież nawet go nie znasz. Dlaczego pragniesz mu przysporzyć bólu?

- A dlaczego Bóg mi to zrobił?

- Bóg cię zna. On jeden zna odpowiedź. - Zastanowiła się przez chwilę. - Poza tym dorabiasz sobie ideologię. Nie wiedziałeś przecież, że jestem mężatką. Równie dobrze mogłam być samotną matką, żyjącą z zasiłku, bardzo nieszczęśliwą i samotną.

Pokręcił głową.

- Wyglądałaś na bardzo szczęśliwą, Desdemono.

Znajomi też jej to powtarzali. Twierdzili, że promienieje, małżeństwo jej służy.

- Powiedz, Didi, gdyby nagle, jak spod ziemi, zjawił się tu twój mąż, by cię uratować i zabił mnie z zimną krwią... Powiedz, czy wtedy... - Szukał słowa. - Czy... płakałabyś po mnie?

- Tak, Lyle, płakałabym.

Chyba nie kłamała. W każdym razie nie czuła, że kłamie. Ale jeszcze bardziej płakałabym z radości, że oto odzyskałam moje ukochane życie.

- Czy wróciłabyś do domu, do normalności i zapomniała o mnie?

- Zapomnieć o tobie? Żartujesz? Nie, nigdy cię nie zapomnę.

- Faktycznie - przyznał. - Nie zapomnielibyś. Sprawię, że twojemu mężowi będzie bardzo trudno o mnie zapomnieć. To tak samo jak ze mną i z Bogiem: przestałem w Niego wierzyć, ale o Nim nie zapomniałem.

Ze smutkiem pokręciła głową.

- Właśnie że zapomniałeś, Lyle. Tak, zapomniałeś.

- Nie, Desdemono - odparł niemal z triumfem. - To o tobie Bóg zapomniał.

Noc jeszcze długa, pomyślała Didi, bezradnie ściskając w rękę jak dotąd bezużyteczną szyjkę od butelki.

- Ognisko to dobry pomysł - rzuciła.

- Tak, bardzo, prawda? Ale nie rozpalę go. Chyba nie chcielibyśmy, żeby zajrzały tu jakieś wścibskie nastolatki?

- Czyżby?

Oczy zasnuwała jej mgła. Zaczął się kolejny skurcz.

- Aaa... - jęknęła i zauważyła, że porywacz bacznie jej się przygląda.

- Co się stało? Coś cię boli?

- Tak, oko. Pulsuje mi z bólu. Trzeba zszyć ranę. Lyle uśmiechnął się smutno i pogładził Didi po twarzy.

- Nie martw się, Desdemono. Wkrótce wszystko będzie dobrze. Krzyknęła i ból jeszcze się nasilił.

- Przestań! - wrzeszczała. - Przestań mi grozić!

Omam nie runęła na niego bokiem. W ostatniej chwili się powstrzymała i nie zaatakowała trzymanym w rękę kawałkiem szkła. Wyjątkowo niekorzystne ustawienie; zapewne skończyłoby się tak, że spadłaby z ławki i jeszcze pociągnęła za sobą Lyle'a.

- Okazuję ci za mało serca - powiedział mężczyzna.

- Serca? - wykrztusiła. A potem skurcz minął i ochłonęła.

- Nie, Lyle, wcale nie okazujesz mi za mało serca.

- Udawajmy, że rozpaliliśmy ognisko, Didi, od razu poprawi ci się nastrój. Potem się przespacerujemy, jeśli chcesz, możemy pogawędzić o twoim życiu. Mamy trochę czasu, ale niewiele. - Ponownie wsłuchał się w ciszę. - Zdaje się, że ja bardziej wierzę w twojego męża niż ty. Nie życzymy sobie żadnych niespodzianek.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Nie przyjęła jej, podniosła się sama.

Wrócili do samochodu, a Lyle wyłączył reflektory. Najpierw otoczyła ich ciemność, potem wzrok Didi przyzwyczał się do mroku. Widziała zarys drzew, księżyc na niebie i zbliżającego się porywacza.

Splotła przed sobą skute dłonie. Nie obchodzi mnie, czy skończy się to wybiciem kciuka, czy jego wyrwaniem, pomyślała. Muszę uwolnić przynajmniej jedną rękę.

Lyle ujął ją po ramię.

- Chodź ze mną. Pójdziemy razem do lasu.

Nie, pomyślała. Nie. Nigdzie z nim nie pójdę. Muszę trzymać się samochodu. On nie jest Kubusiem Puchatkiem, ja nie jestem Prosiaczkiem i nie wybieramy się na spacer do Stumilowego Lasu. Muszę tu zostać.

- Lyle...

Przez moment Didi cieszyła się, że trzymał ją za ramię, gdy nadszedł kolejny skurcz. Zgięła się w pół z jękiem.

Porywacz puścił ją, aż runęła na kolana na zwirowaną drogę. Przez chwilę jęczała, a Lyle tylko na nią patrzył. Potem ból ustąpił.

- Wstawaj - rzucił mężczyzna.

Nie pomógł jej. Didi z trudem się podźwignęła, opierając ręce na kolanach.

- Mów, co z tobą nie tak?

- Boli mnie żołądek. Nie jadłam, nie piłam - odparła chrapliwym z pragnienia głosem. Miała wrażenie, że gardło jej krwawi. - Nie czuję się rewelacyjnie.

Przyglądał jej się podejrzliwie, z napięciem.

- A czy to może... bóle porodowe? - spytał niepewnie.

- Nie, skąd. Na pewno byś się domyślił - udało jej się odpowiedzieć spokojnie. - Nie sposób ich ukryć. To potworny ból.

Za nic mu się nie przyzna, że rodzi.

„Bóle porodowe”, powiedział. W głowie jej huczało. Kiedy to się skończy? Kiedy nastąpi ten tragiczny kres? To nie było pytanie. Coś w niej już się pogodziło z tym, że rozstanie się z życiem. Och, ale...

„Bóle porodowe”.

Lewą ręką popychała prawy kciuk do środka, żeby dłoń stała się węższa - na tyle wąska, by dało się wysunąć ją przez bransoletkę kajdanków. Nie wypuszczając szyjki od butelki, usiłowała lewą ręką zsunąć metalowy okrąg z prawego nadgarstka. Na próżno. A gdy omal nie zgubiła szkła, zaprzestała walki. Bez tego kawałka butelki jest bezbronna. Uwolni ręce, ale nie będzie miała czym zaatakować.

Weszli głębiej, między drzewa.

- Usiądźmy tam, Lyle - poprosiła Didi na widok kolejnego stołu. - Siądźmy tam i porozmawiajmy trochę. Masz ochotę? Co na to powiesz?

Na schowanej w mroku twarzy mężczyzny zagościł uśmiech.

- Oczywiście. Desdemono.

Opadła na ławkę, jak najdalej od niego.

- Przysuń się bliżej, Didi. Tyle razem przeszliśmy.

- Nie da się ukryć.

Przysunęła się nieco. Nie chciała, by zauważył, jak rozpaczliwie próbuje uwolnić prawą rękę, w lewej ściskając szyjkę od butelki po piwie.

Lyle zajrzał jej w twarz.

- Widzę, że kiedyś musiałaś być piękna.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho.

A w duchu wymyślała mu: ty sukinsynu, łotrze jeden. Zsuwajcie się, ale już - przemawiała do bransoletek. Ale one nie schodziły i wtedy zaczęły się bóle porodowe.

Zamknęła oczy i zaczęła liczyć. Na sześćdziesiąt sekund zapomniała o kajdankach. Najgorsze było środkowe trzydzieści sekund. Próbowwała się nie poruszyć i tylko przygryziona, zakrwawiona warga Didi świadczyła o tym, jak bardzo dziecko pragnie wydostać się na zewnątrz.

Lyle nie patrzył na nią, kiedy trwał skurcz.

- Czego chcesz się o mnie dowiedzieć? - zapytała słabym głosem.

- O tobie? - powtórzył zaskoczony. - Niczego. I tak już cię znam. Powiedz mi coś o Desdemonie. Czy miała ciężkie życie?

Didi skinęła potakująco głową. Miała jakieś trzy minuty do następnego skurczu i na streszczenie życiorysu bohaterki Szekspira.

- Desdemona była żoną Otella.

- Kochał ją?

- Ogromnie. - Zbierało jej się na płacz. Nie czas na to. Za parę minut rozpoczną się kolejne bóle porodowe. - Uwielbiał ją. A potem się dowiedział, że go zdradziła...

- Jak się dowiedział?

- Od Jagona.

- Czy Jago mówił prawdę?

- Oczywiście, że nie. Desdemona była wierną żoną. Prychnął.

- Jak ty, Desdemono?

- Jak ja, Lyle - potaknęła.

- I co było potem?

- Otello oszalał z zazdrości i zabił Desdemonę. - Jak?

- Udusił ją.

- I na tym sztuka się kończy?

- Nie. Otello dowiedział się, że Jago go okłamał, i z rozpaczą popełnił samobójstwo.

Lyle bacznie się jej przyglądał.

- Naprawdę? - Wzruszył ramionami. - A Jago? Upięknio mu się? - zapytał z nadzieją.

- Nie. Prawda wyszła na jaw i skazano go na śmierć w męczarniach za popełnioną zbrodnię.

- Aaaa... Sprawiedliwa kara. Umilkli.

- A na jaką karę ja sobie zasłużyłem? - zwrócił się nagle Lyle do Didi.

- Na żadną - odparła natychmiast. - O ile mnie wypuścisz.

- Rozumiem - powiedział z półuśmiechem. - A jeśli nie?

- Jak dla mnie może to być śmierć w męczarniach - stwierdziła, nie mogąc się zmusić do najłżejszego uśmiechu.

- Bardzo żałuję, Didi, ale wiesz, że teraz nie mogę cię uwolnić.

- Czego naprawdę chcesz? Zabrać mnie do Mazatlan? - spytała, zebrawszy się na odwagę.

- Nie. Sama rozumiesz, że w ten sposób na zawsze skazywałbym się na nieustanne ryzyko. Całkiem pociągające ryzyko, wciąż jednak groźne.

- Nie rozumiem...

Zamknęła usta, by ukryć jęk bólu. Lyle zerknął na nią, ale nic nie powiedział. Widocznie uznał, że to reakcja na jego słowa.

- Prawda, że tak by było, Didi? - powtórzył.

Zmuszała się, by nie zamknąć oczu. Ból coraz bardziej się nasilał. To były prawdziwe bóle porodowe. Nie da się już wrócić do tego etapu ciąży, gdy od czasu do czasu odzywały się skurcze przepowiadające. Istniało już tylko jedno wyjście - poród i właśnie rozpoczynała tę podróż w nieznaną, a jej współtowarzyszem była owa szarpiąca bestia. Razem z tą bestią wkroczy do tunelu, zamknie oczy i zda się na łaskę losu, modląc się o odrobinę szczęścia, może nawet całkiem średniego szczęścia, byle jakiego szczęścia - tylko nie tego koszmarnego losu, który teraz stał się jej udziałem. Zamknie oczy, zupełnie jak teraz, i będzie się modlić o kostkę lodu do ust. A gdy znowu otworzy powieki, dziecko już się urodzi, a ona nie będzie w ciąży.

Tyle że może już nie żyć. I dziecko też.

Nie.

Nie.

21.45

Korzystając ze świateł do lądowania, pilot posadził śmigłowiec na ulicy Wyona, tuż przed domem Blecków. Pierwsi zjawili się na miejscu Scott z Richem, wkrótce po nich przybyły cztery samochody z brygadą specjalną, następnie zaś sześć kolejnych. Zanim Somerville wyładował swój sprzęt ze śmigłowca, obok stały już cztery furgonetki i radiowozy lokalnej policji, łącznie dziewiętnaście pojazdów.

Scott poprosił policję o zgaszenie świateł. Następnie zażądał od szeryfa Edenu mapy okolicy, którą ten już wcześniej miał przygotować.

Szeryf, krępy, spocony mężczyzna, w końcu przyznał, że takowej nie posiadał. Najprawdopodobniej znalazłaby się jakaś w ratuszu, ale był już zamknięty. Nie można jej stamtąd wydostać, chyba żeby się włamać.

Dom Blecków tonął w mroku, paliło się tylko światło na ganku i pojedyncza lampa w środku, najprawdopodobniej w bawialni. Wyglądało na to, że właścicieli nie ma.

- Nie ma ich? - spytał zdumiony Rich. - Jakim cudem?

- Nie wiem, stary. To się nie trzyma kupy - odrzekł Scott.

- A co dzisiaj się trzyma?

Agent nie żartował. W dłoni ścisnął glocka, przez ramię przewiesił karabin Hecklera & Kocha i nie odrywał wzroku od budynku. Wezwał posiłki z San Angelo. Oświadczył, że nie ruszą się z Edenu bez Lyle'a Lufta - żywego bądź umarłego.

Rich myślał o ironii losu, która sprawiła, że zaledwie dwie godziny temu byli w San Angelo - tak blisko Edenu, a zarazem tak daleko. Ale nawet teraz - co mieli? Czekali bezczynnie, siedząc w aucie, podczas gdy życie Didi wisiało na włosku.

- Może niczego tu nie znajdziemy - odezwał się zniechęcony. - Może to kolejny ślepy zaułek.

- W tej sprawie nie ma żadnego ślepego zaułka - odparł Scott. - Każdy drobiazg prowadzi nas do porywacza i powiadam ci: on tu jest. Jest tu jego honda. Lyle sądzi, że nie wiemy o tym wozie, ale nie zdoła nim nigdzie uciec: ani z Teksasu, ani do Nowego Meksyku, nigdzie.

- A gdzie owa honda?

- To się okaże. Najprawdopodobniej gdzieś zaparkowana. Liczyłem, że będzie na tyle głupi, iż ustawi ją przed domem teściów, ale najwyraźniej nie jest aż takim osłem. Zostawił ją tam, gdzie znajduje się wśród innych wozów: może w warsztacie, na stacji benzynowej czy czymś w tym rodzaju.

- To mała miejscina. Ile mogą tu mieć stacji benzynowych?

- Przecież nad tym pracuję, prawda? My dwaj poczekamy tu na Blecków, a moi chłopcy i ludzie szeryfa rozejrzą się za hondą.

- A może już ją zabrał? Zostawił radiowóz, wsiadł do hondy i wyjechał z miasta.

Scott pokręcił głową.

- Jestem niemal pewien, że tak się nie stało. Wyprzedza nas zaledwie o parę kroków. Tutaj ma coś do załatwienia i dowiemy się, co. Gdyby zamierzał jedynie wsadzić Didi do hondy i wywieźć na drugi koniec świata, mógłby zaparkować hondę w dowolnym miejscu w Dallas. Tam łatwo zostawić samochód. Ale w miasteczku, w którym jest tysiąc mieszkańców? No, może półtora? Tu znacznie trudniej ukryć obcą brykę, a mimo to Lyle uznał, że warto zaryzykować. Moim zdaniem on teraz gdzieś się ukrywa i czeka, by później wziąć auto. Nie chce, by porzucony radiowóz zaalarmował policję. Odczeka, zamieni samochody i w środku nocy wyruszy w drogę. Wystarczy, że znajdziemy hondę, a mamy go w garści.

Rich westchnął.

- Śliczna mówka, ale gdzie jest moja żona?
- Bleckowie nam powiedzą - odparł agent. - Nie traktuj tego jak porażki, dobrze? Zdaje się, że mnie doprowadziłeś już do kapitulacji. - Otworzył portfel i wyjął wymiętego papierosa.

Wood pokiwał głową.

- Ten dzień dał ci się we znaki.
- Tak. - Scott uśmiechnął się z rezygnacją. - Wybrałem sobie zły moment na rzucanie palenia.

- Masz zapalniczkę?
- Czy mam? - Parsknął śmiechem i sięgnął do kamizelki z magazynkami. - A jak sądzisz, w jaki sposób zapalamy bomby? - Głęboko zaciągnął się dymem i od razu wyraźnie się uspokoił. - Boże, cudowne uczucie. Wszystko to twoja wina. Wkroczyłeś w moje życie i oto skutki.

- Powiadają, że jeden nie wystarcza.
- Jakbym nie wiedział - odparł agent i wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro.

- Ładnie rzucasz to palenie - uśmiechnął się Richard.
- Tylko nikomu nie mów, że rzucam. - Wyskoczył z samochodu po zdjęcie, które wypadło mu z kieszeni.

- Kto to? - zapytał Rich.
- Mój syn. - Scott pokazał mu fotografię, oprawioną w folię. - Kiedy mnie zastrzelą w jakimś pipidówku, zanim odlecę, chcę jeszcze zobaczyć jakąś bliską twarz, a nie zupełnie obcą gębę.

- Dlaczego kazałeś ją zafoliować? Nie chcesz, żeby dzieciak pobrudził się krwią?

- Żebyś wiedział.

Rich milczał przez chwilę.

- Ostatnia gęba, jaką zobaczysz, będzie należała do mnie.

- Mogłoby być gorzej, stary. Czekali.

- A kiedy to wszystko już się skończy, może zagramy razem w golfa?

- Wątpię - odparł Rich. Zauważył, że Scott jakby się przygarbił. - Kiedy to się skończy, będziemy potrzebowali porządnego drinka.

Czekali dalej.

- Dlaczego wstąpiłeś do FBI? - zapytał Rich.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego? - odparł jego towarzysz, gładząc karabin. - Bo po ziemi chodzą dranie i paru takich zdążyłem poznać. Weźmy chociażby ciebie. Wyglądasz na przyzwoitego, porządnego faceta. Twoja żona to dobra kobieta, a mimo to ktoś chce jej zrobić krzywdę: zranić ją, a może zabić. Ja zaś chcę, by zrozumiał, że reprezentuję siłę równą jemu, czy nawet potężniejszą. I że zamierzam go powstrzymać. Swoją pracę traktuję poważnie. Nie znoszę zadufanych drani, którzy krzywdzą bezbronnych. Sam też nie lubię być bezbronny. Dlatego przygotowałem się na spotkanie z tym sukinkotem. Jestem tu, by strzec twoją żonę przed draniem.

*

Wyszli sąsiedzi spytać, co to za zamieszanie. Agent uprzejmie polecił, żeby wrócili do domu, wyjaśnił, że nic się nie dzieje, tylko policja chce porozmawiać z Bleckami. Tak, wszystko w porządku; nie, nie mogą państwo nic zrobić. Chyba że ktoś wie, gdzie są Bleckowie. Ale na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi.

- Jakim cudem nikt nic nie wie? Czyżby nie było tu żadnych wścibskich sąsiadów? - szepnął Rich do Scotta, gdy ten przysiadł na masce. - Nasi sąsiedzi nie mają ciekawszych zajęć, tylko siedzą w kuchennych oknach i patrzą, ile razy pod nasz dom podjeżdża furgonetka z dostawą.

Jego towarzysz milczał.

- A często się zjawia? - spytał w końcu. Wood skinął głową.

- Wyobraź sobie, że moja żona nawet już przeszła na ty z kierowcą. Nazywa go Benji.

- Łączy ich szczególna więź - odparł z uśmiechem Scott.

- Ilekroć kupuje coś sobie, czy do domu, czy dla dzieci, nie zapomina też o mnie. W ten sposób zamyka mi usta.

- I to skutecznie. Richard się uśmiechnął.

Kocham moją żonę, pomyślał. Może sobie nawet wykupić cały cholerny katalog Spiegła, bylebym ją odzyskał.

22.00

Chcę ci opowiedzieć pewną historię, Lyle odezwała się Didi. - Słuchasz? - Słucham. - Siedział z ponurą miną. - Ale nie mamy wiele czasu.

Jeszcze bardziej zaschło jej w gardle.

- Nie?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie. Nie mamy.

Didi umilkła. Udało jej się zsunąć bransoletkę z nadgarstka i teraz obręcz zatrzymała się na kostce u nasady kciuka.

Woda. Gdyby miała choć odrobinę wody. I mikroskopijny kawałeczek mydła.

- Opowiedz mi tę swoją historię.

Nie miała czasu. W brzuchu znowu rodził się kolejny skurcz. Równocześnie Didi usiłowała zsunąć niżej kajdanki; nie czuła niczego, tylko brzuch. Mogłaby sobie odciąć rękę, a nawet by tego nie zauważyła.

Bransoletka nie przesunęła się ani trochę, a gdy ból ustąpił, Didi poczuła na dłoni coś lepkiego. Widocznie kajdanki rozdarły jej skórę.

Przyglądała się uważnie porywaczowi. Lewą rękę trzymał na rewolwerze, a prawą na kolcie, z którego zabił policjanta. Mundur martwego funkcjonariusza źle na nim leżał i miejscami przeklejał się do ciała. Lyle siedział bez ruchu.

- Pewnego razu - zaczęła urywanym głosem - żyła sobie stara kobieta, która nigdy nie zrobiła nic dobrego dla bliźnich.

- Znałaś ją? - spytał Lyle.

- Nie. - Dotknęła szyjki od butelki i mocniej ją ścisnęła, by przypadkiem nie upuścić swej jedynej broni. - Po śmierci trafiła prosto do piekła...

- To naturalne.

- Ale archanioł Gabriel pragnął jej oszczędzić całej wieczności potępienia i udał się do Boga, by wstawić się za zmarłą. Pan Bóg mu powiedział: „Jeśli znajdziesz w jej życiu choć jeden dobry uczynek, zbawię ją i przyjmę do nieba”.

- Bóg jest taki miłosierny.

Didi chowała kciuki, usiłując zsunać jeszcze niżej kajdanki, ale bransoletki ani drgnęły.

- Gabriel przepatrzył całe życie kobiety i wreszcie znalazł jeden dobry uczynek: dała głodnemu cebulę ze swego ogródka. I rzekł Bóg do archanioła: „Weź tę cebulę i podaj ją owej zmarłej. Jeśli roślina okaże się na tyle mocna, by wyciągnąć staruszkę z piekła, wtedy przyjmę jej duszę do siebie”. - Didi poczuła nadchodzący skurcz. Zebrała wszystkie siły. - Anioł sfrunął nad otchłań piekieł, wyciągnął rękę z cebulą i zawołał: „Chwyć się jej, a wydostanę cię z piekła”. Złapała więc cebulę, a Gabriel zaczął ciągnąć. Wtedy jednak pozostali grzesznicy zauważyli, że archanioł ratuje jedną z nich, więc uczepili się spódnicy, ramion i nóg staruchy, licząc, że cebula i ich wydobędzie z piekła.

- Tak samo bym zrobił - roześmiał się Lyle. - A ty? Didi jęknęła i podjęła opowieść:

- Cebula była mocna, wytrzymałaby ciężar wszystkich grzeszników. Tylko że starucha zaczęła przeklinać braci w niedoli, odczepiała ich palce i wrzeszczała: „To moja cebula! To moja cebula! Puszczajcie, łotry! To moje!”.

- Co za egoistka - stwierdził Lyle.

- I wtedy cebula pękła, a Gabriel z bólem i ciężkim sercem patrzył, jak kobieta i inni grzesznicy z powrotem, już na zawsze, spadają w otchłań piekła.

Nie słyszała odpowiedzi mężczyzny, bo ciężko dyszała, usiłując wytrzymać kolejny skurcz, przebrnąć przez tunel bólu. Nagle dobiegł ją cichy śmiech porywacza.

- Słyszałaś mnie, Didi?

- Nie, przepraszam. Co mówiłeś?

- W parku jest zupełnie cicho. Nic mnie nie zagłuszało. Jak mogłaś nie słyszeć? - W jego głosie brzmiała uraza.

- Usiłowałam przełknąć ślinę. Boli mnie gardło. Koniecznie muszę się czegoś napić. Przepraszam. Mógłbyś powtórzyć?

Ty sukinsynu!

- Mówiłem - powtórzył niecierpliwie - że nie rozumiem, co ta opowieść ma wspólnego ze mną. Chyba że starucha to ty. A nie przypuszczam. Prawda?

- Rzeczywiście. Nie jestem tą staruchą.

- Tak mi się wydawało. Ja zaś spełniłem w życiu wiele dobrych uczynków. Właśnie na tym polega problem. Całe życie byłem dobry. Nie pojmuję, dlaczego Bóg postanowił mnie ukarać.

- A ja nie pojmuję, dlaczego ty postanowiłeś ukarać mnie.

- Ja cię nie karzę, tylko Bóg.

- Bóg ma za dużo spraw na głowie, żeby mną się zajmować. Zresztą, nie zasłużyłam na karę - odparła Didi, poprawiając się na ławce. Nogi jej zdrewniały od siedzenia w jednej pozycji.

- Ja też nie zasłużyłem na karę.

- Ale to nie ja zesłałam na ciebie nieszczęście - perswadowała dalej. - Co ja takiego ci zrobiłam?

- Nic. W tym rzecz. Czym naraziłem się Bogu? Nie byłem jak tamta starucha.

Dziwne, bo Didi myślała teraz dokładnie to samo: Czym naraziłam się Bogu? A potem ogarnęło ją... zniechęcenie? Może nie tyle ono, ile poczucie klęski. Nie mogąc znaleźć żadnego punktu zaczepienia, a rozpaczliwie szukając czegoś, w co można by wierzyć, zaczęła wierzyć we własną śmierć.

- Nie oszukuj się, Didi. Sam Bóg oddał cię w moje ręce. Nieprzypadkowo właśnie ciebie dziś spotkałem. To było

przeznaczenie. Boża opatrzność sprawiła, że nasze drogi się skrzyżowały. Dlaczego nie spotkałem innej ciężarnej...

- Co ma do tego ciąża? - spytała z desperacją.

- Nie przerywaj! - huknął i natychmiast umilkła.

To była nierówna walka: ona - skuta i w ciąży - przeciw Lyle'owi, który miał dwie spluwy, nóż i plan.

- Dlaczego udałem się właśnie do NorthPark, najdroższego centrum handlowego? Dlaczego zanim jeszcze zdążyłem wysiąść z samochodu, zobaczyłem twój brzuch, osłonięty tą żółtą sukienką? Zauważyłem cię i powiedziałem sobie: „Bingo! Strzał w dziesiątkę”. Dlaczego nie znalazłem innej kobiety w ciąży?

- Nie wiem. Dlatego że Bóg się mną nie opiekował.

- Ni mniej ni więcej. Ponieważ to było twoim przeznaczeniem. Kiedy w nasze życie wkracza los, nie pozostaje nam nic innego, jak kuśtykać jego śladem.

- Jak miło, że z filozoficznym spokojem akceptujesz nieszczęście, które mnie dotknęło. Szkoda tylko, że gdy na ciebie spadł cios, buntujesz się przeciw niemu ze wszystkich sił - zauważyła z sarkazmem.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

- Do czego zmierzasz?

- Dlaczego uważasz, że nasze spotkanie było sprawą przeznaczenia, a śmierć twojego dziecka i żony nie?

- Bo to nie było żadne przeznaczenie. To Bóg powiedział mi wtedy: „Pieprzę cię”.

- Na miłość boską! - wybuchnęła Didi. - A czy teraz Bóg mi nie mówi: „Pieprzę cię”? Bo jeśli nie to, to co innego? Po prostu czasem spotyka nas coś złego. Każdego...

- Z wyjątkiem ciebie.

- Nie, nawet mnie. Przeżyłeś tragedię, ale zamiast próbować wyleczyć rany, uporać się z bólem i żyć dalej, postanowiłeś zemścić się na mnie. Co będzie, jeśli mnie

zabijesz, Lyle? Jeśli mój mąż oszaleje i zabije kogoś innego? Jakiegoś Bogu ducha winnego nieszczęśnika, który nawet się nie spodziewał, co go spotka? A potem z kolei mąż albo żona ofiary Richa zamorduje kolejną osobę? Pomyśl o tym. Wszystko zacznie się od ciebie, Lyle. Przez ciebie.

- Nie przeze mnie - odparł. - Przez Boga.

- Nie, Lyle, przez ciebie. Bóg sprawdzał twoją wiarę albo zajął się czymś innym. Ty zaś specjalnie mnie sobie upatrzyłeś i postanowiłeś mnie skrzywdzić.

- On upatrzył sobie moją żonę i syna...

- Wcale nie. Twoja żona zachorowała, a syn był za mały, by przeżyć. Pomyśl, ile maleństw Bóg ratuje.

- A ilu nie. Mojego nie ocalił. Wzburzona Didi zerwała się z ławki.

- Najpierw twierdzisz, że w Niego nie wierzysz, potem utrzymujesz, że nie patrzył w twoją stronę, następnie zaś, że z premedytacją postanowił cię zranić. To w końcu jak jest? Zdecyduj się na coś.

- Siadaj, Didi. Nie lubię, gdy się rozplomieniasz. Możesz znowu mnie uderzyć.

- Właśnie to miała ci ukazać historia o kobiecie i cebuli - podjęła, siadając na powrót. - Wystarczyłby jeden dobry uczynek, by staruszka uratowała mnóstwo ludzi. Ale wystarczy jeden zły uczynek, żeby skrzywdzić równie wielu. Masz już na sumieniu życie dwóch ludzi, Lyle. Ten policjant zapewne miał żonę i dzieci. A co ty zrobiłeś z jego życiem, z jej życiem, z życiem jego dzieci? Własnoręcznie, nieodwołalnie je zniszczyłeś. Oto twoje dziedzictwo...

- Milcz! - ryknął. - Milcz, milcz, milcz!

Poderwał się, podbiegł do niej i z całej siły uderzył ją koltem w twarz. Didi miała wrażenie, że zderzyła się z betonową ścianą.

- Zamknij się - odezwał się spokojniej albo, przysięgam, zabiję cię już teraz.

Dławiła się krwią chlustającą z nosa do ust, zaczęła kasłać, ale nie czuła nic, tylko kolejny skurcz, którego nic nie mogło zagłuszyć - ani złamany nos, ani rozcięta głowa, ani poharatane palce, ani nawet śmierć policjanta. Nic.

Kiedy już ból minął, grzbietem dłoni - ukrywając w rękach szyjkę od butelki - otarła nos. Usiłowała ścisnąć go palcami, żeby powstrzymać krwawienie, ale za bardzo bolało. Pochyliła się do przodu, by krew spływała na ziemię. W tym momencie Didi zrozumiała, że jej śmierć nie powstrzyma dziecka, usilnie pragnącego wydostać się na świat.

- Co chcesz ze mną zrobić? - szeptała, plując krwią. - Czego ode mnie chcesz?

22.05

Wood szalał z niepokoju. - Jak możemy tak czekać beczynnie? A jeśli Bleckowie wyjechali na wakacje? Ile czasu będziemy tu sterczeć, zanim sobie uświadomimy, że już za późno, albo że się nie zjawią, albo że w niczym nam nie pomogą? Ile jeszcze?

- Tylko my siedzimy beczynnie, Rich - odparł Scott. - Moi ludzie krążą po mieście i nie zasypiają gruszek w popiele. Odnajdą go. Może Lyle i Didi jedzą gdzieś kolację, może poszli do kina. Policja szuka ich wszędzie. - Na jego ściągniętej twarzy malowała się determinacja. - Znajdziemy go. I ją też.

- Nie czujesz się bezsilny, siedząc tu i czekając? - ciągnął Richard łamiącym się głosem. - Sądziłem, że jestem jej potrzebny do wynoszenia śmieci, pomagania przy dzieciach, zdejmowania słoików z najwyższych półek i poganiania jej, gdy przechodzi przez ulicę, tymczasem okazuje się, że potrzebuje mnie, bym jej uratował życie, ja zaś nie mogę tego zrobić.

- Rozumiem cię, stary. Ja też nienawidzę dziś mojej roboty.

- A ja mojego życia.

- Zadzwoń do domu, pogadaj z dziećmi. Lepiej się poczujesz. Rich spojrzał na zegarek.

- Kpisz czy o drogę pytasz? Małe leżą już w łóżkach, a mama siedzi przy kuchennym stole, paląc papierosa za papierosem i co chwilę podnosi słuchawkę, by się upewnić, że telefon działa. Co niby mam jej powiedzieć?

- Odchodzi od zmysłów z niepokoju. Zadzwoń.

Wood pokręcił głową. Zadzwończał telefon komórkowy Scotta. Agent nacisnął przycisk i uważnie słuchał.

- Rich, znaleźli samochód. Tutejsza policja odnalazła wóz!

- Boże! - Miał wrażenie, że zaraz osunie się na ziemię. - Czy ona tam jest? Czy jest w nim Didi?

- Nie, mają tylko samochód. Rich oparł się o maskę.

- To dobra wiadomość - ciągnął Scott. - Odnaleźliśmy wóz tego skurwiela. - Rzucił w słuchawkę: - Zabierzcie go stamtąd! Sprowadźcie wóz holowniczy i przyciągnijcie go tutaj, chcę go obejrzeć. Aha, i zostawcie dziesięciu ludzi, żeby tam czekali, gdy ten drań zjawi się po hondę. - Rozłączył się. - Warsztat lakierniczy Tony'ego, przy trasie 87. Znaleźli ją na zapleczu, w idealnym stanie, wśród wraków. Numery rejestracyjne się zgadzają. To ten samochód.

Rich nie był już w stanie myśleć.

- Co nam to daje, że odnaleźliśmy hondę? - W głowie miał pustkę. - Co to oznacza?

Scott potrząsnął nim delikatnie.

- To znaczy - wyjaśnił - że Lyle Luft nadal jest w Edenie. A skoro tak, to go dopadniemy. Dorwiemy go, gdy przyjdzie odebrać samochód albo po rozmowie z Bleckami.

- Cmentarz! - zawołał Wood. - Jego żona! Cmentarz!

- Co, co? Nie rozumiem.

Rich otarł twarz spoconymi z napięcia i gorąca rękami.

- Czy to się trzyma kupy? Jego żonę z pewnością pochowano w rodzinnym mieście. W Edenie jest chyba cmentarz. Założę się, że Lyle tam pojechał.

- Mądry z ciebie gość.

- Nie, wcale - odparł Wood. - Kocham żonę. - Urwał, zmagając się z myślami. - Wiem, że gdyby umarła, właśnie tam bym się udał... Na jej grób.

- Dlaczego? - spytał agent, słuchając uważnie. - Dlaczego tam byś się udał w środku nocy?

Wood wzruszył ramionami.

- Może kiedy tam przyjechał, jeszcze nie było ciemno. Nie wiem. Odwiedzić grób. Albo pożegnać się z nią. Albo się zabić.

Ból był tak dojmujący, że Rich miał wrażenie, jakby krew odpływała mu z serca i kapłała na ziemię. W głowie mu szumiało. Lyle Luft najpierw zabije Didi, a dopiero potem odbierze sobie życie. Richard wyprostował się, ale nogi miał miękkie. Scott widocznie zauważył jego niepokój, bo spojrzał na niego i powiedział:

- Możesz to skreślić. Lyle się nie zabije.

- Skąd wiesz? - Wcale go to nie pocieszyło.

- Gdyby chciał się zabić, nie potrzebowałby drugiego samochodu. Mógłby popełnić samobójstwo na grobie żony, ale wtedy już nigdzie by nie pojechał swoją hondą, prawda?

Rich poczuł się lepiej.

Po kilku minutach podjechał wóz holowniczy, ciągnąc za sobą białą hondę accord. Po spuszczeniu auta z lawety Scott i Rich zajrzeli do środka. Ciemności utrudniały ocenę, ale samochód wyglądał na dość czysty. I był zamknięty. Somerville cienką metalową linijką otworzył drzwi i uśmiechnął się do męża Didi.

Jestem też całkiem niezłym kieszonkowcem. Co? Uważasz, że minąłem się z powołaniem?

- Odpowiem ci, kiedy odzyskasz moją żonę. Jeden z policjantów otworzył bagażnik.

- Scott? Chodź, coś ci pokażę.

Obaj szybko obeszli samochód i zajrzeli do kufra. Rich aż się cofnął.

- O Boże, Boże! Didi...

22.17

Czego od ciebie chcę, Desdemono? Lyle siedział w pewnej odległości od niej. Znacznie się uspokoił i nawet się uśmiechał.

- Jeszcze się nie domyśliłaś?

- Jeszcze się nie domyśliłam - odparta ze znużeniem.

Ulotnił się z niej wszelki bunt. Przełknęła krew. Nie przejmując się już niczym, uniosła dół sukienki i przyłożyła go do nosa. Materiał błyskawicznie nasiąknął krwią. Didi zdawała sobie sprawę, że lada chwila nie zdoła ukryć skurczów nawet przez tym durniem. Ból stawał się nie do wytrzymania. Gdy się pojawiał, musiała tylko zaciskać zęby i jakoś przebrnąć do końca. Jak może zdać się na łaskę i niełaskę tego szaleńca i zacząć przy nim rodzić? Teraz już nie miała cienia wątpliwości: nie sprowadzi pomocy.

Skupiła się wyłącznie na tym, jak by uciec Lyle'owi. Umysł jej nie rejestrował faktu, że dziecko już wkrótce się urodzi, a ona siedzi w miejscu zwanym Pfluger Park. To wszystko pozostawało w cieniu. Dominowało nad nim pragnienie, strach i Lyle. Pamięć podsuwała obraz z przeszłości: leży w szpitalnym łóżku, a Rich u jej boku mówi: „Cii, malutka, cicho... Chcesz zobaczyć, co jest w telewizji?”.

- Naprawdę jeszcze nie wiesz? - zdziwił się Lyle. - Coś wolno myślisz. Może to wina upału. Chcesz się zabawić w naszą ulubioną grę? Zgadnij.

Mocno wciągnęła powietrze. Wszystko ją bolało. Odsunęła się dalej i oparła o drewniany stół.

- Jeszcze ci się nie znudziło dręczenie mnie, Lyle? Sądziłam, że po tym, jak zabiłeś dwóch ludzi i ściągnąłeś mnie tutaj, darujesz sobie zgadywanki. Ale widocznie się myliłam. Dobrze. Powiadasz, że nie wybrałeś mnie przypadkowo, zupełnie losowo, jak liczby w totku?

- Nie.

- Znałeś mnie? - spytała niepewnie. - Wiedziałeś, kim jestem? Pokręcił głową.

- Nie, bynajmniej. Nie znałem cię. Dziś w południe zobaczyłem cię pierwszy raz w życiu.

Dziś w południe? Na pewno nie dziś. Spędziła już z nim całe życie. Dawne życie jej, nienarodzonego dziecka, córek, Richa - to teraz zamierzchnia przeszłość.

- Dobrze - szepnęła.

Jak długo będą jeszcze siedzieć przy tym stole, nocą, w środku parku, udając przyszłych małżonków, którzy zakochali się w sobie w Pfluger Park, w świetle gwiazd?

- Czas ci się kończy - odezwał się Lyle. - Możesz zgadywać jeszcze tylko dwa razy.

- Wybrałeś mnie, bo przypominałam twoją żonę i chciałeś w ten sposób wskrzesić przeszłość?

- Nie. Melanie była drobną blondynką. I nie szastała pieniędzmi. Twoje całkowite przeciwieństwo.

- Kończą mi się pomysły, Lyle.

- Ostatnia szansa, Desdemono. Spróbuj.

- Bo robiłam zakupy w NorthPark, więc błędnie założyłeś, że jestem bogata i uda ci się wyłudzić od mojej rodziny okup.

- Spędziłaś ze mną cały dzień, powinnaś już wiedzieć, że wcale nie o to mi chodzi. Jak mogłaś tak spudłować? Po śmierci żony szpital wypłacił nam niewielkie odszkodowanie. Rodzice Mel grozili procesem, więc tamci woleli szybko zatkać nam usta. Ja dostałem trochę i oni trochę.

- Skoro masz pieniądze, to dlaczego sprzedałeś moją obrączkę?

- Bo tak. Potrzebowałem gotówki.

Didi z ciężkim sercem pogładziła szyjkę od butelki.

- Nie mam pojęcia, Lyle. Nic mi nie przychodzi do głowy. Zupełna pustka. Przegrałam.

- Owszem. W takim razie sam ci powiem, czego chcę.

Wstał i podszedł do niej. Z trudem dźwignęła się z ławki.
Wtedy porywacz wyszeptał:

- Chcę twojego dziecka.

22.10

Rich i Scott bez słowa wpatrywali się we wnętrze bagażnika hondy Lyle'a Lufta. Dwaj policjanci oświetlali kufer latarkami. W środku leżała plastikowa wanienka, a w niej wzorzysty fotelik samochodowy dla dziecka. Obok zaś stały dwie duże papierowe torby, wypełnione ubrankami. Były tam jeszcze duży Kubuś Puchatek i mała Myszka Miki. sześć opakowań butelek mleka dla noworodków oraz sześć opakowań najmniejszych i średnich pieluch.

Podjechał nieoznakowany samochód, z którego wysiadło dwóch agentów FBI.

- Szukaliśmy wszędzie - odezwał się jeden z nich, stając za Scottem. - Nie ma ich tu.

- Oczywiście, że są - warknął Somerville. - Wystarczy spojrzeć na te rzeczy! Musicie ich znaleźć i to natychmiast. Ukrywa się. Wybrał jakieś zaciszne miejsce. Może wynajął gdzieś pokój czy mieszkanie. Nie pokazujcie mi się na oczy, dopóki go nie znajdziecie.

- Zrobimy, co w naszej mocy. - Agent westchnął, wzruszył ramionami i znowu wszedł do samochodu.

Richard chwiejnym krokiem odsunął się od hondy. Scott poszedł za nim, ściskając karabin.

- Rich...

Mąż Didi Wood z wściekłością odwrócił się do niego.

- A mnie się wydawało, że sięgnęliśmy dna! O niczym nie macie zielonego pojęcia! Niczego nie potraficie! Żaden z was! Boże!

Somerville opuścił głowę, czarna chustka zsunęła mu się na czoło. Rich zauważył to. Był taki wściekły, że zdarł z głowy swoją chustkę i cisnął ją na ziemię.

Scott przez chwilę się nie ruszał, potem też zrzucił chustkę.

Rich chwycił go za ramiona.

- Musimy ją odnaleźć - mówił z napięciem, trzęsąc agentem. - Musimy natychmiast ją odnaleźć.

W tej samej chwili podjechał ciemny samochód osobowy. Wsiadły z niego dwie osoby i ruszyły w stronę domu.

22.20

Didi nie czekała już dłużej. Z całej siły pchnęła swego oprawcę, wzniosła ręce nad głowę i mierząc w oko Lyle'a, wbiła mu w twarz ostre szkło szyjki od butelki. Mężczyzna wypuścił broń i cofnął się gwałtownie. Szkło utkwilo mu w policzku.

Z krzykiem uciekła na drugi koniec stołu, ale porywacz wskoczył na blat i rzucił się na nią. Szybko się odsunęła i runął na ziemię, Didi z całej siły kopnęła go w klatkę piersiową. Korzystając z tego, że leży, znowu kopnęła, celując w jądra, spudłowała jednak i trafiła go w udo. Zrozpaczona, usiłowała krzyczeć, lecz z jej gardła wydarł się jakiś chrapliwy, nienaturalny ryk - ostatni skowyt pożeranego zwierzęcia. Nadal tu jesteśmy, on i ja też, myślała. Nigdy się od niego nie uwolnię.

Chciała kopnąć swego dręczyciela jeszcze raz, ale Lyle chwycił ją za nogę i pociągnął na ziemię. Runęła na plecy.

Szarpała się i wreszcie udało jej się uwolnić nogę, mężczyźnie pozostał w ręce tylko sandał. Dźwignęła się na nogi; Lyle też usiłował się podnieść z jękiem.

Niewiarygodne, ten skurwiel jeszcze jęczy, przemknęło Didi przez głowę i wtedy usłyszała plusk - poczuła plusk - taki sam jak na jarmarku, gdy pękają balony napelnione wodą. Chlup! i po jej nogach popłynął gorący płyn, mocząc bieliznę, uda, łydki, stopy i wsiąkając w ziemię.

- Aaaach! - wypuściła z siebie drżący oddech. Ach, poddać się, uwolnić od tego ciężaru.

Odeszły wody, stało się najgorsze. Dziecko nie poczeka jeszcze godziny, urodzi się tutaj, w tym lesie, na ręce Lyle'a, zbrukane krwią. Didi miała suche gardło, w jej oczach nie pojawiła się ani jedna łza, gdy łono płakało gorącą wodą, która teraz spływała po udach.

Aaaach!

Odsunęła się od Lyle'a i bezbronnym gestem wsunęła ręce między nogi. Kajdanki napierały na uda. Natychmiast schyliła się nad mężczyzną i zamachnęła się do ciosu.

Okazał się szybszy, chwycił ją za nogi i pociągnął do siebie, aż upadła. Przetoczył Didi na plecy i uwalnął się na niej.

- Ty suko! - szeptał. - Patrz, co zrobiłaś. Patrz, co zrobiłaś z moją twarzą!

Opierając się na jednej ręce, drugą chwycił szyjkę od butelki i z przenikliwym wrzaskiem wyszarpnął ją sobie z policzka.

- Ty suko, umrzesz! Odrzucił butelkę.

- Złaż ze mnie - syknęła prosto w jego spoconą, zakrwawioną twarz. - Złaż ze mnie!

- Nigdzie się nie ruszę - wydyszał. - Dlaczego masz mokre nogi? Zeszczalałaś się?

- Zejdź ze mnie!

Unieruchomione na piersi dłonie Didi przygniatał Lyle. Jej skute kajdankami ręce leżały przygniecione jego torsem. Nie było już ucieczki.

- Robisz krzywdę dziecku - szepnęła. Nawet nie drgnął.

- Boisz się? - zapytał, przysuwając twarz do jej twarzy. - Nie zdążyłem jeszcze porządnie cię pocałować.

I twardo przycisnął usta do jej warg.

Splunęła w jego otwarte usta. Jej ślina wpadła mu wprost do gardła, aż się zakrztusił.

- Co to było, do cholery? - ryknął.

Miała nadzieję, że to skrzep z jej krwi. Próbowwała odwrócić głowę. Lyle podniósł się trochę, a Didi krzyknęła. Ręką zasłonił jej usta i nos.

Zemdlała albo tak jej się wydawało, bo przez chwilę go nie słyszała. Siebie też nie. Nie wiedziała, czy krzyczy, szlocha czy szepcze. Kiedy odzyskała przytomność, nadal był na niej, lecz widocznie dostrzegł, że opuściła ją wola walki, bo

trochę rozluźnił uścisk. Co prawda ciągle leżał na jej brzuchu, ale nie przygniatał go tak bardzo. Wtedy... Boże, co on robi? Naprawdę rozpiną dzinsy? Nie! Ale wtedy przyszedł skurcz i zapomniała o wszystkim, nawet o Lyle'u.

- Chryste - jęczała. Ból był nie do zniesienia. - Pomocy, błagam, pomocy, pomocy, proszę, błagam, pomóż mi.

Mężczyzna tylko się zaśmiał.

Skurcz minął. Didi musiała wyprostować ręce, aby wyciągnąć je za głowę, a tymczasem obie dłonie nadal wbijały jej się w brzuch. Nie zdołała się uwolnić z kajdanków.

- Desdemono - odezwał się porywacz, podciągając jej sukienkę i dotykając ud. - Dlaczego masz takie wilgotne nogi?

- Pozwól mi ich dotknąć, Lyle. Błagam.

- Nie dam ci się ruszyć, pieprzona dada Didi. Nie można ci wierzyć. Dobrze, że cię skułem.

- Pozwól mi wyciągnąć ręce - szepnęła. - Kajdanki wrzynają mi się brzuch, choć trochę je przesunę...

Ocierał się o jej nogi i brzuch. Dzięki temu zdołała wysunąć ręce spod jego klatki piersiowej.

Brzuch rozdarł jej kolejny paroksyzm bólu i Didi krzyczała z rękami wyciągniętymi za głowę.

Tyle czasu ścisnęła szyjkę od butelki, licząc na cud. Tymczasem cud się nie wydarzył. Oprawca zbliżył się, zraniła go, naznaczyła blizną na całe życie - ale to wszystko.

Jęczała, nie mogąc się pohamować.

Dziecino, dziecko, męczysz mamusię, to boli, proszę, pomocy... błagam...

Znowu zatkał jej usta.

- Milcz! - ryczał. - Zamknij tę kurewską gębę!

Didi zamachnęła się i uderzyła go kajdankami. Wydawało jej się, że trafiła w czaszkę, ale nic mu nie zrobiła. Podniósł głowę znad jej szyi.

- Co ty wyprawiasz?

- Zejdź ze mnie, zejdź ze mnie - zaklinała. - Pomóż mi, błagam, pomocy, Boże, Chryste Panie pomóż mi, błagam.

- Słyszysz mnie, Didi? - mówił Lyle, zmagając się z jej bielizną. - Przestań się drzeć albo będę musiał szybciej cię zabić. Pożyj jeszcze trochę. Nawet jeśli ze mną. Ale zawsze to życie, Didi.

Kiedy nie przestawała, zdarł z niej majtki. Teraz nic już jej nie obchodziło. Natychmiast musi z niej zejść.

- Lyle, ja się położę na tobie - błagała. - Pragniesz mnie, Lyle?

- Tak, Barcelono. Nie chcę, żeby twój mąż pomyślał, że umarłaś czysta. Niech wie, że umarłaś w grzechu.

- W takim razie zrobmy to porządnie, a nie byle jak - odezwała się słabym głosem.

Zgodziłaby się nawet, żeby przeleciał ją na stojąco, byleby nie przygniatał dziecka.

Roześmiał się i znowu ją całował, a może lizał albo muskał wargami. Nic już jej nie obchodziło, zresztą nie mieściło jej się w głowie, że chce dotykać jej zakrwawionego ciała, nie mieściło jej się w głowie, że może chcieć... zwłaszcza gdy odeszły święte płodowe wody dziecka.

Święte wody dziecka!

Didi z trudem chwyciła powietrze. Wróciły skurcze. Ten łajdak znowu ją przygniótł. Usiłowała się spod niego wysunąć, ale na próżno.

Wypchnie z niej to dziecko swoim ciężarem. Boże, on chce mi zabrać dziecko...

Wtedy poczuła na szyi coś ostrego. W pierwszej chwili myślała, że jej się tylko wydaje, z powodu pragnienia. Oczy miała zamknięte. A może takie panowały ciemności?

Otworzyła usta, by coś powiedzieć i znowu poczuła na szyi ukłucie.

- Didi? - Tchnął jej w twarz. - Jak sądzisz, po jakim czasie wykrwawiłabyś się na śmierć, gdybym przeciął ci tętnicę?

- Nie umrę, Lyle - wychrypiała. Świat jeszcze bardziej pociemniał.

- Otwórz oczy i patrz. Otwieraj.

Czyli jednak miała zamknięte powieki. Uchyliła je.

Tuż przed sobą dostrzegła zarys noża. Tego samego, którym wcześniej pociągnął jej po palcach - kiedy jeszcze walczyła tylko o obrączkę.

Didi zamknęła oczy.

W środku coś z całej siły napierało. Był to potworny ból party - główka dziecka wbijająca się w kości miednicy.

- I co zrobisz, Lyle? Co zrobisz, ty chodząca kupo gówna! - syczała przez zęby między jednym jękiem a drugim. - Radzę ci to załatwić już teraz. Robisz krzywdę dziecku. Podobno o nie ci chodzi. W takim razie złaż z niego! Natychmiast zejź z dziecka!

To najwyraźniej przemówiło do niego. Nie wypuszczając z prawej ręki noża, przeniósł ciężar ciała na ramiona, jakby zamierzał robić pompki. Podniósł się trochę i kolaniem rozchylił jej nogi.

Didi otworzyła usta, rozpaczliwie kręcąc głową. Więc tak skończy się moje życie... Uratuj mnie, wyzwól mnie od złego, chroń mnie, zachowaj mnie, Boże, nie odbieraj mi życia...

Poczuła penis mężczyzny, szukający drogi.

- Boże, ależ jesteś śliska - szeptał Lyle. Ostrze noża musnęło wewnątrz jej uda. - Wiesz, co zamierzam zrobić, Didi? Będę cię jebał, a potem cię rozetnę i wyjmę dziecko. Później odetnę pępowinę i odejdę z nim, wyjadę do Mazatlan. Ciebie też bym zabrał, ale widzę, że mnie nie kochasz i nie będziesz dla mnie dobra. Nie przejmuj się - dyszał. - Odejdiesz z tego świata, spełniwszy dobry uczynek. Spokojna głowa, Desdemono. Żyłaś, by wydać na świat życie, więc umrzesz,

wydając na świat swoje dziecko. To dobry uczynek, pójdziesz do nieba. Może wtedy Bóg o tobie nie zapomni. Stanie przed nim archanioł Gabriel... - Oddech szaleńca owiewał jej twarz. - ...I pokaże mu cebulę twoich dobrych uczynków.

Didi wyrwał się zduszony krzyk. Dziecko napierało na jej wnętrze, a penis mężczyzny atakował wejście do pochwy.

- Ale, Didi... - ciągnął Lyle, odkładając nóż na ziemię. - Powiedz mi, Didi... - szeptał jej prosto w twarz. - Kiedy już Gabriel będzie cię wyciągał z otchłani... Powiedz szczerze... Czy pozwolisz mi się uczepić twojej przemoczonej żółtej sukienki, bym ja także ocalał?

Poczuła, jak uchodzi z niej życie. Lyle się roześmiał.

- Tak przypuszczałem!

Dalej na nią napierał, ale ciągle nie mógł się dostać do środka. Utrudniały mu to jej brzuch i ich ułożenie. Didi poczuła kolejne chluśnięcie wód.

- Czekaj - szepnęła, nagle doznając olśnienia. - Czekaj, pomogę ci. Nie możesz znaleźć wejścia. Pomogę ci. Podnieś się trochę.

Uniósł biodra. Nóż leżał na ziemi, tuż obok jego prawej dłoni. Nie trzymał go teraz, gdyż opierał się na obu rękach.

- Moment, Lyle, poczekaj - powtarzała Didi.

Nadludzkim wysiłkiem oderwała od ziemi głowę i klatkę piersiową. Nie mogąc się podeprzeć rękami, leżała zupełnie unieruchomiona pod ciężarem mężczyzny.

- Czekaj - jęknęła. - Nie mogę się oderwać od ziemi. Ręce mam unieruchomione. - Wsunęła dłonie między mokre nogi i poruszała rękami, nie przestając mówić do mężczyzny. - Poczekaj. Już zaraz. Gdzie jesteś? Nie mogę cię znaleźć.

- Tutaj.

I wepchnął członek między jej skute ręce.

Nie powinien aż tak napierać, pomyślała. Zacisnęła palce na jego jądrach...

Natychmiast przyłożył jej nóż do gardła.

- Puszczaj! - zakrzeczał. Didi posłuchała.

- Chcę ci pomóc. Niektórzy mężczyźni to lubią.

- Ale nie ja.

Uspokoił się trochę i znowu oparł na dłoniach.

W tyłu sprawach potrafi mnie przejrzeć, pomyślała Didi.

Ale nie w każdej.

O to chodziło. Ociera się o mnie ptaszkiem, a ja mogę ocierać ręce o własną wodę i krew. Boże, wybacz mi.

Z okrzykiem bólu opadła na ziemię. Wsunęła ręce spomiędzy nóg i wyszarpnęła w końcu lewy nadgarstek z kajdanków.

Wreszcie! Udało się! Uwolniła rękę. Wystarczyło trochę krwi i wód płodowych.

Omal nie wybuchnęła płaczem.

- Nie wytrzymam dłużej w takiej pozycji - szepnęła.

- Nie musisz - odparł Lyle i wbił się w nią. Czuła, jak wdarł się w jej ciało, słyszała jego jęk. Jak śmie jęczeć? - myślała z furją. Jak śmie?

I zaraz się dowiedziała, jak śmie.

- Jesteś taka wilgotna - mówił. - Jak to się stało?

Już chciała mu się przyznać, że rodzi dziecko i błagać, by przestał, ale z ust wyrwało jej się tylko słabe:

- Proszę.

Proszę. Błagam. Błagam, nie krzywdź mnie jeszcze bardziej. Zaklinam...

Lyle na moment znieruchomiał.

- Jak cudownie, jak rozkosznie. Dobrze. Jeszcze chwilę. Jeszcze się wstrzymam.

Nie wiedziała już, czy gardło tak jej się ściska z furii, czy z pragnienia. Mężczyzna pochylił się nad nią, by ją pocałować. Odsunął się jednak.

- Masz nieprzyjemny smak - oświadczył.

- Tak? - wychrypiała. - Pewnie to krew.

Mimo ciemności zobaczyła, jak przygląda jej się z odrazą.

- A może powinienem cię udusić, Desdemono?

Wolno pokręciła głową." Leżała bez ruchu, obie dłonie wyciągnęła nad głową.

- Co wybierasz, Didi? Pomyślałem, że chciałabyś umrzeć jak Desdemona. - Dyszał jej w twarz. - Słuchaj, nie martw się o dziecko. Będzie ze mną bezpieczne w Mazatlan. Wynajmę dom nad oceanem. Naszemu maleństwu tam się spodoba. Obiecuję.

Odwróciła twarz od szaleńca. Prawie nie słuchała, co mówił. Całą uwagę skupiła na jego prawej dłoni i nożu.

Czuła, jak Lyle pochyla się nad nią i całuje ją w policzek. Jego członek znowu zaczął się poruszać w jej wnętrzu. Zmuszała się, by nie zamknąć oczu.

- Desdemono - odezwał się znowu. - Naprawdę cię lubię. Ogromnie. Prawdziwa z ciebie zakapiora. Jeśli to będzie dziewczynka, nazwę ją twoim imieniem. Będzie się nazywała Desdemona. Co ty na to?

Nie odpowiedziała.

- Wszystko będzie dobrze. - Coraz ciężiej dyszał. - Chcę tylko... - Jęknął. - Jeszcze jeden raz, a potem... - Z trudem mówił. Opieranie się na rękach i gwałtowne ruchy za bardzo go wyczerpywały. - Wszystko będzie dobrze, Arizono.

Ciężki oddech. Jego? Jej?

Nie, ona wcale się nie poruszała. Traciła siły, lecz ani na chwilę nie odrywała wzroku od noża pod prawą dłonią mężczyzny.

Była praworęczna, ale ten jeden raz w życiu musi się stać mańkutom. Nie potrafiła dobrze rzucać lewą ręką, nie umiała też nią kroić. A teraz będzie musiała spróbować to zrobić.

Mężczyzna cały czas miał się na baczności. Nawet teraz, u progu orgazmu, nie wypuszczał ostrza z dłoni. Didi postanowiła mu pomóc.

- Śmiało, Lyle - szepnęła. - Śmiało. Prawda, jakie cudowne uczucie? Śmiało, mocniej, głębiej, jeszcze - jęczała. Brzuch napiął się i przeszył ją potworny ból. - Dalej, będzie wspaniale. Mnie też jest dobrze, śmiało, dalej...

Kiedy jeszcze bardziej natarł, jęknęła, możliwe że krzyknęła sama nie wiedziała.

Usłyszała jego okrzyk.

- Aaaach... Tak, tak, tak.

Szybko odwróciła głowę i zerknęła na niego. Miał zamknięte oczy.

Błyskawicznie obróciła głowę w lewo i podniosła lewą rękę, przesuwając ją w stronę dłoni Lyle'a. Wypuścił rękojeść noża i zaciskał palce na trawie. Nóż leżał obok.

Jednym ruchem Didi chwyciła ostrze i odwróciła się, by spojrzeć na mężczyznę. Oczy nadal miał zamknięte, ale jego mózg - ponieważ - odnotował, że coś jest nie tak. Wiedziała o tym, bo nawet teraz - w trakcie orgazmu - mięśnie Lyle'a się naprężyły. Zdawała sobie sprawę, że jeśli poczeka jeszcze choć ułamek sekundy, będzie za późno.

Nie może pozwolić, by otworzył oczy!

Z krzykiem wbiła mu nóż w szyję.

Lyle otworzył oczy.

Rozdziawił usta, zdumiony, gdy w gardle mu zabulgotało, a potem chlusnęła krew. Opadł na Didi, chwycił ją za łokieć, a potem szarpnął jej ramię. Didi pojękiwała. Próbowwała mu się wyrwać, ale tak, by nie wypuścić noża. Ostrze nadal wsuwało się i wysuwało z szyi mężczyzny.

Odgłos, jaki teraz wydawał, przypominał dźwięki zapchanego zlewu. Wił się na niej i bulgotał. Była cała mokra.

Złaż ze mnie, krzyczała w duchu. Złaż, precz ze mnie!

Ale nie mogła go zepchnąć.

Przerażona, bo wydawało jej się, że szalenciec ciągle żyje, myślała: wszystko skończone. Nie udało mi się go zabić i teraz śmieje się ze mnie. Rozciąłam mu głowę albo ucho, a on nadal napiera i wbija się we mnie, próbuje zgnieść mi brzuch swoim ciężarem, śmiechem. A kiedy już skończy, będzie po mnie. Boże, jedyna szansa, ostatnia szansa, by nie zabrał mojego dziecka do Mazatlan i co zrobiłam? Zadrasnęłam tylko nożem tego drania, oboje jesteśmy złani potem. Spociłam się ze strachu o siebie i o dziecko. Cóż, za chwilę nie będę się już pocić. Przed sekundą wsuwałam w siebie rękę, by je zwilżyć, a teraz mój pot jest wystarczająco śliski. Jego zresztą też. Ta świnia też się poci!

Didi nie wypuszczała noża z dłoni, a Lyle nie kazał jej tego zrobić. Chciała powiedzieć swemu oprawcy, że jest dla niej za ciężki, ale przecież i tak o tym wiedział. Nie zamierzał jej pomóc.

Próbowała wyciągnąć nóż, jednak ostrze się nie wysunęło. Czyżby utkwilo w ciele tego łotra? Nadal ściskając rękojeść, szarpnęła z całej siły.

Wtedy Lyle przestał się poruszać.

Didi poczuła drgawki, choć możliwe, że to ją samą przeszywały dreszcze. Nie była pewna, lecz wydawało jej się, że mężczyzna znieruchomiał...

Ale nie przestał się pocić, pomyślała z odrazą. Jak może być taki lepki? A może to ja? Może to ja jestem taka?

- Złaż ze mnie - powiedziała. A może powiedziała to w duchu? Albo pomyślała? Albo się modliła?

Nie. Nie modliła się w tej chwili na pewno.

- Złaż ze mnie, ty odrażający sukinsynu - wychrypiała. - Słyszysz?

Głowa Lyle'a zsunęła się z ramienia Didi i opadła nad ziemię. Didi poruszyła się pod nim i westchnęła. Ciężkie ciało mężczyzny zwiotczało nagle.

Jednak nie spudłowałam, pomyślała.

- Aaaach - westchnęła. Nie spudłowała. - Złaź ze mnie, skurwielu - powiedziała głośniej.

Szaleniec ani drgnął.

Prawą ręką chwyciła go za kołnierz i podciągnęła na tyle, że zdołała częściowo się wysunąć. Potem zupełnie się uwolniła. Prawą ręką uderzyła Lyle'a w czoło. Kajdanki przecięły skórę, głowa odskoczyła.

Nie żył.

Leżał z otwartymi oczami, wpatrzony w księżyc i w Didi. Usta nadał miał rozchylone w tym samym wyrazie zdumienia.

Taką jego twarz zapamiętam, pomyślała, zaciskając zęby. Ulga gdzieś się ulotniła, w brzuchu znów pojawił się ból, który szedł w górę, ściskając wnętrzności. Didi z jękiem wypuściła nóż, zamknęła oczy i szarpała ziemię, sukienkę, nogi. Kiedy skurcz minął, otworzyła oczy.

Porywacz miał z prawej strony rozciętą szyję. Nawet w ciemnościach Didi widziała poszarpane tkanki. Chwyciła rękojęść i wyrwała nóż z jego ciała. Przed sobą zobaczyła zionącą, wielką, czarną ranę.

Nie miała siły wstać.

Dotknęła sukienki. Mokra. Spojrzała na nią uważniej. W poświacie księżycy niegdyś żółty materiał wydawał się czarny. Musnęła ręką policzki. Lepkie.

Ramiona, twarz, piersi, każdy skrawek jej ciała pokryła krew Lyle'a, jakby cała wypłynęła tylko na Didi.

Nic jej to nie obchodziło. Nie żył.

- Nie żyjesz, skończony draniu - szepnęła, leżąc obok niego na prawym boku i obejmując rękami brzuch.

Byłoby jej trochę wygodniej, gdyby ułożyła się na drugim boku. Rzuciła nóż i lewą ręką chwyciła trupa za włosy, podniosła bezwładną głowę i upuściła. Czaszka z głuchym odgłosem uderzyła o ziemię. Didi podobał się ten dźwięk. Zrobiła to jeszcze raz.

- O, jakże teraz chętnie bym cię torturowała, łotrze - powiedziała do Lyle'a. - Znęcałabym się nad tobą przez cały dzień... - Zaczęła płakać i wbijać paznokcie w ziemię. - Proszę - szeptała. - Niech ktoś mi pomoże.

Wciskała palce w piasek, żeby móc je na czymś zamknąć, dopóki nie minie skurcz. Po odejściu wód płodowych bóle atakowały wściekle jeden za drugim.

Nie było już przerw między skurczami. Poród wszedł w ostatnią fazę. Liczyła, że do tego nie dojdzie, ale oto stało się: pora naciskać brodą mostek i przeć.

Może za chwilę uda mi się ruszyć - w ciągu tej pół minuty, gdy nie będę miała skurczu.

Ale w czasie tych półminutowych przerw nie zdołała się przemieścić. Potrzeba parcia nie ustępowała. Nawet gdy Didi leżała na boku, rozdzierał ją potworny ból.

Przetoczyła się na bok, rozglądając za samochodem, a potem znowu odwróciła się do Lyle'a.

- Chciałabym zostać i jeszcze ci pokazać - wymamrotała - ale mam dość widoku twojej odrażającej mordy, a poza tym muszę urodzić to dziecko. Dziecko, które nie pojedzie do Mazatlan. Chciałam cię o coś spytać, lecz nie zdążyłam. Czy moje cierpienie pojednało cię z Bogiem? Czy dzięki mojemu upodleniu pogodziłeś się z Bogiem, ty łajdaku?

Przekreśliła się na drugi bok. Następny skurcz. Krzyczała, błagając, by ktoś jej pomógł.

Wiem, jak umarłeś, była to okrutna śmierć, ale zasłużyłeś sobie na nią. Już wcześniej zadałeś mi to pytanie i odpowiedziałam ci, lecz mówiłam nieprawdę. Nie będę nad

tobą płakać, a jeśli ja i moje dziecko wyjdziemy z tego cało, już nigdy więcej o tobie nie pomyślę. Gdyby się jednak okazało, że przez to wszystko nie będę już mogła mieć dzieci, stracę głos, palce zje mi gangrena albo do końca życia będzie mi ciekło z nosa - zostanie mi jakiś trwały ślad, codziennie o tobie przypominający, będę pamiętała, że smażyysz się w piekle, a twoja nieśmiertelna dusza nie zostanie zbawiona, i poczuję się lepiej. Trzeba było szybko mnie zabić, zamiast nade mną się znęcać, bo nie zamierzałam poddać się bez walki.

Lyle, w ogóle mnie nie znałeś.

Podniosła nóż i wytarła w sukienkę. Ostrze nadal było lepkie i zakrwawione. Upuściła go na ziemię.

Zostawiam cię. Teraz musisz błagać samego Chrystusa, by wstawił się za twoją duszą.

Didi Wood nie mogła jednak ani wstać, ani go zostawić.

Leżąc na boku, twarzą do zmarłego, złożyła dłonie do modlitwy.

- Chryste, daj odpoczynek swojemu słudze, przyjmij go tam, gdzie nie ma już bólu ani łez, ani życia wiecznego. - Powinna była powiedzieć: „tylko życie wieczne”, jednak się nie poprawiła i szeptała dalej: - W Twoje ręce powierzamy Twego sługę, błagamy Cię, Odkupicielu wszystkich grzechów, byś zechciał go przyjąć i ogarnął go swą miłością. Amen.

W końcu udało jej się wstać i pokuśtykała do samochodu. Kajdanki obijały jej się o prawe biodro, wody nadal ciekły po nogach.

Bezlitosna grawitacja ciągnęła dziecko w dół. Ostatnie, czego teraz Didi potrzebowała, to pomoc siły przyciągania.

Nie miała siły stać ani iść.

Kiedy dotarła do samochodu, opadła na fotel.

Niewiele lepiej.

Znowu ułożyła się na boku, z głową przy kierownicy i próbowała nie przeć.

Pierwsze trzydzieści sekund.

Drugie trzydzieści sekund.

Trzecie trzydzieści sekund. Nie mogła nawet otworzyć oczu. Trzymała się resztkami sił. Główka dziecka dalej napierała na miednicę.

- Nie - szepnęła Didi. - Nie. Nie jesteśmy gotowi. Ja nie jestem gotowa. Jeszcze nie możesz się urodzić, kochanie. Mamusia musi się trochę zdrzemnąć. Proszę... proszę, pomóż mi.

Czwarte trzydzieści sekund. Musi coś zrobić.

Nacisnęła klakson. W ciemnościach parku rozległo się krótkie, ostre trąbienie.

22.35

- Nic złego nie zrobiliśmy! - brzmiały pierwsze słowa Berniego Blecka. - Nie, nic - potwierdziła jego żona.

- Świetnie - ucieszył się agent. - Miło mi to słyszeć.

- Jeśli chodzi o zeznanie podatkowe za ubiegły rok...

- Ile zalegacie? - przerwał Berniemu Scott, a Rich go szturchnął.

- Bo ja wiem? - Mężczyzna spojrział na żonę. - Ile jesteśmy winni, rybko?

- W sumie? - spytała Maureen Bleck. - Chcieliśmy zapłacić, Berniemu wpadło trochę grosza, sprzedaliśmy jeden z domów... Oczywiście, nie mamy strasznie dużo domów, tylko dwa. Sprzedaliśmy jeden i zamierzaliśmy postawić sobie jakąś przyjemną chałupkę w Naples na Florydzie, znacie tę miejscowość? Wspaniała okolica, zawsze ciepło, niezwykle mili mieszkańcy... Tak więc zamierzaliśmy postawić tam sobie dom, coś się jednak wydarzyło... i zrezygnowaliśmy. - Pokręciła głową i popatrzyła w ziemię.

Rich widział, że Scott jest o krok od wybuchu, ale coś go powstrzymało. Domyślał się, co sprawiło, że jego towarzysz przestał zgrzytać zębami. Jemu też zrobiło się żal biednej, starej Maureen Bleck, która straciła córkę i wnuka.

- Pani Bleck - odezwał się agent - nie w tej sprawie się tu zjawiałem.

Starszy mężczyzna głośno wciągnął powietrze.

- Niech pan się nie przejmuję. Owszem, rząd Stanów Zjednoczonych ma niezwykle prężne agencje, ale nie wszystkie są ze sobą powiązane. Podatki to nie moja działka, nie odwałam brudnej roboty za urząd skarbowy. W każdym razie nie dziś. Nie, jesteśmy tu, ponieważ chcemy się dowiedzieć, czy ostatnio nie widzieli państwo swojego zięcia.

- Zięcia? - zawołał Bernie. - Lyle'a? Nie, nie widzieliśmy go od... - Ugryzł się w język. - Od paru miesięcy.

- Nie - potwierdziła Maureen, przytulając się do męża. -
Od paru miesięcy.

Przytuleni, powolutku kierowali się w stronę ganku, lecz Scott zaszedł im drogę i niechętnie stanęli.

- A czy dzisiaj państwo go nie widzieli?

- Dzisiaj? Nie, skąd - zdziwił się Bleck. - Czemu nagle mielibyśmy się z nim widzieć?

- Nie wstąpił do państwa? Nie dzwonił?

- Nie. A w każdym razie nie przed siódmą - odpowiedział Bernie.

- Może potem się odezwał? - podsunęła Maureen.

- Wątpię - odparł jej mąż. - Czemu miałby to robić?

- Gdzie państwo byli? - zapytał Somerville.

- W San Angelo. W kinie - wyjaśniła Maureen.

- Proszę państwa, Lyle Luft wprowadził żonę tego człowieka. Ciężarną. To kwestia życia i śmierci. Luft przyjechał do Edenu, żeby wziąć samochód i zniknąć. Samochód już znaleźliśmy, ale porywacza nie. Musimy się dowiedzieć, gdzie może się ukrywać. Lyle zabił policjanta i odjechał jego radiowozem, czyli zapewne wybrał miejsce, w którym można ukryć samochód. Domyślają się państwo, dokąd mógł się udać? - Zadzwoił telefon komórkowy; agent przyłożył go do ucha, westchnął, a potem się rozłączył. - Z wyjątkiem cmentarza, bo tam go nie ma.

Załamany Rich stał przygarbiony obok Scotta.

- Rany, dawno go nie widzieliśmy - odezwała się pani Bleck. - Dokąd mogli się udać, jak sądzisz, Bernie?

Ale jej mąż nie słuchał.

- Wiedziałem, że to czubek. Ile razy ci to powtarzałem! Melanie zresztą też. Mówiłem jej: nie wychodź za niego, jest niezrównoważony, będziesz z nim nieszczęśliwa. - Bernie Bleck z rozpaczą kręcił głową. - A teraz sama widzisz, co zrobił.

- Musimy natychmiast go odnaleźć - odezwał się Scott stanowczo. - Czy jest jakieś miejsce, do którego on i państwa córka często jeździli? Miejsce, z którym łączyłyby go jakieś wspomnienia?

- Często chodzili do kina. - Maureen pociągnęła nosem. - Ale najbliższe jest w San Angelo. Naprawdę, bardzo mi przykro... - zwróciła się do Richa.

- Coś jeszcze? - wpadł jej w słowo Scott.

- Gdzie jeszcze, Bernie?

- Skąd mam wiedzieć, gdzie ten wariat łąził? Mówiłem jej, żeby za niego nie wychodziła!

- Niech się pan skupi, panie Bleck. Gdzie jeszcze? Lyle'a nie ma w San Angelo. Znajduje się tutaj, w Edenie. Jest gdzieś, gdzie można bez trudu ukryć duży wóz patrolowy.

- Może w warsztacie Tony'ego? - podsunął Bernie Bleck. - Przyjaźnili się kiedyś.

- Moi ludzie już przeszukali lakiernię. Tam go nie ma. Ale znaleźliśmy hondę Lyle'a, więc są państwo na właściwym tropie. Przychodzi państwu do głowy jeszcze coś?

- Chyba nie... - westchnęła pani Bleck. - To mała miejscina. Lyle i Mel poznali się w Abilene, gdzie córka pracowała jako zastępczyni kierownika w barze Taco Bell. Ale tutaj nie ma wielu rozrywek. Kiedy tu przyjeżdżali, często wybierali się do parku.

- Do parku? - Scott zeszywniał. - Jakiego parku?

- Nazywa się Pfluger Park. Urządzali tam sobie w niedziele pikniki...

- Gdzie to jest? - spytał agent, cofając się i gwałtownie machając do ludzi z furgonetek i radiowozów.

- Parę kilometrów stąd, przy trasie 87. Stoi tam tablica z napisem: Pfluger Park. To bardziej las niż park, jest parę miejsc do urządzania pikników, ale nie wiem, czy...

Scott już ciągnął Richa za ramię.

- Dziękuję! - krzyknął. - Jedziemy, natychmiast tam jedziemy! Rich ruszył pędem.

22.35

Didi nie miała siły naciskać klaksonu. I tak nikt się nie zjawi. Na podłodze samochodu zauważyła torby z zakupami. Chciała wstać, ale nie mogła się ruszyć. Leżała skulona w pozycji embrionalnej, prawą rękę zacisnęła na fotelu, usiłując powstrzymać parcie. Czuła taki ból, że nawet nie miała już siły krzyczeć. Całą energię skupiła na walce z nieuniknionym. Bała się sama wydać dziecko na świat. A mimo to co półtorej minuty jej ciało mówiło: „przyj!” - i co półtorej minuty Didi zaciskała wargi, usiłując nie ulec.

Gdzie są kluczyki od samochodu? Może pojedę do najbliższej stacji benzynowej czy najbliższego czegokolwiek. Będę prowadzić pod warunkiem, że dotrę gdzieś w ciągu trzydziestu sekund.

Za późno, żeby gdzieś jechać o tej godzinie.

Spóźnili się na wycieczkę do Mazatlan.

Nie ma do kogo zadzwonić. Ani radia, ani telefonu. Ciemno. Nie mam wody. Czyż nie powtarzają do znudzenia, by zawsze mieć gdzieś na podorędziu wodę? Do umycia dziecka. Dobrze, że nie mam żadnej wody - i tak bym ją wypięła, dziecku nic by nie zostało.

Jej ciało rozerwał kolejny skurcz.

Podдай się, Desdemono. Nadeszła godzina.

Nie. Poleżę sobie na boku, dopóki nie zjawi się pomoc. Poleżę na boku i zaczekam.

A dziecko umrze, bo od godziny albo dwóch tkwi w kanale rodnym. Lyle go nie zabił. Nie zdołał, bo mu na to nie pozwoliłaś. Nie pozwoliłaś mu zabić dziecka. I po co? Żeby samej teraz to zrobić? Bo dopuściłaś, by zaczęło wychodzić na świat, ale nie dałaś mu się nań wydostać? Gdzieś w tym tunelu, w którym teraz jesteś, gdzie księżyc świeci jako twoja jedyna pochodnia, gdzie rosną ciemne drzewa, a świerszcze

cykają - twoje dziecko jest skazane na ciebie, a ty się nie podnosisz, Desdemono.

- Dalej, wstawaj - jęknęła, chwytając kierownicę. - Wstawaj, Didi.

Usiadła. Miała wrażenie, że miednica rozrywa jej się na pół. Przyj, mówiło dziecko, albo cię rozedrę. Rozsadzę cię!

- Czekaj - szeptała. - Czekaj. Nie mam jak cię złapać, nie mam cię w co owinąć, gdy już przyjdiesz na świat. Poczekaj jeszcze moment!

Cała się trzęsła. Nogi i ręce jej drżały, nie mogła się opanować. Mimo prawie czterdziestostopniowego upału Didi nagle zrobiło się strasznie zimno. Kiedy skurcz minął, zdarła z siebie zakrwawioną sukienkę. Nie chcę, żeby moje dziecko leżało na krwi Lyle'a. Nie będzie miało nawet pośredniego kontaktu z tym szaleńcem.

Znowu!

To dodało jej bodźca. Odrazający sukinsyn, pomyślała, sięgając do torby Victoria's Secret i wyjmując jedwabny peniuar, jedwabną koszulkę, jedwabny stanik i majteczki - wszystkie w pięknym kolorze burgunda. Zdjęła mokry od krwi biustonosz, ale brakowało jej sił i energii, by włożyć czysty. Zacisnęła ręce na klamce od samochodu i krzyczała, płytko oddychając, usiłując wtłoczyć dziecko z powrotem w siebie.

Przez następne dwadzieścia sekund próbowała wciągnąć krótką koszulkę. Na próżno. Za bardzo się trzęsła.

W końcu udało jej się zarzucić na siebie szlafrok. Oderwała pasek. Gdzie jest nóż? Potrzebny mi nóż. Zostawiła go obok Lyle'a. Odsunęła siedzenie najdalej, jak się dało, otworzyła drzwi samochodu i krzyknęła:

- Ratunku!

Jej wołanie odbiło się jednak od ściany lasu.

- Pomocy!

Nie poznawała własnego głosu. To nie był jej głos. To głos kogoś, kto nie ma strun głosowych. Z trudem wydostawał się poza samochód.

- Ratunku... - szeptała chrapliwie.

Zatrzasnęła drzwiczki, wsunęła pod siebie koszulę nocną. Nie ma się o co zaprzeć. Nie mam położnej ani strzemion, ani Richa. Kogo? Richa.

- Pomóż mi - szeptała Didi. - Boże miłosierny, pomóż mi. Po tym wszystkim nadal wzywa Boga.

Przysunęła fotel do deski rozdzielczej - będzie jej Richem, Bogiem, położną i strzemionami.

Oparła stopy na czarnym tworzywie, jedną ręką chwyciła klamkę, drugą zacisnęła na fotelu.

- Dobra - wycharczała. - Do dzieła.

I zaczęła przeć.

Parła najmocniej, jak mogła. Miała wrażenie, że rozrywa się od środka. Potem na chwilę przestała. Dysząc, wypuściła klamkę i włożyła rękę między nogi. Poczowała coś lepkiego, galaretowatego.

Tak, pomyślała. To moje dziecko. Było tam cały czas. Czekają.

Szczękając zębami, przypomniała sobie wskazówki położnych podczas ostatniego porodu. Przyciągnęła brodę do mostka, chwyciła się klamki i siedzenia, a potem znowu parła.

Parła, parła i parła. A potem przemknęła jej myśl: Zaraz, ja tu prę, jakby od tego zależało moje życie, ale kto złapie dziecko?

I natychmiast usłyszała odpowiedź: ty, Didi. Puść klamkę i wskaż dziecku drogę!

Puściła klamkę i zwinęła się na fotelu, nie miała już siły siedzieć prosto. Na prawej ręce Didi ciągle jeszcze wisały kajdanki. Mogłaby poszukać kluczyka, ale był gdzieś przy

Lyle'u, a pierwaj ją piekło pochłonie, niżli dotknie tego skurwiela. Najwyżej po to, aby mu przykopać.

Wsunęła palce między wynurzającą się główkę dziecka a własne, rozdarte krocze i parła. Początkowo mocno. Nawet nie mogła powiedzieć, czy bolało, bo była jak ogłuszona. Stała się swoim własnym znieczuleniem zewnątrzoponowym. Parła z całej siły, a potem przypomniała sobie, że powinna to robić powoli. Najpierw szła galaretowa maź, leciało jej coraz więcej i na moment ogarnęło Didi przerażenie, że z dzieckiem coś nie tak, bo główka jest tak miękka i plastyczna. Wtedy pomyślała: Czy nie wbijają mu się w nią kajdanki? - a potem: to nie główka, to pośladki; lecz nie zdążyła jeszcze porządnie przecć, gdy dziecko wysunęło główkę na świat. Didi trzymała ją w rękach. Łepetynka była taka śliska, a Didi tak strasznie drżała, że się przestraszyła - mogłaby niechcący, mimowolnie ją upuścić. A gdzie tułów? Czy powinnam dalej przecć? Nie, nie. Nogi zsuwały jej się z deski rozdzielczej, nie mogła utrzymać ich w górze ani dalej rozchyłać. Stękając, jakby podnosiła ciężary, zdobyła się na jeszcze jeden wysiłek i wtedy ciało dziecka spokojnie wyślizgnęło się na jej ręce. Zobaczyła plecki i pupkę. Obróciła je przodem do siebie.

Chłopiec!

Siny i nieruchomy. O, Boże, przeraziła się, nie oddycha. Palcami otworzyła mu buzię, wypadł z niej skrzep. Nie wiedziała, co to jest, nawet jej to nie ciekawiło. Dotknęła noska noworodka, jego wilgotnej szyi, jeszcze szerzej rozchyliła mu buzię, przez chwilę przytrzymała go główką do dołu. Nadal nie zapłakał. Cisza dźwięczała w uszach Didi, czekającej w napięciu na pierwszy krzyk swojego dziecka.

- Aaach! - westchnęła. Po policzkach spływały jej łzy. - Śmiało, synku!

Wzięła go na ręce, przytuliła, potem nieco uniosła, odwróciła główką w dół i trochę nim potrząsnęła. Śmiało,

dalej. Zakaszał, zarzęził niczym stary samochód, a potem rozległ się cichy pisk. I znowu cisza.

O Boże! Śmiało, maleńki, jeszcze trochę. Dziecko znowu zakaszało i nagle zakwiliło. Nawet w ciemnościach Didi widziała, jak zmienia się kolor jego skóry - od ciemnej do jaśniejszej. Położyła dziecko na swym gołym brzuchu i dopiero wtedy sobie uświadomiła, że wstrzymywała oddech. Teraz z ulgą wypuściła powietrze.

Płakał. Widziała jego buźkę. Był siny, twarzyczkę miał całą pomarszczoną i zawodził: aaa... aaa...

To był najcudowniejszy, najwspanialszy pod słońcem dźwięk.

Didi pogładziła jego lepką główkę. Buzię miał malutką, oczy zamknięte, za to usta - olbrzymie, takie jak Mick Jagger. Zupełnie nie wiedziała, po kim odziedziczył te wargi. Po prostu ogromne. Z gardła wyrwał się jej szloch.

- Mój maleńki, mój najdroższy, płacz, najmilszy, płacz. A potem sama zaczęła płakać.

- Mój najśłodszy chłopczyk - szeptała. - Jesteś cudownym chłopczykiem, skarbem mamusi. Poradziliśmy sobie. Ty i ja, ty i mamusia. Jesteśmy tutaj i wszystko będzie dobrze. Dzięki Bogu, nie grozi nam już podróż do Mazatlan. Dzięki mamusi. Dzięki tobie. Wspaniale się spisałeś - mówiła, gładząc maleńką buzię noworodka. - Doskonale się spisałeś. Jakie z ciebie dzielne maleństwo. Chciałeś już zobaczyć mamusię, co? Proszę, oto ja. - Odchyliła się i zamknęła oczy. - Tego dnia Pan Bóg i ja wydaliśmy na świat mojego syna - szepnęła. - A imię jego jest Adam.

*

Didi nie miała w co owinać dziecka. Otuliła je szlafrocikiem, ale nie wystarczał dla nich obojga, a przecież musiała dostać się do jakiejś większej drogi.

Nadal łączyła ich pępowina. Didi nie miała czym jej przeciąć, chyba że tym nożem, który został obok Lyle'a. Wyrzała przez szybę i dostrzegła na ziemi zarys jego sylwetki. Pępowina musi poczekać.

Nie czuła żadnego bólu. Wszelki ból ustał z chwilą wydania na świat dziecka, ale lewy nadgarstek wydawał się podejrzanie słaby - niewykluczone, że złamała kość, uwalniając się z kajdanków. Poza tym całe jej ciało było w stanie swoistego ogłuszenia, opuchnięte i obolałe. Didi nie miała wątpliwości, że jutro poczuje się znacznie gorzej. Ale to błogosławieństwo, że jutro w ogóle będzie jeszcze coś czuć.

Dziecko płakało.

- Kochany Adasiu, nie mam cię w co zawinąć. Został mi tylko peniuar, który na siebie włożyłam, i koszula - już cała zakrwawiona, no i żółta sukienka, ale ona zupełnie się nie nadaje. Może napijesz się trochę, kochanie. I powiesz mamie - szeptala - jakie to uczucie: pić.

Przystawiła go do piersi; potrwało kilka sekund, nim się zorientował, w czym rzecz, ale potem przyssał się, przestał płakać i otworzył powieki. Spojrzała na wpatrzone w siebie oczy synka i zaczęła coś do niego mrużyć - coś bardzo prostego i pięknego.

*

Powieki coraz bardziej jej ciążyły. Już, już przysypiała, gdy nagle przeraziła się, że może jednak Lyle jeszcze żyje. Tylko udawał, że umarł, żeby urodziła dziecko, a teraz je zabierze, zabije ją, poderżnie jej gardło i pryśnie do Mazatlan.

Trzeba stąd uciekać.

Ubrana jedynie w szlafroczek w kolorze wina, Didi ostrożnie wyszła z samochodu, tuląc do siebie nagiego synka. Zachwiała się niczym nowo narodzona żyrafa i omal się nie przewróciła.

Rozejrzała się za drogą. Chciała zatężyć, ale bała się, że przestraszy maleństwo i zrezygnowała.

Znalazła drogę i z dzieckiem w ramionach zaczęła iść - tylko w jednym sandale - licząc, że wybrała dobry kierunek i podąża w stronę szosy, a nie lasu. Po kilku krokach zrzuciła sandał i ruszyła bosą.

Gdyby nie poświata księżyc, Didi zgubiłaby się w ciemnościach.

Dzięki Bogu za księżyc.

Wydawało jej się, że gdzieś w oddali słyszy warkot, i zobaczyła jasne światła. Czy to Bóg? - zastanawiała się Didi.

Z głównej drogi skręciła kawalkada samochodów z czerwonymi i niebieskimi światłami i ruszyła w jej stronę. Pojazdy zbliżały się szybko, ich reflektory objęły ją jasnym blaskiem. Pierwszy wóz zwolnił, potem zahamował. Wyskoczył z niego mężczyzna i podbiegł do niej.

To Lyle, pomyślała Didi, odwróciła się i próbowała uciekać. Chciała biec, ale nie mogła. Usłyszała jego wołanie:

- Didi, Didi!

Boże, wiedziałam. Wiedziałam, że nadal żyje, ratunku! I wtedy ktoś ją chwycił, i znowu usłyszała ten sam głos:

- Didi!

Mężczyzna płakał i tulił ją do siebie. Nie widziała jego twarzy. Jeszcze nie konała.

- Didi! - wołał.

Jednym okiem przyjrzała się znajomej twarzy. Drugiego nie mogła otworzyć. Czy to Lyle? Trudno zgadnąć. Od tak dawna nie widziała innych ludzi, że już zapomniała, jak wyglądają. To nie był jednak zabity policjant.

- Didi - powtarzał mężczyzna, przyglądając się jej z przerażeniem. - To ja, Didi. Ja, Rich.

Rich, pomyślała. Rich?

To nie był Lyle.

Mężczyzna płakał, a Didi bełkotała coś do niego. '

- Co? - spytał. Powiedziała jeszcze raz.

- Nie słyszę cię. Co?

- Wody - wychrypiała. - Wody! Odwrócił się, ale przytrzymała go ramieniem.

- Nie zostawiaj mnie - prosiła. - Pić!

- Wody! - krzyknął jej mąż. - Przynieście tu wody!

Ktoś wybiegł z samochodu z butelką i podał ją Richowi. Didi otworzyła usta, przyłożył jej butelkę do ust, ale nie przechylił do samej góry. Starał się być delikatny, lecz wyrwała mu butelkę z ręki i wlała sobie do ust całą zawartość. Potem zgięła się wół i z wymiotowała wszystko, ani na chwilę nie wypuszczając noworodka.

- Pozwól mi potrzytać dziecko - prosił Rich, płacząc. - Żyje? Pozwól mi je potrzytać, Didi.

- Nie. - Mocniej przytuliła maleństwo. - Wody.

Podano jej kolejną butelkę. Didi wypła, a potem osunęła się na ziemię. Za drugim i trzecim razem też z wymiotowała, ale trochę musiało jednak pozostać, bo poczuła się lepiej.

Zbliżył się do niej drugi mężczyzna.

Gdy przed nią przykucnął, obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Miał dobrą, ciemną twarz. Opierała się o Richa, który podtrzymywał ją w pozycji siedzącej. Didi marzyła tylko o tym, by się położyć i zasnąć, więc umościła się wygodnie, z dzieckiem przytulonym do piersi. Mężczyzna pochylił się nad nią.

- Wybacz nam, Didi. Próbowaliśmy cię odnaleźć. Naprawdę się staraliśmy.

Skinęła głową. Nie wierzyła im. Bóg potrafił ją znaleźć. Mógł im powiedzieć, gdzie była.

- Gdzie on jest? - spytał mężczyzna. - Gdzieś tam?

- Nie - odrzekła. - Nie żyje. Tamten popatrzył na nią i skinął głową.

- To dobrze.

Rich mocniej ją objął.

- O Boże, Didi. O Boże. Boże, Boże!

- Rich? - spytała i zapomniała o odpoczynku. - Ja też Go wzywałam. Wzywałam Go cały dzień.

- Przyszedł...

Didi spojrzała na mężczyznę, który pochylił się nad nią i zobaczyła w jego oczach zrozumienie.

- Lyle... - szepnęła - zamierzał mnie zamordować i zabrać dziecko. Musiałam go zabić. Zadźgałam go jego własnym nożem.

- To dobrze - powtórzył ów mężczyzna.

Mąż najpierw zerknął na nią, a potem popatrzył na swego ubranego na czarno towarzysza. Wyraz jego twarzy najlepiej oddawało słowo: niedowierzanie. Tamten skinął Richowi głową.

- Cii... - uspokajał Didi. - Nie bój się. Jesteś bezpieczna. Nic ci nie grozi. Jest tu karetka. Zaopiekujemy się tobą. O nic już nie musisz się martwić.

Nie, rzeczywiście chyba o nic.

Potem w karetce wyciągnęła się na noszach. Obok niej spał synek.

- Dziecko żyje - powiedziała.

- Dziecko żyje - powtórzył jak echo Rich.

- Wiesz - odezwała się, gdy sanitariusze przecięli już pępowinę i podłączyli kroplówkę. - Nie czuję się najgorzej jak na kobietę, która dopiero co urodziła dziecko.

Mąż jęknął głucho.

- Naprawdę - ciągnęła. - Ale poród musiał być wyjątkowo bolesny, bo chyba wpadłam w delirium.

- Tak? - powiedział, całując jej włosy. - Czemu tak sądzisz?

- Musiałam strasznie cierpieć. I wydawało mi się... Nie, to naprawdę niemądre. Otóż wydawało mi się... Nie uwierzysz... Przyśniło mi się, że zostałam uprowadzona, byłam bita, poraniona, miałam złamany nos i otarłam się o śmierć. Dasz wiarę?

Rich nie mógł spojrzeć jej w oczy.

- Jednak się nie myliłam, Richie, prawda? - Wzięła go za rękę i mocno ścisnęła. - Karma dała o sobie znać. Miałam rację.

Nie przestając płakać, pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo.

- Nawet karma cię nie zmoże. Nie wiedziała, na co się porywa, kiedy sobie upatrzyła właśnie ciebie.

Didi omal się nie uśmiechnęła. Jej mąż nad czymś się zadumał.

- Co, Richie? - spytała.

- Didi, oboje się myliliśmy.

Nie miała już sił, by czuć zaskoczenie. Wypuściła jego rękę. Rich ujął dłoń żony i pieszczotliwie ją pogładził. Didi cieszyła się, że to nie ta złamana.

- Oboje się myliliśmy i zaraz ci wytłumaczę, dlaczego. Właśnie wszystko zrozumiałem. On nie był twoją karma, Didi, tylko ty jego. Bóg wcale o tobie nie zapomniał, nie porzucił cię. Wysłał cię, żebyś usunęła tego człowieka ze świata, żebyś zakończyła jego i nasze męczarnie. A kto lepiej do tego się nadawał niż ty? Bóg wysłał cię, ponieważ wiedział, że zrobisz to, czego oczekuje: zabijesz tego mężczyznę, a sama przeżyjesz.

Didi zamknęła oczy. Bóg posłał ją, by zabiła Lyle'a!

- Chyba nie powinniśmy zaglądać Panu Bogu w kieszeń, Richardzie - powiedziała. - Skąd wiedział, że sobie...

- Wiedział - odparł mąż. - Wiedział.

Umilkli. Didi wyciągnęła rękę i pogładziła go po twarzy.

- Richie - odezwała się cicho. - Może byśmy gdzieś wyjechali, kiedy wrócę do siebie po porodzie?

- Dokąd tylko zechcesz - zapewnił, wycierając oczy. - Dokąd tylko zechcesz. A dokąd chciałabyś pojechać? - spytał po chwili.

- Wszędzie, z wyjątkiem Mazatlan - brzmiała chrapliwa odpowiedź.

Epilog

Rich otworzył Didi drzwiczki. Wysiadła wolno i skrzywiła się, chociaż miała okulary przeciwsłoneczne. Ostre słońce odbijało się od tafli wody. Całą rodziną wybrali się tu na niedzielną wycieczkę, aby nakarmić kaczki. Dziewczynki wyskoczyły z samochodu, piskliwie kłócąc się, która będzie niosła torebkę z bułką.

Rich rozłożył nowy, ciemnozielony wózek i delikatnie uniósł z fotelika synka, by przełożyć go do gondoli. Dziecko zakwiliło, ale dalej spało, prawie nie reagując na zmianę łóżeczka. Didi zaczęła pchać wózek. Poruszała się wolno, oszczędzając prawą nogę. Podczas skoku z samochodu pękła jej kość w kostce.

W grubo obandażowanej lewej dłoni trzymała butelkę wody i co parę minut wychylała spory łyk. Była dziesiąta rano, upał jeszcze nie dawał się zbytnio we znaki. Didi wiedziała, że mogą zostać najwyżej do południa, gdyż potem zrobi się za gorąco dla małego.

- Ja będę pchał, daj - zwrócił się do niej mąż.

- Nie trzeba.

- Proszę, pozwól mi prowadzić wózek. Ustąpiła.

Nad sadzawką patrzyli, jak dziewczynki karmią kaczki. Rich stał tuż przy Didi. Ręce oparła na wózku, popijała małymi łykami wodę. Amanda i Irene piszczały, gdy przydreptała do nich biała gęś, a kaczki człapały na brzeg z głośnym skrzeczeniem: jeść, jeść. Zachwyty błyskawicznie zmienił się w histerię, kiedy jeden z nienasyconych ptaków skubnął młodszą dziewczynkę w palec. Rich wziął córkę na ręce i do końca karmienia rzucała kawałki bułki z bezpiecznego azylu jego ramion. Didi podeszła z wózkiem do najbliższej ławki. Poprawiła maństwu czapkę i usiadła.

Po chwili dołączył do niej Rich z Irene i usiadł obok.

- Dobrze się czujesz? - zwrócił się do Didi.

Irene wyrwała mu się z ramion i pobiegła do Amandy.

- Doskonale. - Spojrzała na niego. - Ale chciałabym niedługo zabrać małego ze słońca. - Kiedy mąż nie odpowiadał, poklepała go po twarzy. - Nie przejmuj się.

Skinał głową i ciężko westchnął.

Przez chwilę milczeli. Didi zrobiło się gorąco.

- Co dziś zrobić na kolację? - odezwała się. - Jakie jest ulubione danie Scotta?

- Nie wiem. Do tego nie dotarliśmy.

- Dziwne - odrzekła z uśmiechem. - Mielicie mnóstwo czasu na pogawędki.

- Owszem, ale wtedy akurat rozmawialiśmy na inne tematy.

- Coś muszę dla niego przygotować - podjęła po chwili Didi. - Czy lubi spaghetti?

- Na pewno.

- Hm. A może stek? Nikt nie pogardzi dobrym stekiem.

- Stek to świetny pomysł - zgodził się Rich. Zastanowiła się przez chwilę.

- A jeśli jest wegetarianinem? Co wtedy?

Rich przyglądał się żonie; oczy miała zasłonięte olbrzymimi okularami przeciwsłonecznymi.

- Sam widziałem, jak pochłonał kanapkę z wołowiną. Zrób steki.

- Czyli ustalone: stek - oświadczyła z ulgą.

Dziewczynki skończyły karmić ptaki, Amanda włożyła rolki i śmigła przed rodzicami, obok niej biegła Irene.

Didi męczył spacer i co parę minut odpoczywała. Mijały ich dwie kobiety. Na widok wózka zwolniły i zajrzały do środka.

- Jaki śliczny bobas! - zachwyciła się jedna.

- Dziękuję - odrzekła Didi.

- Ile już ma?

- Dwa tygodnie.

- Rozkoszny. A te rude włoski! - Kobieta powiodła wzrokiem od ciemnowłosej Didi do Richa, blondyna. - Po kim je odziedziczył?

- To jego robota - odparła Didi, pokazując na męża. - Jego ojciec to straszny rudzielec.

- Och, jaki słodziutki!

Druga kobieta, która bez słowa stała obok przyjaciółki, wysunęła się i zwróciła do Didi:

- Jestem w ciąży. Trzynasty tydzień. To pierwsze dziecko i umieram ze strachu. Najgorsze to poród. Bardzo się pani namęczyła? - spytała, zniżając głos.

- Och, nie było aż tak źle - odparła Didi, poprawiając szkła. - Nie, wcale nie było tak strasznie.

Druga kobieta uważnie jej się przyjrzała.

- Ma pani chrypkę. Zdarła sobie pani gardło?

- Tak. Ale już odzyskuję głos. Szkoda, że mnie nie słyszałyście tydzień temu.

Rich położył żonie rękę na plecach.

- Gdzie pani rodziła? Ja chyba zdecyduję się na Columbia Medical Center w Piano.

- To dobry szpital - zgodziła się Didi. - Ja... nie rodziłam tutaj. Ciężarna uważniej przyjrzała się niemowlęciu w wózku.

- A co mu się stało w rączkę? To bandaż?

- Tak. - Didi poprawiła kocyk, zasłaniając małego po szyjkę. - Przewróciłam się i złamał rączkę, gdy był jeszcze w moim brzuchu.

Kobiety wyglądały na wstrząśnięte.

- Ale nic mu nie będzie - zapewniła je Didi. - Naprawdę.

- Chodźmy już, kochanie - przerwał Rich.

- Dobrze. - Pomachała kobietom. - Powodzenia.

- Cóż, dzięki - mruknęła ciężarna. - To ja życzę pani powodzenia.

Przyśpieszyły kroku i oddaliły się po chwili. Rich i Didi wolno szli za córkami. Didi kuląła.

- Dziewczynki, wracajcie! - zawołała chrapliwie, ale za cicho i nie usłyszały jej.

- Amanda! Irene! Co mówiła mama? Nie oddalajcie się tak! - krzyknął Rich i małe zwolniły. - Dobrze się czujesz, kochanie? - spytał. - Może wrócimy do domu?

- Nie trzeba.

Didi zdjęła okulary. W ubiegłym tygodniu usunięto jej siedem szwów z lewego łuku brwiowego, a ciemna, poszarpana rana już się goiła. Czarne i sine ślady wokół oczu zmieniały kolor na żółty. Złamany nos nadal był jednak opuchnięty i zniekształcony.

- Ech, te wścibskie baby, o wszystko muszą wypytywać.

- Nie miały złych zamiarów. Przecież nie mogły wiedzieć.

- Racja. Ale mogły po prostu zostawić nas w spokoju. Didi wzięła męża pod rękę.

- Richie, ludzie mają dobre intencje i starają się być mili. Wszystko gra.

- Dobrze, ale te pytania, wieczne pytania. Jak ty to znosisz?

- Bez trudu - odrzekła z uśmiechem i założyła z powrotem okulary, bo w ich stronę zbliżało się małżeństwo z wózkiem. - Patrz!

Znowu się zatrzymali i Didi z kobietą wymieniały ochy i achy, zachwycając się dzieckiem tej drugiej. Kiedy się urodził? 13 lipca? Czy to w ten najbardziej upalny dzień od siedemdziesięciu lat? Tak, potwierdziła Didi, wtedy. Jaki rozkoszny bobasek. Ile ważył? Czy poród był bardzo bolesny? Kaszka z mleczkiem, odrzekła obca kobieta. Mój też nie był najgorszy, powiedziała Didi.

Rich stał w milczeniu, obejmując żonę.

Dziecko się obudziło, więc ostrożnie wyjęła je z wózka.
Rich chciał wziąć synka, ale się nie zgodziła.

- Nie trzeba. Sama będę go niosła.

Trzymała małego w ramionach aż do końca spaceru.